

KAZIMIERZ RACZYŃSKI

Z tajemnic kryminologa



POZNAŃ 1927.
NAKŁADEM AUTORA.

KAZIMIERZ RACZYŃSKI

Z tajemnic kryminologa

(Najciekawsze motywy zbrodni,
zdobyczne techniki śledczej
i przykłady wykrycia
przestępcy).



POZNAŃ 1927.
NAKŁADEM AUTORA.

DRUKARNIA „CONCORDIA”, SP. AKC., POZNAŃ.



483182

Tegoż autora :

1. Upadła kobieta.
2. Zbrodniarz, jako objaw patologiczny społeczeństwa.
3. Poradnik w nagłych zasłabnięciach i wypadkach z 26 ilustracjami.

Ukażą się :

1. Atlas kryminalistyczny, (140 ilustr.) jako pomoc naukowa w służbie śledczej.
2. Dziecko ulicy.

Skład główny:

Szkoła przodowników P. P. Województwa poznańskiego
w Poznaniu, ul. Łąkowa 3.

WX-383/2022

„Rany się leczą i uleczą, ale ta, jaką
nam zadaje własny błąd — nigdy! Nawet
pod plastrem późniejszej cnoty i dobrych
uczynków — boli, boli, boli...”

SPIS RZECZY:

	Strona
Przedmowa I	V
Przedmowa II	VII
1. Kobieto strzeż się	1
2. W mrokach nocy	11
3. Kainowa zbrodnia	16
4. Sceptykom pod rozwagę	43
5. Pod włoskiem niebem. (Urywek psychologiczny)	49
6. Jak policja amerykańska walczy ze zbrodniarzami	55
7. Zastosowanie promieni ultrafioletowych w kryminalistyce	61
8. Powrót na pastwisko	64
9. Człowiek-wampir	67
10. Nowoczesny upiór	73
11. Tajemniczy trup w hotelu	75
12. Zamachy dynamitowe	78
13. Biała „siostrica“	81
14. Na dnie upadku	83
15. Owoc zakazany	87
16. W pogoni za podniecią i wrażeniami	90
17. Interesujący typ z galerji kryminalnej przestępców	92
18. Syzyfowy pościg	94
19. Najniebezpieczniejszy złodziej XX. stulecia	97
20. Zemsta operatora filmowego	101
21. Sześć trupów w jednym mieszkaniu	103
22. Podwójne życie zbrodniarki	106
23. Najnowsze pomoce techniczno-śledcze na wystawie policyjnej w Berlinie	109
24. Szkoła złodziejska	114
25. Tajemnicze zwłoki nad rzeką Doniec	122
26. Zabobon a przestępstwo	127

PRZEDMOWA I.

Na życzenie Autora poprzedzam niniejszą książkę kilku słowami.

Autor popularyzuje wiadomości i ostrzega przed przestępstwem łatwowiernych i nieświadomych.

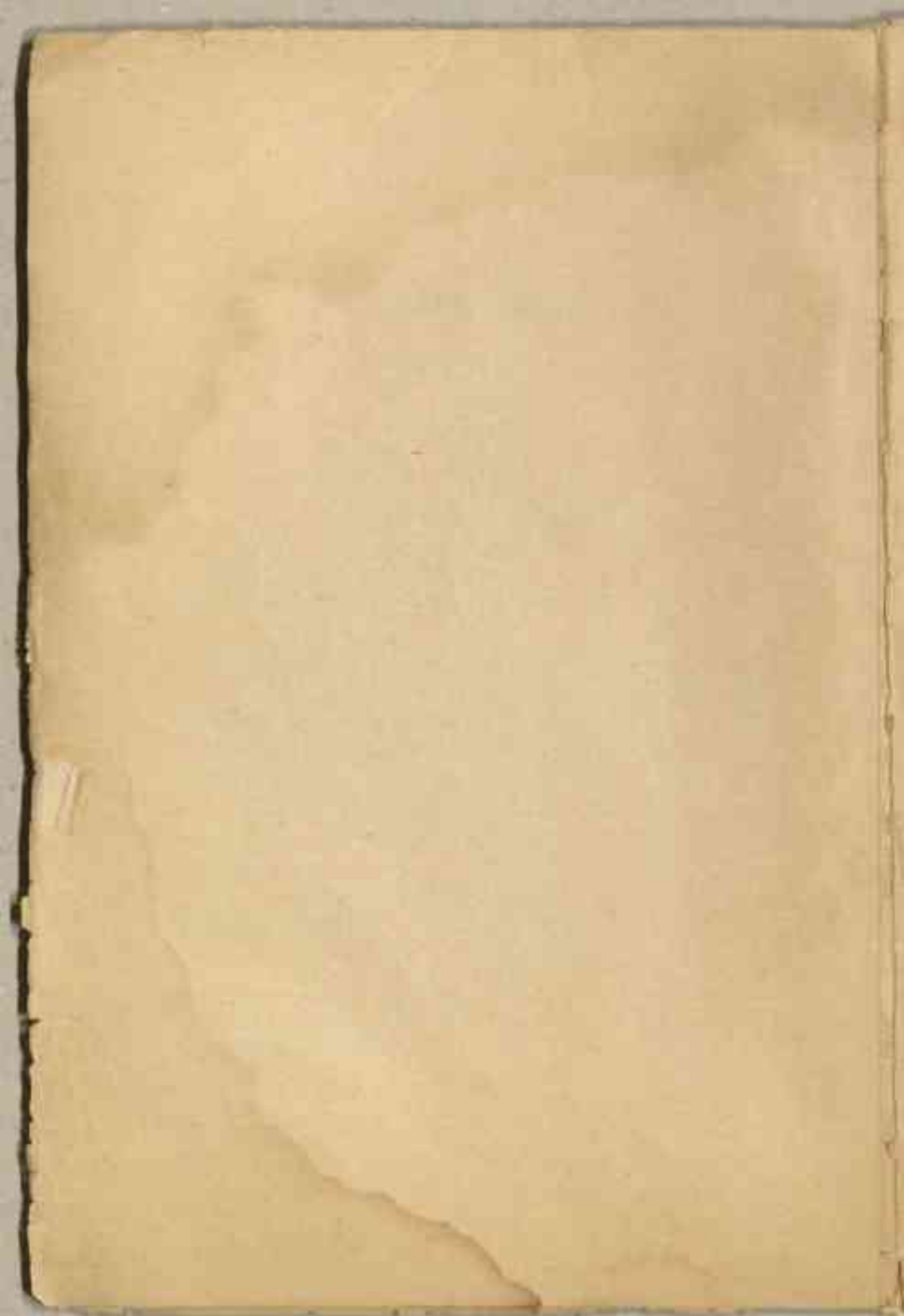
Popularyzuje przez to, że uprzystępnia szerszym kołom czytającej publiczności zapoznanie się z nowymi sposobami technicznej walki z przestępstwem, które nazbyt często spotykają się z nieufnością i sceptycznym uśmiechem, bo ignorancja i pewność swego zdania łączą się psychologicznie.

Ostrzega przez to, że odsłania niebezpieczeństwo, jakie grozi jednostkom, nieświadomym wyrafinowanych metod przestępczych (problem handlu żywym towarem).

Autor obrał formę noweli względnie feljetonu. Sądzę, że nie można mu z tego powodu czynić zarzutu, bo właśnie ta obrana forma utoruje książce dalszą drogę, niżby to mogła uczynić zwykła forma popularnego szkicu podręcznikowego.

Książka mówi o faktach smutnych i przykrych, jakie odsłoniła obserwacja życia lub dały wyczytać akta sądowe. Nie oszczędzi czytelnikowi tu i tam pewnego zgrzytu moralnego. Lecz lepiej spojrzeć w oczy smutnej prawdzie, mieć odwagę powiedzieć, że rana społeczna ropieje, i żądać męskich, stanowczych środków leczenia i zapobiegania, niż popaść w optymistyczną bierność.

Prof. Dr. Józef Jan Bossowski.



PRZEDMOWA II.

Zanim Szanowny Czytelnik weźmie do ręki niniejszą broszurkę, chciałbym go wpierw zapoznać z jej znaczeniem i celem.

Zbrodnie wyrafinowane, jakie w ostatnich czasach pojawiają się, zwracają uwagę na siebie nie tylko policji, lecz także ogółu.

Zadanie policji w wykryciu tych przestępstw napotyka na bardzo wielkie trudności i to jedynie dlatego, że władze śledcze nie rozporządzają takimi środkami pomocniczymi, jakie posiadają zagraniczne czynniki, powołane do śledzenia przestępstw.

Braki te idą u nas nie tylko w kierunku rzeczowym, lecz także umysłowym. Tu w tem miejscu stwierdzić muszę zupełną „tabula rasa“ w dziedzinie psychologii kryminalnej i brak urządzeń dla badań chemicznych, mikroskopijnych itp. rzeczy, które jako środki pomocnicze w wykrywaniu przestępców są zasadniczo niezbędne. Z powodu wspomnianych braków zapominamy wprost, że zbrodniarz nie jest abstrakcją i że na miejscu przestępstwa zawsze pozostawia po sobie ślady, które jedynie do wykrycia przestępcy przyczynić się mogą. Sztuka cała leży w tem, by te ślady, pozostawione przez przestępcę na miejscu czynu umieć odnaleźć, poznać po pozostawionych śladach motywy zbrodniarza, poznać jego sposób myślenia i cel zbrodni.

Jeżeli powyższych środków pomocniczych funkcjonariuszowi P. P. zabraknie, nie ma się czemu dziwić, że przy każdym dochodzeniu napotyka na nieprzezwyciężone wprost trudności. Wobec tego funkcjonariusz P. P. polega bardzo często na zeznaniach świadków.

Zeznania natomiast świadków należy zawsze przyjmować z wielką ostrożnością, ponieważ one nie zawsze zle-

wają się z rzeczywistością, a nadto posiadają wiele luk, nieścisłości i błędów i ulegają różnym fluktuacjom, wahaniom, które są zależne od różnych warunków, wśród których świadek zeznaje. Bardzo często świadek może zeznawać w dobrej wierze lecz niezgodnie z prawdą.

Najważniejszą kwestją dla policjanta w dochodzeniu jest tylko materiał rzeczowy i na tym tylko policjant całą swoją pracę opierać winien.

W ujęciu materiału opartym na źródłach, kroczyłem drogą pośrednią między suchemi i nużącymi wiadomościami, a sensacją, nie wpadając w żadną z tych alternatyw, tak, że laik czytać może niniejszą broszurkę z rosnącym stale zainteresowaniem przedmiotu, którego należyte użytkowanie w codziennej praktyce ułatwi niejednemu funkcjonariuszowi P. P. lub sędziemu śledczemu wyjaśnienie wielu „zagadkowych zbrodni.“

Ażeby ogół społeczeństwa zrozumiał ważność wiedzy kryminalistycznej w walce z wzmożoną skutkiem wojny przestępczością, uczyniłem moją pracę dostępną dla każdego laika, który winien pamiętać o tem, że na nim ciąży również obowiązek współpracy z policją, obowiązek zapobiegania i zwalczania przestępczości i niedopuszczenie do podcinania przez tego straszego polipa najgłówniejszych arterij życia społecznego. Społeczeństwo, które oglądać się będzie tylko na policję, sąd karny i prokuratora, to przestępczości nie potrafi zmniejszyć, przeciwnie — stwierdzać będzie tak, jak dotąd stały jej wzrost — tam gdzie bierze górę zbrodnia, wstępuje bezrząd, anarchja, zanik życia społecznego.

A czyż można ustrzedz się zbrodni, znaleźć sposób zapobiegania i zwalczania tejże, nie znając istoty przestępstwa i jego motywów, sposobu myślenia przestępcy i celu zbrodni?

— Broszurka ta o tem mówi.

Niechaj zatem ta skromna praca posłuży naszemu policjantowi i społeczeństwu jako drogowskaz, wskazujący kierunek, którądy i dokąd iść nam trzeba, by organizm społeczny w całości i zdrowiu zachować.

Autor.

I.

Kobieto strzeż się!

W przepiękny dzień lipcowy, w powodzi światel, w zapachu perfum uduurzających, wciskamy się w ciżbę ludzi.

To Gdynia i polskie morze!

Tutaj latem mieszka bogactwo i szyk — tutaj mieszka także grzech.

Naokoło siebie widzimy różne twarze, słyszymy różne języki i czujemy ciepły opar zwisający nad rozbawionemi tłumami.

U góry, nad oparami, ponad tym całym zgłębkiem, rozpościerały się letnie niebiosy o czystej, melancholijnej głębi. Aniołowie oświecili lazury na cześć bożą, czyniąc w nieskończoności przestworzy pokój.

Wody Bałtyku we mgle — w gęstej, przecudnie niebieskiej mgle — wyglądały, jak roztopiona perłowa masa.

Odbicia latarń przybrzeżnych, drżą na rozkołysanej fali, idą w głąb i palą się, jakby z głębi toni, dna, idącym, tajemniczym światłem.

W rozplyle srebrzystych oparów, na tafli wód kołyszą się mewy — zaspane i sztywne.

Nad brzegiem kołyszą się niezliczone maszty łodzi, żaglówek i barek i kutrów rybackich, podobnych do lasu, z którego pod tchnieniem jesieni opadły liście...

Wśród nich góruje mały parowczyk, który u brzegu drży, dyszy i sapie — a za jękiem syreny zrywa się z miejsca rzutem rybitwy za żerem, ciągnąc po wodzie — po mgle — jak oświetlona kołysanka — do sąsiedniego miasta — Gdańska.

Zatracony w tłumie, czułem głębokie osamotnienie. Szedłem, obrzucając spojrzeniami tłumy kobiet, których uśmiechy mówiły

w przelocie, że widzieć dano mi je po raz pierwszy i... ostatni zarazem.

Wieczór już był późny.

Zdążałem więc powoli do domu, — wsłuchując się w szmer Bałtyku, kołyszącego do snu uśpiony świat pracy i żmudy człowieka.

Światła zgaszono, sklepiki pozamykano, a przechodniów już nie widać...

Wtem z za okien jakichś, słyszę płynące tony, tony kołysanki żalostnej...

To był bar — oczywiście wytworny, muzykalny i szampański.

Zmęczony drogą, wchodzę do baru. Po wejściu do jednej z najpiękniejszych sal, przystępuje do mnie kierownik zakładu, prowadzi między palmy i sadza, obdarza mnie wielką uprzejmością i zapytuje czem może służyć. Czując miłą atmosferę baru, poprosiłem o kolację. Za chwilę — zjawia się wódka, kawior — sam, wcale nie wołany — i szampan i inne znakomitości. Przy sąsiednim stoliku siedziała piękna blondyna z różą na piersiach, rzucając dwuznaczne powłóczyście spojrzenia ku mnie, obok klasycznej piękności dama, ubrana na czarno, bo w żałobie, dalej w głębi sali dwóch mężczyzn w towarzystwie młodziutkiej i pięknej kobiety, której swobodne zbyt zachowanie świadczyło o wypitym szampanie...

Widać było, że tym gościom czas upływał jak szampan, szampan jak muzyka... Po chwili zauważyłem, że kobieta, młoda i radosna jak wiosna, posępniała, stała się melancholijną, zakochaną — już omdlewającą, wpadającą w ramiona jednego z jej wielbicieli... a po chwili załkała i zanosła się płaczem, jak spazm ofiary brutalności... Płakała długo, szczerze, wołając przez łzy: — Panowie! pozwólc mi płakać i śmiać się, pozwólc mi cieszyć się i radować, wszak dzisiejszy dzień, jest dniem moich zaręczyn... Ach, jak gorąco pragnę usłać sobie jak najprędzej gniazdko — dodała. — Pragnę je mieć wybite błękitnym jedwabiem. Gdy meble, kobierce i kotary są barwy niebios, — miłość trwalszą być musi... Słońce zapomni się tam o zmierzchu, przyjmując wszystko za jeden obłoczek...

Dziewczyna z radością dziecięcą poczęła opisywać dalej wymarzone gniazdko. Pokój ma być kwadratowy. Sufit wysoki, sklepiony. Obicia białe, usiane bławatkami, powiązanymi w bukiety kawałkiem

wstążeczki. W każdym kącie stać będą żardinjery z kwiatami, pośrodku zaś stół, równie przybrany kwiatami. Następnie kanapka niewielkich wymiarów, tak aby dwie osoby, siedząc razem, czuły się nieco przyciasno... Żadnych luster, które rozpraszają tylko uwagę w zalotach. Dywany i kotary muszą być grube — aby tłumić mogły szmer pocałunków. Kwiaty, kanapa, dywany i kotary będą błękitne. Aneta — ubrana w błękitny strój, a w dni pochmurne okno ma być zupełnie zasłonięte. Pragnę żyć swobodnie, nieskrępowana żadnemi banalnemi troskami, — rozumie się nie całe życie, lecz chociaż parę godzin każdego wieczora. Ponieważ znam mężczyzn i wiem, że choćby byli aniołami, — sprzykszyłby się im Bóg — klucz od raju będą nosiła zawsze przy sobie...

Obaj wielbiciel siedząc po bokach towarzyszki, uprzedzali we wszystkim jej życzenia. Aneta przyjmując kąski z obu stron, wyciągała dłonie na prawo i lewo z równą uprzejmością, powtarzając za każdym razem słodkim głosem wyrazy podziękowania. Wielbiciel, zmieszani nieco jej uprzejmością, spoglądali po sobie z tryumfującym wyrazem twarzy.

Aneta podochocona szampanem i pięknie utkanem marzeniem, zrywając się na równe nogi, palcami, jak skurczem tragedji miłosnej, pociągnęła za obrus — mocno, wołając: „niech żyje miłość! Chodźmy, już czas!“ — Polał się szampan, potłukły się kielichy i zastawa. Na szczerby szkła spadły zwiędłe kwiaty. Uczta skończyła się, a Aneta wraz z wielbicielami opuściła bar. Pierwszy z nich Józef Cederbaum, kupiec z Łodzi, był narzeczoną Anety, drugi — Michał, to jego brat. Józefa poznała Aneta przygodnie w Sopotach i już po kilku dniach znajomości zdecydowała się na związek małżeński z Józefem. Matka Anety, zarządczyni jednego z pensjonatów w Sopotach sprzeciwiała się z początku na tak rychłą decyzję ze strony córki, lecz na usilne nalegania tejże zgodziła się i zezwoliła córce na wyjazd w najbliższym czasie do Warszawy i zawarcie tamże związku małżeńskiego. Zawarcie związku małżeńskiego w Warszawie miało nastąpić na wyraźne i stanowcze życzenie narzeczonego.

Dnia następnego wieczorem, kiedy dzieci poszły spać, stary ojciec i matka Anety długo siedzieli w saloniku i mówili o Anecie i jej nadziejach i wypowiadali swoje obawy...

Radość Anety na samą myśl, że robi dobrą partję wychodząc bogato za mąż, była wprost bezgraniczną. Matka, widząc radość

córki, mimowoli cieszyła się także, choć łzy zamglily jej przemęczone i znużone oczy.

W dzień przed odjazdem Aneta zajęta była pakowaniem rzeczy i wizytami pożegnalnymi. Biedna matka dała jej na drogę wszystko, co tylko było w jej mocy... Rano o wschodzie słońca, w sobotę, rodzice odprowadzili córkę na dworzec, gdzie narzeczony oczekiwał ich w towarzystwie swego brata. Aneta żegnając się serdecznie z braćmi i siostrami przyrzekała przysłać im wiele wspaniałych prezentów. Pożegnanie było bardzo czule, rzewne, jak gdyby Aneta miała wyjechać raz na zawsze i więcej nie wrócić. Nie pominęła też dlatego żadnego zakątka mieszkania, a wreszcie ze łzami w oczach wyszła na balkon, by spojrzeć raz jeszcze na wielkie wody pięknego Bałtyku, by go również pożegnać...

Była to chwila wschodu słońca, która wszystko wskrzesza i budzi do życia. Morze wtedy faluje sennie i szumi srebrzyście. Niebo z fioletowo-szafirowego staje się purpurowe, bo już „zorza wstała z oceanów fali“. Głazy, domy, ruiny — zwalone i opuszczone — stoją teraz w przepychu wschodzącego słońca — jak promienne, lśniące świątynie, które wyglądają jak złote ołtarze w oczekiwaniu na ofiarę bóstwu. Lecz zorzy porannej, odzianej w purpurowy płaszcz nikt ze śmiertelnych nie składa ofiar, tylko wiatr przynosi zapach róż i pinji, jak woń kadzidła, tylko mewy zrywają się do lotu, tylko morze składa hołd szumem fal — jak pieśnią ofiarną.

Pożegnanie na dworcu trwało krótko. Rozmowy nie było, tylko od czasu do czasu słyhać było rzewne łkania matki... Aneta wraz z swym narzeczonym zajęła miejsce w I. klasie i pociąg ruszył. Aneta zdjęła płaszcz, powiesiła go na haku i usiadła cicho przy oknie, rozmyślając o rodzicach i swoim rodzeństwie.

Pociąg posuwając się z błyskawiczną szybkością znikł wkrótce za pagórkami, a oboje ludzie nie zdążyli, czyteż nie chcieli zamienić z sobą choćby jednego słowa. Aneta patrząc przez okno wagonu, wśród łzawej ciszy świtania podziwiała przepiękne widoki portowego miasta Gdańska, którego domy i fabryki i ogrody jako kłębowiska ciał bezwładnych i nieprzytomnych majaczyły w mrokach; tylko gdzieś niegdzie na dachach, w oślepiłych oknach i na szczytach drzew — ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiech śniących, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach i obejmował ziemię...

Aneta zatopiona w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków przeczuć i niepokojów, czuła, że im bardziej oddala się od domu, tem większa tęsknota ją przenika. I nie dziwnego, że Aneta tęskniła, wszak tęsknota, to nieodstępna towarzysząca ludzi... Drzewa w pewne dni zimowe i wichrów w dni marcowe, tak samo tęsknią — ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a ludzie? Ludzie, jak drzewa wiecznie konające, za tem, co było, minęło... — tęsknią i płaczą...

Józef usiadłszy obok Anety zauważył jej zadumę i tęsknotę, wszczął więc rozmowę w nadziei, że ją tym sposobem uspokoi i będzie mógł poruszyć zasadnicze sprawy, dotyczące ich zaślubin. W czasie rozmowy starał się Józef przekonywać Anetę, że lepiejby było, by zamiast do Warszawy, udali się na dni kilka wprost do Paryża i tam zakupili potrzebną wyprawę i stylowe urządzenie. Załatwienie tej sprawy Józef uważał za konieczne ze względu na jego rodzinę, której niechciałby dać poznać, że bierze za żonę biedną panienkę... Aneta uważając jego wywody za słuszne, zgodziła się na kilkudniowy wyjazd do Paryża.

Powoli rozmowa ustała, a Aneta znowu popadła w zadumę. Stacje mijaly szybko jedna po drugiej, tylko czas Anecie upływał powoli. Po kilku godzinach jazdy, przybyli młodzi ludzie do Poznania. Tu przesiadłszy do międzynarodowego pociągu Warszawa—Paryż ruszyli w dalszą drogę. Przed wejściem do pociągu udało się Anecie wysłać do domu krótką wiadomość o celu i wyjeździe do Paryża. Z wysłania tej wiadomości Józef był bardzo niezadowolonym, a nawet rozgniewał się, że Aneta uczyniła to wbrew jego woli. — „Powiedziałem przecież wyraźnie: że wyjazd nasz do Paryża musi być zatrzymany w tajemnicy!“ — Niesmaczny epizod między młodymi zawisł jak posępna chmura. Aneta udała się na spoczynek, lecz usnąć nie mogła. Trapiły ją oddalenie od domu, a duszę przenikał ból, strach, bunt i rozpacz... Dwie łzy zawisły na jej powiekach, a cicha skarga szła przez pola i góry w strony rodzinne — do domu jej ukochanej matki...

Na drugi dzień obudziwszy się, Aneta nie mogła zorjentować się, gdzie się znajduje. Z trwogą w duszy ubrała się szybko i wyszła na korytarz. Józef podszedł do niej i zapytał:

- Czy pani dobrze spała?
- Tak, dziękuję panu.
- Zamówić dla pani kawę, czy kakao?
- Kawę.

Po spożyciu śniadania rzekł Józef: A teraz niech pani rozjaśni uśmiechem swą cudną twarzyczkę — proszę spojrzeć wokoło, jak śmieje się słońce i niebo! Proszę brać z nich przykład. — Aneta patrzyła na piękne widoki i miasta, lecz wesołą nie była, jej serce cierpiało z tęsknoty za rodziną i lęku przed tajemniczą przyszłością, że widokami, rozścielającymi się przed jej oczami nie mogła się zachwycać.

Józef — jakby odgadłszy jej myśli — rzekł: — Niema się pani czego obawiać, jeżeli pani zechce, będzie jej bardzo dobrze. Po skutecznieniu naszych sprawunków wrócimy zaraz do Warszawy i tęsknota za rodziną i krajem zniknie, będziemy szczęśliwi.

Pod wieczór, pociąg, który wiozł Anetę i Józefa, zatrzymał się przed wielkim dworcem, nad wejściem którego widniał napis: „Paryż“.

Wyszedszy z wagonu wsiedli do pięknego samochodu i pomknęli jasno oświetlonemi ulicami, po których ludzie snuli się jak mrówki. Wkrótce znaleźli się przed szeroką, żelazną bramą. Bramę otworzono i samochód wjechał na podwórze. Tu przejechali duży ogród i stanęli przed ponurym gmachem. Lokaj pełniący służbę przy drzwiach wchodowych, podszedł na spotkanie przybyłych gości i pomógł Anecie i Józefowi wysiąść.

— Czy pan Vachtel w domu? — spytał Józef.

Tak — odrzekł krótko lokaj: — oczekuje pana w swoim pokoju.

Po tych słowach podbiegła do Anety jakaś starsza kobieta, by się nią zaopiekować. Zanim Aneta zdążyła zapytać Józefa, gdzie się oni znajdują, przydana do dyspozycji starsza pani poprosiła Anetę, by udała się za nią do wyznaczonego jej pokoju. Aneta poszła za swoją towarzyszką, która prowadziła ją długim korytarzem, z drzwiami po obu stronach. Kiedy zatrzymała się przed pokojem Nr. 256, towarzyszka rzekła: — W tym pokoju pani zamieszka — proszę wejść i położyć się, by nabrać siły i wypocząć po długiej, nużącej podróży. Kolację zaraz pani przyniosą. Obok pokoju jest wanna — może pani wziąć kąpiel, a tu w tej szafie są różne piękne suknie, któremi może pani rozporządzać według jej woli. Do pokoju wchodziło się przez przedsionek, który równie jak pokój był wytwornie urządzony. Na ścianach widniały lustra i obrazy przedstawiające tańczące nimfy i bachantki — jednym słowem galerję sztuki pornograficznej. Podłoga zasłana była drogiemi, miękkimi dywanami, tak że całość urządzenia przedstawiała wielki komfort. Z poza drzwi do-

łatywał dźwięk muzyki, brzęk szkła, śmiech i głośna rozmowa wielu ludzi. Wszystko to wydało się Anecie dziwnem i zagadkowym. Rozwiązaniem zagadki i dziwnem zachowaniem się Józefa nie mogła Aneta tegoż wieczoru trudzić się, gdyż była bardzo znużona podróżą i dlatego zaraz po spożyciu kolacji położyła się do łóżka i usnęła.

Następnego dnia rano podano Anecie filiżankę kawy. Aneta po wypiciu kawy wstała. Ubierając się, postanowiła dotrzymać obietnicy i napisać o swoim pobycie w Paryżu do rodziców. Ponieważ w swojej walizce papieru listowego nie miała, zdecydowała się wyjść z pokoju i poprosić o papier i atrament. Wtem nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jej pokojówka, osoba niemłoda z siwiejącymi włosami, chuda, zręczna, o ruchach bardzo nerwowych, lecz bardzo sympatyczna. — Czy pan mnie nie szukał i nie pytał o mnie? Nie! — odzękła pokojówka. Pan, z którym pani przybyła, załatwiwszy się poprzednio z gospodarzem, już odjechał. — Aneta na te słowa struchlała i zamilkła. Czuła bowiem, że źle z nią będzie. — Jeżeli masz serce — rzekła Aneta — błagam cię daj mi papier listowy i powiedz mi, gdzie ja się znajduję. — Na to odpowiedziała pokojówka: Gotową jestem pani oddać wszelką usługę, lecz nie tę. Kobietom, znajdującym się w tym pensjonacie, żadnych listów pisać nie wolno, a nawet gdyby pani miała list napisany, nikt ze służby listu nie odbierze od pani i nie zanieśnie na pocztę. Sama tego pani nie jest w stanie uskutecznić, ponieważ kobietom wychodzić do miasta nie wolno, a wszystkie bramy są pilnie strzeżone. Do tego więzienia niewolnic, kto się raz dostanie, już z niego nie wyjdzie. O ucieczkę również niema mowy, gdyż więzienie kobiet, służących dla wygody mężczyzn jest otoczone wysokim murem, który wszelką ucieczkę uniemożliwia. — Po tych słowach dziewczyna zamilkła i kończyła w pokoju swoją robotę. — Co to wszystko znaczy, — zawołała Aneta głosem rozpaczki konającego człowieka? — Czyżby to było prawdą. że padłam ofiarą handlu żywym towarem? — O tak, proszę panią, za panią zapłacił gospodarz sporą sumę, bo aż 1000 franków. — Więc mnie kupiono? — Rozumię się, że tak! — Ach, moja droga, pomóż mi uwolnić się z tego domu największego poniżenia ludzkiego — błagam cię — ja chcę do domu, do ojca, do matki. . . — Drogie dziecię, rzekła pokojówka: to jest wykluczone i o tem mowy być nie może! Ty musisz tu pozostać, będziesz opływać w dostatki i nieznane ci będą żadne troski. — Aneta głośnie zapłakała i zakryła twarz rękoma. Wtem nadeszła gospodyni i pociągnęła Anetę do salonu. Aneta poszła

w milczeniu głębokiem, jak gdyby za chwilę miała się udać pod szafot na ścięcie. W salonie zauważyła wielką ilość najróżnorodniejszych kobiet. Jedne szeptały z sobą, inne śmiały się lub siedziały z spuszczo-
nemi oczami, jak ofiary rozpaczły wielkiej, nieprzewyciężonej i bez-
nadziejnej. Usiadłszy na wskazane miejsce przez gospodynię — wy-
glądała jak posąg wielkiego milczenia i bezgranicznego smutku. Po chwili wszedł lokaj i dał znak, by każda z pensjonarek udała się
do swego pokoju. W pokoju zastała Aneta jeszcze pokojówkę. Po-
nieważ ta wzbudzała pewne zaufanie — Aneta znowu zwróciła się
do niej i jęknęła: — Cóż mam począć, ażeby się uwolnić z tego djabel-
skiego domu? — Na to nie znajdzie pani sposobu, chyba, że gospodarz
odsprzeda panią, lub zamieni, a po drodze może się pani uda uciec.
To jest jedna jedyna nadzieja; innego sposobu tutaj pani nie znaj-
dzie. — Po tych słowach uczuła Aneta, że jest bezradną i że długo
potrwa, zanim zdarzy się jej okazja ucieczki i że będzie musiała jak
inne prowadzić życie niewolnicy, dawać rozkosz mężczyznom — nie
odczuwając rozkoszy własnej, zezwalać na znęcanie się, i spluga-
wanie jej ciała i duszy... — Czyż niema sprawiedliwości na ziemi?
— pomyślała Aneta w rozpacz: — Czyż ludzie są naprawdę tak źli?
Czyż naprawdę w wieku XX., w wieku cywilizacji, a w dodatku
w państwach chrześcijańskich może istnieć niewola kobiet? Czyż
nie ma prawa obrony dla kobiet, czy ono ma istnieć tylko dla męż-
czyzn? Wysyłamy na krańce świata misjonarzy, a zapominamy
o tem, że u nas w krajach chrześcijańskich przydaliby się także
misjonarze, którzyby mogli oświecać kobiety, ostrzegać przed zgubą
ciała i duszy i wziąć w opiekę cierpiące ofiary zepsucia dzisiejszej
cywilizacji? — Pokojówka widząc rozpacz Anety, przypomniała sobie
swoją młodość i postanowiła jej pomóc i zanieść przy pierwszej
okazji na pocztę list Anety do jej rodziców.

Dopiero po kilku tygodniowym pobycie w domu niewolnic udało
się pokojówce wyjść na miasto i zabrać list Anety. List był krótki
i zawierał następującą treść:

Kochani Rodzice! Ratujcie mnie! Sprzedano mię — przebywam
w Paryżu.

Wasza strapiona Aneta.

Rodzice Anety, zaniepokojeni jej długim milczeniem, udali się
do komisarjatu policyjnego i przedstawivszy całą sprawę, prosili
o wyjaśnienie i poszukiwanie ich córki. Na komisarjacie po wysłu-
chaniu i przedstawieniu sprawy przez rodziców Anety, Poplińskich,

oświadczono, że Aneta musiała paść ofiarą międzynarodowej bandy handlu żywym towarem i przyrzeczono wszcząć natychmiast energiczne dochodzenia. Zażądano fotografii Anety i wysłano natychmiast kopie fotografii wraz z listem gończym do Paryża, Berlina, Londynu, Wiednia. Policja polska wraz z policją wolnego miasta Gdańska zabrała się gorąco do pracy, gdyż dobrze wiedziała o tem, że w Gdańsku istnieje szajka handlarzy kobietami i dziećmi *) i że wszystkie prawie transporty kobiet uwiedzionych lub porwanych przechodzą do krajów zachodnich przez Gdańsk. Nie minęło wiele dni, a w ręce policji dostała się szajka handlarzy kobietami i to zupełnie przypadkowo.

Oto pewnego dnia pani Wiese przechodząc ulicą Kirchengasse, napotkała pewnego nieznanego jej człowieka. Ten widząc panią Wiese, przystąpił do niej i błagalnym głosem począł prosić, czyby się nie ulitowała nad nim i nie zechciała tu pod Nr. 37, II. p. prawo, doręczyć pod podanym adresem listu, gdyż on z powodu ulomności i dokuczliwej choroby nie jest w stanie tego uczynić. Pani Wiese, nie przeczuwając nic złego, postanowiła uczynić zadość błaganiu nieznanego mężczyzny. Odebrawszy list od tegoż, udała się do wskazanego domu, aby tam doręczyć wspomniany list. Na schodach I. piętra spotkawszy wychodzącą służącą, poprosiła o wskazanie adresata. Służąca słysząc zapytanie pani Wiese — zamyśliła się na chwilę — a potem odrzekła: — „lepiej będzie, jeśli pani tego listu nie odda i do wskazanego mieszkania nie wejdzie, gdyż tam

*) Stosunek zależności, jaki wytworzył się pomiędzy właścicielami domów rozpusty, a kobietami, uprawiającymi nierząd zawodowy, szczególnie wyraźnie występujący przy umieszczaniu ich w takich zakładach zagranicą po wywiezieniu z kraju, wywołał na gruncie międzynarodowym zajęcie się sprawą handlu żywym towarem i wprowadzenie działalności, polegającej w syntezie na nakłanianiu do zawodowego nierządu, pod działaniem reakcyj ujemnych.

Po konferencjach paryskich w przedmiocie ochrony przeciwko handlowi kobietami zostało wyniesione porozumienie i umowa z dnia 4-go maja 1910 r., ratyfikowana przez szereg państw europejskich, w ich liczbie i przez Polskę. Treść przestępstw, które są przewidziane w umowie, jest następująca: „Każdy, kto dla zaspokojenia cudzych namiętności zwierbował, uprowadził, albo uwiódł kobietę, albo dziewczynę nieletnią, chociażby za ich zgodą, dla celów rozpusty, winien być karany nawet wtedy, gdyby poszczególne czyny, wchodzące do istoty przestępstwa, były dokonane w różnych państwach.” (Art. 1). „Winien być również karany każdy, kto dla zaspokojenia cudzych namiętności, zapomocą oszustwa lub gwałtu, groźb, użycia władzy, czy innych środków przymusu, zwierbował, uprowadził, lub uwiódł kobietę albo dziewczynę pełnoletnią dla celów rozpusty, chociażby poszczególne czyny, wchodzące do istoty przestępstwa, były dokonane w różnych państwach.” (Art. 2).

może panią spotkać coś złego, a nawet mogą tam panią zatrzymać i więcej nie puścić!“ — Pani Wiese zdumiona takim oświadczeniem i nie namyślając się długo, zeszła na dół i oddała list w prezydjum policji, nadmieniając o tem, co słyszała od spotkanej na schodach służącej. Dyżurny, oficer policji otworzył natychmiast wręczony mu list i ze zdumieniem wielkiem odczytał treść listu, która brzmiała bardzo krótko: „I ta może się wam przydać!“ Po odczytaniu tego listu zarządził natychmiastowe przeprowadzenie rewizji domowej całego domu pod wskazanym adresem. Rewizja domowa dała wynik pozytywny, gdyż w mieszkaniu Silbersteina znaleziono 4 kobiety związane, które miały być najbliższym transportem wysłane, jak się w toku dochodzeń okazało, do Argentyny. Wszystkie znalezione kobiety znajdowały się w śnie narkotycznym, Silbersteina wraz z jego dwoma spółnikami aresztowano i osadzono w więzieniu. Wszyscy byli poszukiwani za granicą, jako handlarze żywym towarem. Najprawdopodobniej do tej szajki musiał należeć także i Józef Cederbaum, którego policja miała również w swej ewidencji jako handlarza dziećmi i kobietami.

Rodzice Anety otrzymali tymczasem od swej córki wiadomość. List od Anety złożyli zrozpaczeni rodzice natychmiast w prezydjum policji, skąd wydelegowano jednego z tajnych agentów do Paryża dla poszukiwania zaginionej Anety.

Aneta przez ostatnie dni była silnie wzburzona oczekiwaniem czegoś, co się stać miało...

Agent policyjny po przybyciu do Paryża zaczął poszukiwać Anetę wszędzie, lecz napróżno. Dopiero po dłuższym czasie udało mu się odnaleźć Anetę, lecz niestety w jednym ze szpitali wielkiego Paryża, dogorywającą na łożu śmierci. Leżała śmiertelnie chora na ospę, której nabawiła się od jednego z gości.

U łoża śmierci, przy migotliwym oświetleniu lampy nocnej byli obecni — zakonnica i agent policyjny. W pokoju panowała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył. W szklistych oczach Anety malował się wielki tragizm, który zwiastował bliski koniec życia niewinnej ofiary, czystej i jasnej postaci, zbrukanej rozpustą męczyzny i cywilizacją XX. wieku, które złamały los młodej dziewczyny, ginącej bez winy. Tragizm Anety zmienił się powoli w posępną, zimną powagę, lzy pociekły dwoma strumieniami po jej twarzy i dało się słyszeć lekkie wołanie o ratunek, jakby okrzyk rozpaczny ginącej niewinnej kobiety, którą śmierć tylko była

w stanie wyrwać z rąk oprawców. Wtem po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios zastęp Aniołów i wraz z nimi uleciał duch Anety...

II.

W mrokach nocy.

Północ minęła. Zwolna ucichł zgiełk uliczny, a mroczna cisza przerywana pustym echem stąpań patroli policyjnych lub zbłąkanego obywatela, oświetlona bładem migotem latarni gazowych zdawała się całe miasto okrywać szatą snu i wypoczynku. Pozorny to jednak spokój — pozorne miasta wielkiego oblicze. Niewielu bowiem mieszkańców pogrążyło się w śnie słodkim, niewielu tylko wybranych, którzy rzuciwszy się po całodzienniej ciężkiej pracy w swoje łóżce, zasypiają, innych dręczy lęk i obawa nieokreślona, która wciskając się do duszy dzisiejszego cywilizowanego człowieka, płoszy mu sen ze znużonych powiek i ustawicznie woła do uszu: nie marnuj chwili, goń, zbieraj majątek! bo tylko on ci da możność użycia tych czarów i upojeń, jakie dzisiejsza cywilizacja dla swych wymyśliła wybrańców. To też nietylko miljarder ale i przeciętny człeczyna drzą, targani obawą, że mają za mało pieniędzy, aby pić strugi wyszukanych rozkoszy, których hojną szafarką jest nasza cywilizacja nietylko za dnia, ale głównie w nocy.

Słusznie też powiada Niemiec: „Das Stadtleben ist Nachtleben“, a im miasto większe, tem większe w niem życie nocne, tem wyszukanisze daje podniety naszym nerwom, tem rychlej też do krańcowego napięcia je doprowadza. Człowiek cywilizowany, w szal użytkowania życia porwany, twierdzi, że wypoczynek jest rzeczą dlań zbędną, bo miejsce jego ma zupełnie zastąpić zmiana wrażeń i dekoracyj otoczenia, — a zmiana ta zależnie od upodobania iść może z kalejdoskopową szybkością: restauracje, piwiarnie i winiarnie, pokoje z „damską usługą“, kabarety i teatry rozmaitości, tingiel-tangle i salony do tańców, bale, koncerty i huczne obiady, teatry, operetki i opery z wyszukaną wystawą i wymyślnym baletem, a wszystkie drogi do jednego celu wiodą, wszystkie drażnią i podnie-

cają, wszystkie zapędzają, żadnych ugaszenia trawiącego ich żaru namiętności mężczyzn, w nastawione sidła kapłanek Wenery. Gdy noc przeto jest polem wyścigów i walki o zdobycie silniejszych wrażeń i upojen zmysłowych, to dzień znowu jest teatrem śmiertelnych zapasów, gdzie jeden drugiego zwalczyć usiłuje, aby mu wydrzeć sławę i majątek, a po gruzach szczęścia i mienia swojego rywala dorwać się i oburącz chwycić pełną czarę rozkoszy i pić z niej bez opamiętania choćby, aż do śmiertelnej własnej zaguby. Zazwyczaj bowiem niedługo organizm człowieka wytrzymać może bezkarnie te gwałtowne wstrząśnienia ducha, te fizyczne wyczerpania ciała.

To też nigdy ludzkości nie trapiły tak przeróżne, wyrafinowane choroby, jak właśnie w naszym kulturą ciężarnem stuleciu, a choć ciągle pocieszamy się nadzieją, że sztuka lekarska świetnie się rozwija; mimo rozgłosu nimbu i sławy, jakimi cieszą się niemal jednodziennej trwałości całe szeregi rozlicznych specyfików, mających nam wracać zniszczone zdrowie i regenerować nadwyreżone mózgi i nerwy, to przeglądając tylko statystykę śmierci, zwłaszcza miast większych i ognisk kultury, możemy łatwo się przekonać, iż ludzie przeważnie w kwiecie lat giną setkami całemi jak muchy, a żadne kulturalne zdobycze medycyny ani trochę powstrzymać nie mogą kośby złowrogiej śmierci.

Choroby weneryczne, nerwowe, rak i gruźlica — oto niezawodne zwiastuny śmierci, które znalazłszy dla się grunt przygotowany przez dwa inne demony wieku naszego, to jest alkohol i siostrzycę jego prostytutkę, urągają wszelkim zakusom dzisiejszej wiedzy lekarskiej, pragnącym przyjść z jakąkolwiek pomocą zagrożonej w swem istnieniu całej ludzkości.

Kiedy hałas uliczny uciszył się, była już godzina 2-ga po północy.

Noc była pogodna. Ani jednej chmurki na niebie. Cichy podmuch, niby oddech, poruszał krzewy. Na murawie i krzewach słyszałeś drżenie, jak gdyby z niej ulatywały dusze. Ciszę uliczną przerywały głuche stapania nocnego patrolu. Ulice były puste, tylko na ich rogach widoczne były postacie kobiece, z daleka wyglądające jak sylwetki lub nocne cienie. Ulica nazywa je „nocnymi ćmami.“ Były to niewolnice XX. wieku, szukające nocą przygodnych gości, by im za marne grosze ofiarować swe wdzięki, a niejednokrotnie i duszę. Śród tych „nocnych cieni“, krążących dokoła szynków, czekających pod la-

tarnią lub czających się w okolicach ustępów publicznych szczególną uwagę zwracała na siebie Irenka, młodziutka, — a już policji dobrze znana ze swego przestępnego życia. Widywano ją często na chodnikach przed kawiarniami, jak ściagała ponurem wzrokiem elegancko ubrane damy, — widywano ją w okolicach wykwintnych lokalów, gdzie rozbawieni biesiadnicy przeciągali swoje uczty aż do późnej nocy — wszędzie tam wystawiała na widok swoją widmową postać nędzy i głodu. A jednak miała ojca i matkę. Lecz ojciec nie myślał o niej, a matka nie kochała jej wcale. Była to jedna z tych dzieci, godnych politowania, mających ojca i matkę, a będących sierotami. Dziecko to czuło się dobrze na ulicy, choć głodne i zziębnięte. Bruk był dla niej mniej twardym, aniżeli serce matki. Rodzice kopnięciem nogi pchnęli ją w życie — na ulicę. Poprostu wyleciała z gniazda. Nie miała schronienia, ani chleba, ani ognia, ani miłości — ulica i przygodni goście — byli dla niej wszystkim. Szła więc krokiem machinalnym, jakby unoszona, przyciskając kurczowo do brzucha zniszczoną torebkę. Na każdym rogu ulicy odwracała się. Wysokie lustro między zamkniętymi wystawami sklepów ukazało jej własną postać... To smukłe i gibkie ciało, owinięte w perkalową sukienkę, którą uwypuklały harmonijnie rozkwitające piersi i pełne biodra... Szlachetny owal twarzy pod czarnym kapeluszem, matowa cera, wielkie błękitne oczy... Buntowała się przeciw swojej wstydlivości i skromnej uczciwości. Przyspieszyła kroku. Irenka uczuła, że ją nudzi, a w oczach robi się ciemno. Nic dziwnego. — Od południa nic nie jadła, a na obiad zjadła dwa jabłka i kromkę chleba. Irenka przyciskając do siebie łokcie, zatapia się w myśli. Wtem znalazła się przed jakąś bramą wjazdową, oświetloną czerwoną latarnią. Na progu bramy stały dziewczęta, a wśród nich kilku mężczyzn. W dziewczętach tych poznała swoje towarzysзки, na twarzach których wryty był ten sam wyraz występku i bolesnej urazy, co u niej. Zepchnięte do rzędu zwierząt, nie myślały już o niczem. Dobro i zło, nadzieja i obawa, radość i boleść, wszystko to nic nie znaczyło dla ich martwych dusz. Dręczyły je jedynie potrzeby fizyczne.

Wtem nagle dał się słyszeć okrzyk: „Policja!“... Po tym okrzyku zielona karetka więzienna zajechała i zabrała je wszystkie na komendę policji...

Na twarzy Ireny czał się wtedy jakiś szydery, złośliwy wyraz. Pięknie skrojone usta z wypukłymi wargami drżały... Ale niezapomniany blask nadawały jej twarzy przedewszystkiem wiel-

kie, głębokie oczy, błękitno-jasne, koloru lodowca, dumne i suche. Oczy te nie płakały — lecz ich ironiczny widok i wyraz tych oczu wskazywał na płacz bliski, lecz zarazem straszny, zbuntowany — przeciwko wszystkim i wszystkiemu, przeciwko społeczeństwu, jego ustrojowi, władzom...

Karetka więzienna z ładunkiem zdobyczy mijła szybko światłany cień żółtych światel latarni ulicznych i zatrzymała się wkrótce przed strażnicą policyjną. Wszystkie aresztowane sprowadzono do kancelarii dyżurnego funkcjonariusza policyjnego. Tu nastąpiły urzędowe przesłuchania i spisywanie zeznań do protokołu. Każdą przesłuchiowano szczegółowo, poczem odsyłano do aresztów policyjnych. Nareszcie przyszła kolej na młodą Irenkę. Ze łzami w oczach opowiadała cały swój życiorys.

... Kiedy miałam już lat 14, wyrzucono mię z domu. Szukałam pracy i chciałam zarabiać na utrzymanie w uczciwy sposób. Nie znalazłszy żadnego zajęcia, zniewolona byłam udać się do domu p. N. Był to ponury, mały dom, o mdłym i cuchnącym zapachu. Widziałam tam straszne rzeczy. Pani ta posiadała cały zbiór rzemieni i różeg, poduszeczek na szpilki, kłujących, szorstkich szczotek i innych narzędzi terrorystycznych, któremi mię i inne młode dziewczęta przed różnymi mężczyznami smagała. Za liche wynagrodzenie musiałam poddać się biciu, szarpaniu, kopaniu nogami. Mężczyźni obdarzali mię policzkami lub uderzeniami różgi bezlitośnie, że skóra mego ciała pokrywała się zielonemi i błękitnemi plamami. Zbuntowałam się prędko i uciekłam z tej przeklętej budy i postanowiłam wyjść na ulicę i tam sprzedawać się... Wszystko, co mówię jest prawdą i dlatego błagam was panowie, nie dręczcie mnie, dajcie mi żyć, lubwskażcie mi inną i odpowiednią drogę ratunku... Czuję się bezsilną, jak wyrzucona na brzeg morza drzazga. Panowie! jam niewinna moich występków, nie pozbawiajcie mnie wolności i nie zatrzymujcie wśród tych milczących murów, ponurych, głuchych, ślepych i nieczułych jak dusze ludzkie!...

Dyżurny wysłuchawszy zeznań i skarg Irenki — uśmiechając się filuternie, odrzekł: — „Ze sprawiedliwością niema żartów!“ — Oslupiałą Irenkę po tych słowach oddał w ręce zarządcy aresztów policyjnych.

Poszła bez słowa... Irenkę wprowadzono do sali rewizyjnej. Tu zastała już cały szereg nieszczęśliwych kobiet, które podobnie jak Irenkę poddano rewizji osobistej. Rewizja była krótka, lecz

niehumanitarna... Od czasu do czasu słyszano jedne i te same rozkazujące wezwania strażniczki, która sprawowała mechanicznie tę czynność. Ręce do góry! Odwrócić się! Pokazać kieszenie! Rozpiąć gorset! itd. Po skończonej rewizji osobistej, klucz obrócił się w zamku, otworzyły się drzwi i Irenka znalazła się w celi więziennej, w której wielkie miasto gromadzi jak w obszernej stajni ludzkiej, wiecznie napelnianej, pomioty swego olbrzymiego życia. Przejściowy zbiornik wiecznie był napelniony i opróżniany. Stałymi jego mieszkańcami byli mordercy, złodzieje, włóczędzy, żebracy, prostytutki... którzy jako brudna fala tego zbiornika odpływała do sądów, więzień, szpitala itd. Irenka znalazłszy się w celi więziennej, była jakby oszołomiona i podobnie jak inne szukała jakiegoś kąta. Cała przestrzeń celi więziennej była pełna we wszystkich częściach i panowało w niej duszące gorąco, oraz przykra woń brudnych ciał kobiet, różnego pochodzenia i wieku. Znajdowały się tam młode i stare, szkaradne i brutalnie odpychające, trzeźwe i pijane z obnażonym ciałem, piękne, lecz jak inne już zwiędłe i napiętnowane zepsuciem. Wszystkie wymieniały między sobą obrzydliwe obelgi, z których wiał gniew i rezygnacja, bunt i skarga...

W miarę, jak upływały godziny, sen ogarniał powoli wszystkie. Irenka z rozpuszczonymi włosami i z podartą spódnicą wcisnęła się w kąt i jak gdyby wstydząc się sama przed sobą — zakryła oczy rękoma i rzewnymi łzami się łzała... W tym nieutulonym z żalu płaczu przed jej oczami przesuwiał się obraz jej dzieciństwa, wygnania z domu rodzicielskiego, jej niedoli i opuszczenia... Dawne jej marzenia o przyszłości chłostały jej serce krwawą ironią. Przy zetknięciu się z największą nędzą straciła wiarę w przyszłość! Jakże czuła się samotną, opuszczoną i wyrzuconą poza nawias życia! Czuła, jak ją przygniata sklepienie więzienia z całem swoim zepsutem powietrzem, czuła, jak w duszy jej zbolalej potężnieje coraz to bardziej bunt do społeczeństwa i jego organizacji, poplątanej potworną siecią swoich ustaw, łagodnych dla ludzi możliwych a tak srogich dla słabych... do których ona należy i podobnie jak inne swój chleb powszedni z ulicznego błota podejmować musi. Szelest zasuwanego rygla obudził ją z jej ciężkiego zamyślenia... podniosła się i otworzyła ciężkie powieki. Przez zamglone łzami oczy zauważyła, że płowe światło porannego zmierzchu wślizgnęło się przez zakratowane, piwniczne okna do celi. Była to już godzina rannego wstawania. Wkrótce dał się słyszeć głos dzwonka, dającego znak

że czas już wstawać. Sypialnia zamieniła się znowu na mównicę i zaczęto robić pobieżną toaletę. Umywalni nie było — więc Irena koniuszek chusteczki zamoczyła w wodzie, stojącej w jednym małym wiaderku i długo zwilżała swoje napuchnięte oczy. O godzinie 8½ odstawiono Irenkę wraz z innymi kobietami do lekarskiej kontroli. Ponieważ lekarz nie stwierdził u Irenki żadnej płciowej choroby, odprowadzoną została znowu do biura policyjnego. Tu wpisano Irenkę na listę dziewcząt publicznych i wręczono jej książeczkę wraz z przepisami, które narzucały jej barbarzyńską niewolę, gorszą niż murzynowi! Przyjmując książeczkę, musiała Irenka przez położenie swego podpisu w wielkim rejestrze rzec się wszelkich praw istoty wolnej... i dźwigać potworny i tragiczny łańcuch niedoli współczesnej cywilizacji i kultury...

O tempora, o mores!...

III.

Kainowa zbrodnia.

„Wstrząsające morderstwo, którego ofiarą padło młode życie ś. p. Stanisława Leitgebera, zmroziło krew w żyłach wszystkich mieszkańców naszego miasta. Wielkie wrażenie wywołała następnie wiadomość, że mordercami byli dwaj chłopcy 14- i 16-letni, a młodszy z nich był rodzonym bratem zamordowanego. Zamordowali oni człowieka, aby mieć pieniądze. Starszy Rysiewski miał już kochankę, Leitgeber zaś od dłuższego czasu marzył o motocyklu. To było tło morderstwa.

Ta niezwykła zbrodnia ściągnęła też do gmachu sądowego tłumy publiczności, ciekawej przebiegu rozprawy i ujżenia tak niezwykłych morderców. Mimo, że wejścia na salę sądową są ograniczone, trudno przedostać się przez korytarze. Na sali grupki znajomych rozmawiają żywo o zbrodni, mającej być rozpatrywaną przez Trybunał.

O samym Leitgeberze toczą się rozmowy, że w więzieniu zachowuje się niżej krytyki. Nietylko, że przez czas pobytu w więzieniu nie okazał on skruchy, ale przeciwnie zachowanie jego jest

cyniczne i wyzywające. Mimo, iż uzyskał on cały szereg ulg różnych w drodze wyjątkowej, w sposób niepraktykowany nawet przez zawodowych przestępców, pisywał zażalenia na władze więzienne.

Poruszenie na sali wywołało wprowadzenie na salę orkarzonego Leitgebera Przemysława. Wchodzi on z miną pewną siebie, ubrany elegancko w granatowy garnitur, z teką pod pachą, na której wymalowane są różne obrazki, jak samochody, aeroplany, trupia głowa itp. Zajął on miejsce na ławie oskarżonych, strzeżony przez policjanta. Po kilku minutach został wprowadzony Rysiewski Feliks, Wrzesiński Franciszek, Rysiewski Franciszek i Rysiewska Stefania. Rozmieszczono ich w ławie oskarżonych w pewnych odstępach od siebie, dla uniemożliwienia im wszelkiego porozumiewania się.

Szepty i szmery na sali uciszyły się z chwilą wejścia na salę Trybunału, w składzie: Przewodniczący sędzia Radłowski, jako wotant dr. Nieduszyński. Orkarza prokurator Janiszewski. Jako obrońcy zgłosili się: za Leitgebera dr. Murach, za Rysiewskiego Feliksa dr. Typrowicz, za Wrzesińskiego Franciszka adwokat Szczudłowski, za Rysiewskiego Franciszka i Rysiewską Stefanję dr. Łasiński. Przewodniczący p. sędzia Radłowski otwiera rozprawę i bada personalja wszystkich oskarżonych, z pośród których Franciszek Rysiewski jest wyznawcą Kościoła Narodowego.

Po stwierdzeniu obecności świadków, którzy do czasu zbadania oskarżonych musieli opuścić salę rozpraw, lekarze rzeczoznawcy zajęli swe wyznaczone miejsca i pan przewodniczący przystąpił do odczytania aktu oskarżenia.

Prokurator Janiszewski wnosi o przesłuchiwanie oskarżonych każdego z osobna. Sąd udaje się na naradę i po chwili ogłasza uchwałę, przychylającą się do wniosku prokuratora.

Odczytanie aktu oskarżenia.

Dnia 4-go marca 1926 roku około godz. 12-tej w południe pani Władysława Gierowa, właścicielka mieszkania przy ul. Jagiellońskiej 29, którego część odnajmywała na biuro Związku Lekarzy, weszła do lokalu i zastała sekretarza Związku Lekarzy ś. p. Stanisława Leitgebera, leżącego przy biurku, zbroczonego krwią. P. Gierowa zawiadomiła natychmiast dr. Kubczaka, który po przybyciu na miejsce zastał ś. p. Leitgebera bezprzytomnego, rzucającego się i broczącego krwią z tylnej części głowy. Oględziny lekarskie



denata wykazały, że bezpośrednią przyczyną śmierci były uderzenia tępe m narzędziem o ostrych brzegach w tylną część czaszki; uderzeń cztery, wszystkie bezwarunkowo śmiertelne, ponieważ zniszczyły mózg. Pomoc lekarska nie była w stanie zapobiec śmierci i ś. p. Leitgeber, przewieziony do Lecznicy Miejskiej, w krótkim czasie wyzionął ducha.

Rano, tego samego dnia zamordowany był w mieszkaniu dr. Kubczaka, który wręczył mu bieżącą korespondencję do załatwienia, a także około 15 000 złotych w czarnej teczce skórzanej z poleceniem dokonania wypłaty lekarzom należności za leczenie na kolejach. Teka ta wraz z pieniędzmi została zrabowana.

Pierwsze poszukiwania za zbrodniarzami obracały się dokoła jego znajomych i nie dawały rezultatu. Dopiero dnia 18 marca 1926 roku policja śledcza otrzymała wiadomość, że brat zamordowanego, Przemysław Leitgeber kupił od firmy Bunn motocykl za 2800 złotych, płacąc gotówką, a przyjaciel jego, nieznany z nazwiska, zataktował kwotą 1000 złotych w firmie Seifert nowy motocykl. Na skutek tej wiadomości został ujęty Przemysław Leitgeber, który zeznał, że do zbrodni zamordowania brata nakłonił go Feliks Rysiewski.

Dnia 4 marca bratobójca Leitgeber, wraz ze ś. p. Stanisławem był u dr. Kubczaka, gdzie zamordowany odebrał pieniądze i obaj razem udali się do biura Związku Lekarzy. Na ulicy przed biurem, zgodnie z uprzednią umową, oczekiwał Feliks Rysiewski, który na dany mu przez Przemysława Leitgebiera znak, wszedł do biura. Stanęli wtedy obaj z tyłu za swą ofiarą i po porozumieniu się na migi, Rysiewski uderzył ś. p. Stanisława Leitgebiera młotkiem w tył głowy tak, że ten pochylił się na biurko. Przemysław Leitgeber zatkał wtedy bratu usta, a Rysiewski jeszcze kilkakrotnie ofiarę młotkiem dobijał. Zdobytemi zapomocą zbrodni morderstwa pieniędzmi podzielili się oni po połowie. Zbrodnia z § 211 kodeksu karnego w idealnym zbiegu ze zbrodnią rozboju z § 251.

Wrzesińskiego Franciszka prokurator oskarżył o to, że wiedząc, iż Przemysław Leitgeber i Feliks Rysiewski mają popełnić zbrodnię morderstwa i rozboju na osobie Stanisława Leitgebiera, przyrzekł im zdobycz przechować, a po dokonaniu zbrodni świadomie dla własnej korzyści udzielił im poparcia, aby ich od kary uchronić i zapewnić korzyści ze zbrodni przez przyjęcie na przechowanie teki

z pieniędzmi, za co otrzymał wynagrodzenie w kwocie 50 złotych. Zbrodnia z §§ 258 i 211 k. k.

Rysiewski Franciszek, ojciec, po dokonaniu przez syna swego Feliksa zbrodni morderstwa, w obawie przed poszukiwaniem syna i pieniędzy przez władze, wysłał go wraz z matką do Nowo-Święcian, a nadto część pieniędzy, pochodzących ze zbrodni rabunku, zatrzymał dla własnej korzyści, a mianowicie 1000 złotych zapłacone firmie Seifert, jako zadek na motocykl i 550 złotych, zapłacone Ustynowiczowi za aparat radio, które to sumy Franciszek Rysiewski z powrotem odebrał. Zbrodnia z § 258 k. k.

Stefanja Rysiewska, siostra mordercy, jest oskarżoną, że odebrała od Kurta Marxa pożyczone mu ze zrabowanych pieniędzy przez Feliksa Rysiewskiego 170 złotych. Występek z § 257 k. k.

W tem miejscu przewodniczący zarządza wyprowadzenie wszystkich orkarżonych, a pozostawia na sali tylko oskarżonego Leitgebera.

Zeznanie bratobójcy.

Przewodniczący: Czy oskarżony przynaje się do winy?

Osk. Leitgeber: Do winy się poczuwam, ale z powodu upływu kilku miesięcy, szczegółów ani przygotowań do zbrodni nie pamiętam.

Przew.: Jakie oskarżony ukończył szkoły?

Osk. Leitgeber: Żadnych; uczyłem się w domu, następnie w gimnazjum w Nakle i w gimnazjum w Bydgoszczy.

Przew.: Ile lat był oskarżony w gimnazjum?

Osk. Leitgeber zagląda do aktów i po chwili mówi, że skończył dwie klasy w gimnazjum humanistycznym.

Przew.: Dlaczego oskarżony opuścił gimnazjum?

Osk. Leitgeber: Tego nie mogę wytłumaczyć.

Przew.: Czy podsądny miał dobre stopnie ze sprawowania?

Osk. Leitgeber: Nie przypominam sobie.

Przew.: Co oskarżony robił po opuszczeniu gimnazjum?

Osk. Leitgeber: Byłem wolontarjuszem w warsztacie Wróblewskiego przez kilka miesięcy.

Przew.: Kiedy oskarżony poznał się z Rysiewskim?

Osk. Leitgeber: Nie pamiętam.

Przew.: Czy przypomina sobie oskarżony rozmowę prowadzoną z Rysiewskim i Wrzesińskim na temat kupna motocyklu?

Osk. Leitgeber: Nie przypominam sobie.

Przew.: Może oskarżony przypomina sobie sprawę sprzedaży skradzionych odpadków miedzi?

Osk. Leitgeber: Nie.

Przew.: Może inne rzeczy przypomina sobie oskarżony, a mianowicie, czy była dyskusja, że brat zamordowany posiada większą gotówkę?

Osk. Leitgeber: Nie przypominam sobie.

Przew.: Czy przypomina sobie oskarżony, że chciał otruć brata i w tym celu starał się o truciznę?

Osk. Leitgeber: Nie.

Przew.: Gdy sprawa otrucia ś. p. Stanisława zeszła z planu, czy przypomina sobie oskarżony, że był projekt zamordowania ś. p. Stanisława sztabą żelazną, celem zdobycia pieniędzy?

Osk. Leitgeber: Nie.

Przew.: Może jednakże przypomni sobie oskarżony spotkanie z Rysiewskim w dzień, poprzedzający zbrodnię?

Osk. Leitgeber: Nie.

Przew.: Czy przypomina sobie podsądny, że krytycznego dnia, t. j. 4. marca 1926, kiedy zamordowany został ś. p. Stanisław, był podsądny, wraz z oskarżonym Rysiewskim w lokalu Związku Lekarzy?

Osk. Leitgeber: Nie przypominam sobie.

Przew.: Jakże Leitgeber wytłumaczy to, że do winy poczuwa się, jednak na wszystkie pytania odpowiada, że nie przypomina sobie faktów?

Osk. Leitgeber: Mogę przeczytać akt oskarżenia?

Przewodniczący zwraca uwagę oskarżonemu, by się nie śmiał ironicznie i zachowywał na sali rozpraw przyzwoicie.

Prokurator: Czy oskarżony był kiedy karany, względnie czy dostał jaki akt oskarżenia?

Osk. Leitgeber: Jakiś dostałem.

Prokurator stwierdza, że Leitgeber jest oskarżony o kradzież 800 zł w roku 1925 i wnosi o dołączenie aktu oskarżenia do niniejszej sprawy.

Na pytanie obrońcy dr. Muracha, czy oskarżony jeździł kiedy samochodami, lub motocyklami i czy oskarżony chciał je mieć, czy wiedział, że na ten cel potrzebne są pieniądze, czy myślał o tem, by je zdobyć, czy kwestję tę omawiał z kolegami, — odpowiada oskarżony potwierdzająco, a na inne: czy nie podsunęła mu się myśl za-

mordowania brata, że nie przypomina sobie. Również na pytanie adwokata Szczudłowskiego, czy Wrzesiński był jego kolegą, odpowiada twierdząco, ale kiedy go poznał, nie wie.

Dr. Nieduszyński: Czy Leitgeber pamięta, kiedy stracił brata?

Osk. Leitgeber: Mogę zobaczyć. (Przegląda akta) 4-go marca 1926 roku. (Po dłuższej chwili dodaje): O której godzinie, tego stwierdzić nie mogę.

Dr. Nieduszyński: Czy oskarżony pamięta, kiedy był aresztowany?

Osk. Leitgeber zagląda do aktów i podaje, że dnia 19 marca 1926, a na dalsze pytanie, co robił między 4-ym a 19-ym marca, tego nie wie.

Dr. Murach zauważa, że w aktach sprawy znajdują się dwa orzeczenia lekarskie. Jedno z nich dra. Turzimy-Prusa odpada, gdyż są zakwestjonowane kwalifikacje tegoż lekarza, drugie zaś lekarza powiatowego dr. Ziętaka nie może być również brane pod uwagę, ponieważ dr. Ziętak nie jest lekarzem psychiatrą i stawia wniosek o przesłuchanie dra. Bielawskiego, gdyż może zająć potrzeba odroczenia rozprawy i zbadania stanu umysłowego Leitgebera.

Przewodniczący stwierdza, że powołany, jako rzeczoznawca dr. Bielawski, lekarz zakładu dla obłąkanych w Dziekance, miał pod swą obserwacją ojca Leitgebera, chorego rzekomo na lues i że w myśl porozumienia z tym lekarzem będzie on mógł wydać orzeczenie swe na rozprawie.

Sąd udaje się na naradę i po chwili ogłasza uchwałę, że sąd zada pytania rzeczoznawcom, co do orzeczenia, po przesłuchaniu oskarżonych i po myśli § 253 pan przewodniczący odczytuje szczegółowe zeznania oskarżonego Przemysława Leitgebera, złożone przed sędzią śledczym Bromirskim, w których podawał dokładnie przygotowania, jak też i wykonanie zbrodni morderstwa, której, jak sam zeznał, dopuścił się jedynie dlatego, by mieć motocykl.

Na pytanie przewodniczącego, czy przypomina sobie przeczytane przed chwilą zeznania, które złożył przed sędzią Bromirskim, oskarżony Leitgeber odpowiada: Nie.

Badanie mordercy Rysiewskiego.

Po przedstawieniu oskarżonemu Rysiewskiemu zeznań oskarżonego Leitgebera, pan przewodniczący zapytuje go, czy do winy się poczuwa.

Osk. Rysiewski: Tak.

Przew.: Jakie oskarżony posiada wykształcenie?

Osk. Rysiewski: Skończyłem cztery klasy szkoły powszechnej, potem byłem w gimnazjum matematyczno-przyrodniczem do IV. klasy włącznie, poczem zakład naukowy opuściłem.

Przew.: Dlaczego oskarżony opuścił gimnazjum?

Osk. Rysiewski: Ponieważ moje postępy w nauce nie były zadowalniające.

Przew.: Czy oskarżony był karany?

Osk.: Rysiewski: Nie.

Przew.: Z czego niedostateczne stopnie otrzymał oskarżony w gimnazjum?

Osk. Rysiewski: Jedynie z matematyki. Ze sprawowania miałem stopnie dobre.

Przew.: Kiedy oskarżony poznał Leitgebera?

Osk. Rysiewski: Z czasów pobytu w gimnazjum.

Przew.: Czy często się z nim stykał?

Osk. Rysiewski: Codziennie prawie.

Przew.: W jaki sposób powstał plan zakupu motocyklu?

Osk. Rysiewski: Wraz z Wrzesińskim chcieliśmy zdobyć pieniądze na zakup motocyklu pracując poza godzinami obowiązującymi w warsztacie, Leitgeber zaś miał dołożyć 500—800 złotych gotówką. On też namawiał mnie do kradzieży wiorów miedzianych, a gdy zebrałiśmy ich dwadzieścia funtów i nie można było znaleźć nabywcy, projekt uzyskania pieniędzy w ten sposób upadł.

Przew.: W jaki sposób wszedł w grę ś. p. Stanisław Leitgeber?

Osk. Rysiewski: Byłem kiedyś u Leitgeberów, na biurku leżała teka skórzana. Spytałem czyja to, wówczas Przemysław oświadczył mi, że to teka brata jego Stanisława, który miewa w niej nieraz bardzo dużo pieniędzy. Gdy wyszliśmy Przemysław mówił mi, że byłby już okradł brata swego, lecz tego uczynić nie może, bo on by się zastrzelił.

Przew.: Czy oskarżonemu wiadomem było, że zamordowany cieszył się bardzo dobrą opinią?

Osk. Rysiewski: Zamordowanego bliżej nie znałem.

W dalszym ciągu oskarżony Rysiewski podaje, że gdy był z Leitgeberem u Wrzesińskiego doszli do przekonania, że w ten sposób nie dojdą nigdy do kupna motocyklu. Wówczas to Leitgeber postawił projekt „sprzątnięcia“ swego brata przy pomocy

otrucia, że ma znajomego aptekarza, który mu truciznę dostarczy. Po tygodniu — zeznaje Rysiewski — spotkałem się znów z Przemysławem, który mi powiedział, że w domu otrucia dokonać nie może, boby to „podpadło“ i uczynił mi propozycję, bym to sam zrobił w biurze, częstując ś. p. Stanisława papierosem usypiającym. Na to ja się nie zgodziłem. Wtedy Przemysław powiedział mi, że mamy jeszcze dużo czasu i on jeszcze co innego wymyśli. Te rozmowy były prowadzone we dwójkę.

Po kilku dniach przedstawił mi Leitgeber dokładny plan morderstwa i mówił, że przed 1-ym marca będzie się brata wypytywał, kiedy będzie miał pieniądze i zawiadomi mnie, kiedy mamy udać się do biura, by tam zamordować ś. p. Stanisława sztabą żelazną. Ja zaproponowałem wówczas młotek, bo czytałem kiedyś w gazecie, że syn zabił matkę młotkiem. Dnia 3-go marca o godzinie 6-tej wieczorem spotkałem się z Leitgeberem na ulicy Zduny. Mówił mi on, że na drugi dzień brat jego będzie miał 15 000 złotych. Powtórzony został cały plan zbrodni. Poszliśmy następnie do Wrzesińskiego, by się upewnić, czy on przyjmie na przechowanie pieniądze, a dwa dni przedtem mówiłem temuż Wrzesińskiemu o zamierzonym morderstwie. Krytycznego dnia o godzinie 7.30 rano byłem przed domem Leitgebrów. Przemysław zaszedł na dół i oświadczył, że wszystko w porządku i nic nie ulegnie zmianie. Leitgeber wrócił następnie na górę i po dłuższej chwili zeszedł wraz ze ś. p. Stanisławem. Szedłem za nimi. Na ulicy Gdańskiej spotkałem siostrę, która mnie zatrzymała, tak, że straciłem ich z oczu; udałem się więc na ulicę Jagiellońską i przed domem, w którym mieścił się Związek Lekarzy czekałem do godziny 11-tej. Zdawało mi się to bardzo długo i już wracałem do domu, gdy koło poczty spotkałem Przemysława, który szedł na moje spotkanie. Wróciliśmy razem pod biuro. Stanęliśmy w bramie, naprzeciw biura i oczekiwaliśmy na ś. p. Stanisława, a gdy ten się zjawił, Przemysław wyszedł z bramy i poszedł za nim na górę, a ja zaś pozostałem, oczekując umówionego znaku. Na dany znak wszedłem do biura. Ś. p. Stanisław siedział przy biurku, Przemysław stał po lewej stronie, obok brata i na moje wejście oznajmił, że dlatego poprosił kolegę, by wyjść z nim razem do miasta. Stałem z tyłu za ś. p. Stanisławem, obok Przemysława Leitgebra i zapytałem go oczyma, czy należy ofiarę ugodzić, a on kiwnął głową. Powtórnie zapytałem go oczyma, czy należy uderzyć, a Przemysław powtórnie potwierdził. Gdy chciałem młotek z kie-

szeni wyjąć i wymierzyć cios w głowę ofiary. ś. p. Stanisław wstał i zaczął przechadzać się po biurze. Mielśmy już wtedy wyjść na miasto, ale Przemysław zwlekał i ociągał się. W pewnym momencie ś. p. Stanisław usiadł znów przy biurku, a myśmy stanęli na swych miejscach. Raz jeszcze zapytałem oczyma Leitgebra, a gdy ten kiwnął głową, wyjąłem młotek z kieszeni, podniosłem go do góry i spuściłem na głowę ofiary. S. p. Stanisław pochylił się na biurku i złamał pióro. W tym momencie Przemysław prawą ręką złapał brata za kołnierz, a lewą, w której miał przygotowaną chustkę, zatkał mu usta. Nastąpiło to błyskawicznie. Drugi raz nie uderzyłem, ale gdy Przemysław przyciszonym głosem zawołał: „Rysiek, wal!“ zadałem drugi, trzeci i czwarty cios ś. p. Stanisławowi. Ofiara pochyliła się, ale Przemysław podtrzymał go, by nie upadł i nie narobił hałasu i z wolna położył go na podłodze. Zgarnął następnie pieniądze do teczki i uciekł na ulicę. Ja zostałem jeszcze chwilę, uderzyłem ś. p. Stanisława trzy razy młotkiem i wyszedłem na ulicę, gdzie Przemysławowi powiedziałem: „Ale mu dałem.“ Młotek, narzędzie śmierci, rzuciłem do Brdy. Poszliśmy następnie na ul. Poznańską, do Wrzesińskiego, którego w domu nie zastaliśmy. Przemysław pożegnał się wtedy zemną, ja zaś czekałem na Wrzesińskiego, gdy on przyszedł, spaliłem w jego mieszkaniu niepotrzebne papiery, znajdujące się w tece. Wrzesiński dał mi następnie pudełko od obuwia, w które włożyłem pieniądze. Wrzesiński karton zawiązał i schował do umywalki. Pieniądze te odebrałem tego samego dnia od Wrzesińskiego i dałem do przechowania Radzimskiemu. Gdy spotkałem się z Przemysławem, mówił mi on, że wszystko w porządku, że brat żył jeszcze cztery godziny, ale nie odzyskał przytomności. Następnie w towarzystwie kolegów byłem samochodem w Toruniu, w restauracji u Kaubego, gdzie piliśmy szampana w szesnaście osób; kolacja kosztowała 150 złotych. Spałem tego dnia u Kuklińskiej. Gdy siostra znalazła u mnie 300 złotych, skłamałem skąd je posiadam, dopiero, gdy ojciec natknął się na kwit od Seiferta, u którego zadatkowałem tysiącem złotych motocykl, przyznałem się, że popełniłem zbrodnię. Ojciec od wymienionej firmy pieniądze odebrał, a także od firmy Palatine, gdzie kupiłem radjo-aparat. Wtedy postanowiony został wyjazd mój do brata Adama, zamieszkałego w Nowo-Swięcianach.

Po tygodniowym pobycie u niego, wyszedłem na miasto i zostałem aresztowany.

Przew.: Czy oskarżony żałuje, że popełnił zbrodnię?

Osk. Rysiewski odpowiada sucho: Tak.

Zapytany Leitgeber, czy ma co do powiedzenia, odnośnie zeznań Rysiewskiego odpowiada: Nie.

Adwokat Szczudłowski: Jak długo oskarżony zna Wrześcińskiego i czy ten pożyczał oskarżonemu pieniądze?

Osk. Rysiewski: Wrześcińskiego znam od roku. Pracowaliśmy razem. Pożyczyłem od niego 30 złotych, za co oddałem mu ze zarbowanych 100 zł.

Adw. Szczudłowski: Czy Wrześciński brał udział w libacji u Kaugo, względnie w Toruniu?

Osk. Rysiewski: Nie.

Dr. Typrowicz: Może oskarżony wyjaśni szczegółowo sumę 700 złotych, którą Leitgeber miał dodać do kupna motocyklu?

Osk. Rysiewski: Przemysław mówił mi, że matka jego ma złote rzeczy, które chciał skraść i sprzedać. Mówił też o jakimś procesie, który matka jego w Nakle prowadzi. Wnioskowałem, że Przemysław chce zamordować brata dla pieniędzy, gdyż mówił, że matka żałować Stanisława nie będzie, bo się z nim ciągle kłóci.

Dr. Murach: Dlaczego oskarżony zapytywał Leitgebera o otrucie Stanisława?

Osk. Rysiewski: Bo on miał tego dokonać.

Dr. Murach: Czyj był młotek, którym oskarżony dokonał morderstwa?

Osk. Rysiewski: Mój, pokazywałem go w dniu morderstwa Leitgeberowi.

Dr. Bielawski: Mielicie plan obmyślony, a nie przyszło wam na myśl, że ktoś może wejść do biura w czasie dokonywania mordu.

Osk. Rysiewski: Leitgeber to przewidywał, ale w zasadzie nie robiliśmy sobie nic z tego.

Dr. Bielawski: Dlaczego Leitgeber trzymał chustkę w lewej ręce?

Osk. Rysiewski: Bo tak poręczniej, gdyż ja stałem z prawej strony denata.

Dr. Bielawski: Czy ruch głową Leitgebra, rozumiał oskarżony, jako potwierdzenie zadania ciosu?

Osk. Rysiewski: Stanowczo.

Dr. Typrowicz: Komu się oskarżony zwierzał o morderstwie?

Osk. Rysiewski: Wrześniowskiemu.

Dr. Typrowicz: Czy odwoził kto oskarżonego od zbrodni?

Osk. Rysiewski: Ja sam byłem przeciwny. Proponowałem Leitgeberowi kradzież, lecz on się na nią nie zgodził. Nie było nikogo starszego, ktoby zbrodnię wyperswadował. Przemysław miał na mnie wpływ i dlatego uległem i popełniłem zbrodnię. Przez ojca i siostrę byłem krótko trzymany. Zabraniali mi oni widywać się z Przemysławem, nie pozwolili jemu przychodzić do domu. Przemysław czekał mnie zawsze na ulicy.

Prokurator: Co ojciec powiedział na to, że oskarżonego nie było przez 24 godziny w domu?

Osk. Rysiewski: Ojciec szukał mnie, a gdy znalazł, przyznałem mu się do zbrodni.

Adw. Szczudłowski: Czy Rysiewski podawał się za bogatego?

Osk. Rysiewski: Tak, jeśli mnie o to pytano.

Prokurator: Czy oskarżony mówił Wrześniowskiemu, że dostanie pieniądze z Ameryki?

Osk. Rysiewski: Nie mówiłem mu, bo on wiedział że mam pieniądze z morderstwa rabunkowego.

Zainteresowanie rozprawą wśród publiczności wzrasta. Mimo ograniczonych miejsc na sali ciekawi cichaczem dostają się do wnętrza. Sala przepełniona. W czasie krótkich przerw, drzwi wejściowe są oblegane przez publiczność, znajdującą się na korytarzu, żądną ujżenia morderców.

O godzinie 5.30 Trybunał wchodzi na salę.

Zeznanie świadków.

Jako pierwsza zeznaje Władysława Ger, która odnajmowała mieszkanie Związkowi Lekarzy.

Krytycznego dnia weszła do pokoju i znalazła ś. p. Leitgebera, leżącego na podłodze we krwi. Poruszał się jeszcze i charczał. Przestraszona zaczęła wołać pomocy. Przybyli sąsiedzi, zaczęli ś. p. Leitgebera obmywać wodą. Świadek zatelefonowała po dr. Kubczaka. Na miejsce zbrodni przybyło kilku lekarzy. Karetką pogotowia odwieźli go do lecznicy. Świadek nikogo wchodzącego do mieszkania nie widziała, ani też nie słyszała krzyków.

Świadek dr. Kubczak zeznał, że śmierć ś. p. Stanisława Leitgebera nastąpiła tego samego dnia o godzinie 4-tej. Świadek przeprowadzał sekcję razem z dr. Ziętakiem. Sekcja wykazała potrząskaną opone

twardą czaszki, i zmiążdżenie mózgu. Pomoc lekarska była bezskuteczna, gdyż pierwsze uderzenie było śmiertelne.

Świadek, starszy przodownik policji Kolber, podał szczegółowo przebieg śledztwa, i wykrycie sprawców morderstwa na ś. p. Stanisławie Leitgeberze.

Świadkowie: Franciszek Radzimski, Leon Konieczny i Józef Zbiechowski, do rozprawy nic ciekawego nie wnoszą, prócz znanych szczegółów ze śledztwa, że kolejno przechowywali pieniądze i częściej korzystali z libacji, urządzanych przez Rysiewskiego.

Świadek Bunn Helmuth, przedstawił sądowi sprawę kupna przez Dominę i Leitgebera motocyklu za 2600 złotych.

Świadek Domina Józef pracował razem z Leitgeberem w firmie Wróblewski. Leitgeber zwierzył mu się, że ma trochę pieniędzy uskładanych na motocykl, a część zaś odziedziczył po zamordowanym bracie, który chował pieniądze na ślub. Ponieważ był on niepełnoletni, zwrócił się do świadka z prośbą, by ten kupił motocykl na swoje nazwisko, i ofiarował na ten cel pieniądze. Poszli obaj ze świadkiem do Bunna i motocykl kupili.

Na zapytanie dr. Bielawskiego, świadek odpowiada, że Leitgeber był rozgarnięty, przytem bardzo sprytny, a w rozmowie mądry. Prace przez niego wykonywane, choć trudne, były bez zarzutu.

Świadkowi Maksymiljanowi Szubertowi oskarżony Rysiewski proponował pożyczkę 2000 złotych na kupno motocyklu, ale ten jej nie przyjął. Świadek wyjeżdżając do Torunia w interesach firmy, w której pracował, widział na dworcu Rysiewskich ojca i syna, a także matkę i siostrę Rysiewskiego, Feliks Rysiewski proponował mu jazdę do Warszawy dla zabawy. Świadek widział, jak ojciec Rysiewskiego kupił w Toruniu dwa bilety do Nowoświecian.

Ustynowicz Stanisław, kierownik firmy technicznej zeznaje odnośnie zakupu u niego aparatu radjo przez Feliksa Rysiewskiego. Ojciec Rysiewskiego aparat zwrócił i zażądał zwrotu pieniędzy, rzekomo skradzionych mu przez syna. Świadek zwrócił 550 złotych.

Kuklińska Helena poznała Rysiewskiego 14-go marca na koloacji u Kaubego, gdzie było przeszło 20 osób. Towarzystwo piło wino i wódkę. Rysiewski płacił rachunek, który wynosił 300 złotych. Świadek podaje, że dostała od Rysiewskiego 40 złotych. Libacja skończyła się o 3-ciej rano. Rysiewski poszedł spać do niej.

Beiger Helena zeznaje podobnie, jak świadek poprzedni. Podaje ona, że Rysiewski dał jej 30 złotych i był pijany.

Adwokat dr. Łasiński sprzeciwia się zaprzysiężeniu świadka Kurta Marxa. Sąd postanowił odebrać przysięgę od świadka, który zeznał, że był na libacji u Kaubego i pił wino. Rysiewski mówił, że pieniądze otrzymał z Ameryki. Świadek pożyczył od niego 170 złotych, które zwrócił.

Świadek Arnold Pauzeman widział u Rysiewskiego paczkę dwudziestozłotówek. Mówił on, że pieniądze otrzymał od wuja z Ameryki.

Świadek inż. Wilhelm Bucholz podał, że Wrzesiński i Rysiewski pracowali u niego. O tem, by ginęły odpadki miedzi, świadek nie wie. Wrzesiński był dobrym pracownikiem. O Rysiewskim nic nie może powiedzieć, gdyż za krótko u niego pracował.

W dalszym ciągu zeznawali: oskarżony Fr. Wrzesiński, Franciszek Rysiewski, Rysiewska, matka Leitgebera, i cały szereg świadków. Zeznania ich, jak również orzeczenia lekarzy ekspertów: Dra. Bielawskiego, Czajkowskiego i Ziętaka, stwierdziły, że Leitgeber, popełniając zbrodnię, znajdował się w stanie zupełnej świadomości czynu.

O godzinie 10.30 w nocy przewodniczący zamknął posiedzenie, wyznaczając termin dalszej rozprawy na środę, godz. 9.30.

Świadek Franciszek Gołębiewski, starszy posterunkowy policji śledczej, przeprowadzał śledztwo i badał Leitgebera, który szczegółowo opisywał zbrodnię, i fakta znane już a podane wczoraj. Przemysław był normalny, skruchy nie okazywał, zachowywał się grzecznie.

Na pytanie dr. Bielawskiego, jak się oskarżony Leitgeber w domu zachowywał, świadek podaje, że był bardzo spokojny i robił nawet przypuszczenia, że zbrodni dokonać mógł jeden ze znajomych brata śp. Stanisława. Matka oskarżonego była apatyczna i paliła papierosy.

Oskarżony Wrzesiński do winy nie poczuwa się. Rysiewskiego poznał w warsztatach inż. Bucholza. Mówił on, że ma rodziców w Ameryce, którzy tam posiadają fabrykę. Pożyczył mu nawet 30 złotych.

W dniu morderstwa, spotkał on Rysiewskiego, stojącego przed bramą domu, w którym on mieszka i ten powiedział mu, że dostał

z Ameryki 500 dolarów, i zmienił je na złote, a że teka nie jest jego, więc musi pieniądze przelożyć.

Przew.: Kto przekładał pieniądze z teki do kartonu?

Wrzesiński: Robił to Rysiewski, gdyż mnie nie było w domu, wyszedłem bowiem po zakupy. Rysiewski oddał mi dług 30 złotych, i dołożył mi jeszcze 20 zł. Na drugi dzień w warsztacie Rysiewski opowiadał o morderstwie i że już podobno złapano sprawcę w osobie jakiegoś restauratora, który miał poplamiony krwią płaszcz.

Adw. Szczudłowski: Czy oskarżony jeździł kiedy na motocyklu z Rysiewskim?

Wrzesiński: Nigdy.

Adw. Szczudłowski: Czy oskarżony bywał kiedy po morderstwie w restauracji z Rysiewskim?

Wrzesiński: Nie.

Ojciec mordercy również do winy nie przyznaje się i twierdzi, że syn nie przyznał mu się do popełnienia zbrodni, a o tysiącu złotych, które odebrał od Seiferta mówi, że pochodziły one z kradzieży na poczcie.

Gdy Feliksa po dwudziestoczworgodzinnej nieobecności w domu złapałem, mówił mi on, że Radzimski skradł pieniądze na poczcie, i dał mu 1000 złotych na kupno motocyklu. Poszedłem wtedy do Seiferta i powiedziałem mu, że Feliks skradł mi pieniądze, i żądałem zwrotu, co też Seifert uczynił.

Przew.: Dlaczego oskarżony wysłał syna do Nowoświecian?

Osk. Rysiewski: Ja go nie wysłałem, lecz wyrzuciłem go z domu.

Przew.: To czemu oskarżony nie umiał podać, gdzie się podziała żona jego z synem Feliksem?

Rysiewski: Ja nie wiedziałem, gdzie on pojechał z żoną.

Dr. Łasiński: Dlaczego oskarżony powiedział Seifertowi, że tysiąc złotych są jemu skradzione?

Rysiewski: Dlatego, by ta sprawa nie była głośna.

Dr. Łasiński: Co się stało z odebranymi od Seiferta i Ustynowicza pieniędzmi?

Rysiewski: Włożyłem je do komody, a mając u siebie sublokatora, bałem się, by mi ich nie skradł. Chciałem je złożyć w Powiatowej Kasie Oszczędności, ale kasa była zamknięta. Na drugi dzień byłem aresztowany i pieniędzy do kasy nie oddałem. Przy rewizji pieniądze znaleziono.

Dr. Łasiński: Dlaczego oskarżony groził synowi, że go wyrzuci z domu?

Rysiewski: Bo zadawał się z Leitgebrem, który go do wszystkiego kusił.

Dr. Łasiński: Czy Feliks skutkiem złych skłonności dopuścił się tych zbrodni?

Rysiewski: Bez wątpienia, wpłynęło na to złe towarzystwo i koledzy. Czytywał on też książki sensacyjno-kryminalne.

Dr. Łasiński: Czy okazywał on złe skłonności?

Rysiewski: Raz pokradł siostrze biżuterję, złotą, zawsze kłamał.

Prokurator: Jak syn wyjeżdżał, czy oskarżony odprowadzał go na stację?

Rysiewski: Odprowadziłem go i dałem mu 200 złotych, myśląc, że jedzie do Torunia.

Dr. Murach: Syn żalił się przed oskarżonym, że Leitgeber go do czegoś kusi, ale do czego on go kusił?

Rysiewski: Pytałem się Feliksa, ale on nie mówił mi do czego.

Oskarżona siostra mordercy Stefania Rysiewska, do winy się nie przyznaje.

Przew.: Czy oskarżona odprowadzała Feliksa na stację?

Rysiewska: Tak.

Na dalsze pytania sądu Rysiewska odpowiada, że nie wiedziała nic o zbrodni, popełnionej przez brata, że ten się do niej nie przyznał. Pieniądze, zadatkowane, wzgl. pożyczone przez Feliksa, chciała odebrać i zwrócić prawemu właścicielowi, gdyż przypuszczała, że pochodzą z nieczystego źródła.

Na tem zakończono przesłuchiwanie oskarżonych, i przewodniczący zarządził przerwę obiadową.

Łucja Leitgeber, matka oskarżonego Przemysława, nie chciała skorzystać z dobrodziejstwa ustawy i zeznawała. Podała ona, że miała czworo dzieci, które były zdrowe. Przemysław przyszedł na świat w 1911 roku. Był on nienormalnem dzieckiem, nerwowem, tylko dobrocią mogła go prowadzić przez życie. Nie chciał on się uczyć i w językach stał słabo. Mąż umarł w 1920 roku w Dziekance, po pięcioletnim pobycie w zakładzie dla obłąkanych. Przemysław był w lecznicy u brata, a gdy go matka chciała do niego zbliżyć, zawołał: „Mamo, ja nie mogę patrzeć!” i płakał. Robiło to wrażenie, że nie chce patrzeć na konającego brata. Przemysław czytywał książki o treści kryminalnej, które bardzo lubił, chodził też

często do kina. Matka podaje, że śp. Stanisław miał często większe sumy pieniędzy, które Przemysław, gdyby chciał, mógł był skraść, lecz tego nie zrobił.

Dr. Murach: Czy prawdą jest, że Przemysław usiłował raz targnąć się na swoje życie?

Matka: Chciał się raz nożem zarżnąć, gdy go ząb bardzo bolał. Miał wtedy lat 3.

Dr. Murach: Jakie robił na pani wrażenie stan psychiczny Przemysława?

Matka: Że jest nienormalny, zdenerwowany.

Dr. Bielawski: Czy pani jest nerwowo zdrowa?

Leitgeberowa: Sądzę, że tak, może tylko serce szwankuje.

Dr. Bielawski: Czy Przemysław jest popędliwy?

Leitgeberowa: Bardzo. Rysiewski miał wpływ na niego.

Dr. Bielawski: Jak dawno zna pani Rysiewskiego?

Leitgeberowa: Niedawno.

Dr. Bielawski: Czy Przemysław miał dobre serce i czy zwracał się kiedy z uczuciem synowskiem do świadka?

Leitgebrowa: Tak, miał bardzo dobre serce. Nieraz gdy zabrakło pieniędzy w domu i on widział braki, to nie chciał nic do ust włożyć, tak go to przejmowało.

Dr. Bielawski: Czy był dobry dla zwierząt?

Leitgebrowa: Był dobry. Słyszałam raz tylko, że podobno wybił psa.

Dr. Czaykowski: Czy mąż pani pił?

Leitgebrowa: Owszem pił. Pijanego do nieprzytomności widziałam go może dwa razy.

Dr. Czaykowski: Do kogo podobny jest Przemysław?

Leitgebrowa: Fizycznie do mnie, z charakteru do ojca.

* * *

Przed wydaniem orzeczenia przez lekarzy znawców, zabrał głos Dr. Murach i postawił wniosek, o przesłuchanie świadków: Janiny Ueberle, która zna Leitgebra od dziecka, i może podać pewne fakta o wybitnie anormalnym stanie jego i że ostatnie zachowanie się jego stało w rażącej sprzeczności z zasadami człowieka normalnego; księdza proboszcza Bielskiego, który znał Przemysława od dziecka, gdyż wychowywał się on pod jego okiem. Gdy go ksiądz

raz chciał pogłaskać, jako swego chrzestnego syna, Przemysław rzucił się na niego, podrapał go po rękach, i wyzwał od djabłów; Kłosowskiego Jana, który siedział w więzieniu śledczym z Leitgeberem, i może podać szereg faktów, świadczących, że Leitgeber nie może uchodzić za człowieka normalnego, gdyż ciągle mówił o automobilach i motocyklach.

Prokurator sprzeciwia się przesłuchaniu świadka Ueberle, gdyż była obecną na sali podczas przebiegu rozprawy, a co do drugich świadków, to nie dadzą oni ekspertom żadnych szczegółów do mających być wydanymi orzeczeń.

Przewodniczący zapytuje rzeczoznawców czy okoliczności, podane przez obronę, mogą zmienić ich orzeczenie.

Dr. Bielawski: To, co podniosła obrona, jako nowe dowody, słyszeliśmy już od matki oskarżonego. W orzeczeniu kwestje te będą uwzględnione.

Dr. Czaykowski i dr. Ziętek przyłączają się do opinii przedmówcy.

Adwokat Łasiński zaznacza, że Leitgeber odegrał już teatr, i gdyby rozprawa w myśl wniosku dr. Muracha, miała być odroczone, prosi trybunał o wyłączenie sprawy Rysiewskich od Leitgebora. Wniosek ten podtrzymują adwokaci: Typrowicz i Szczudłowski i rozszerzają na swych mandantów.

Dr. Władysław Bielawski wydał następujące orzeczenie:

Przeglądałem akta sądowe i badałem oskarżonego, a także sprawę jego przedłożyłem na konferencji lekarskiej w Gnieźnie i opinia lekarzy była jednogłosną.

Ojciec oskarżonego cierpiał na lues, którym zaraził się przed małżeństwem, tak, że jego potomstwo mogłoby odziedziczyć po nim kiłę. Kiła dziedziczna nie potrzebuje odbijać się na umysłowości oskarżonego. Tego rodzaju usposobienie, jak zeznała matka, może znamionować odziedziczoną kiłę mózgu, jeżeli jednak stan psychiczny osobnika ogranicza się jedynie do tej kategorii objawów, jeżeli braknie danych, stwierdzających znaczniejsze zaburzenie intelektu, względnie objawów wyraźnej psychozy kiłowej, wtedy ten brak danych, by w podobnych przypadkach przyjąć, że czyny karalne były wykonane w stanie takiego chorobliwego umysłu, względnie nieprzytomności, któreby wykluczały jego wolną wolę, orzekam:

Oskarżony Leitgeber, w chwili dokonywania karalnego czynu nie znajdował się w stanie nieprzytomnym, ani też w stanie takiego chorobliwego zaburzenia czynności umysłowych, któreby wykluczały jego wolną wolę. Ponieważ oskarżony jest małoletnim, równocześnie orzekam, że w chwili dokonywania karalnego czynu, miał on rozeznanie, potrzebne do poznania jego karalności.

Orzeczenie znawcy dra. Czaykowskiego zgodne było co do treści z orzeczeniem dra. Bielawskiego, jednakże jego zdaniem winno się w tym wypadku było odbyć dłuższe badanie Leitgebra.

Dr. Ziętak, lekarz powiatowy, wydał orzeczenie, stwierdzające, że Leitgeber, popełniając zbrodnię, znajdował się w stanie zupełnej świadomości czynu karygodnego i dlatego winien za czyn ten pełną odpowiedzialność. Co do obciążenia rodzinnego, dr. Ziętak zgadza się zupełnie z orzeczeniem, które wydał dr. Bielawski.

Na początku drugiego dnia rozprawy poprosił o głos dr. Bielawski, by uzupełnić swe orzeczenie, odnośnie pewnego zastrzeżenia, które zawierało orzeczenie dr. Czaykowskiego.

Dr. Czaykowski zapytany, czy orzeczenie jego należy rozumieć w ten sposób, że oddanie pod obserwację oskarżonego Leitgebra dałoby znawcy więcej materiału, potrzebnego do wydania orzeczenia i przez to unikniętoby zarzutu powierzchowności badania i czy w ten sposób poczyniono ustalenia mogłyby przynieść ten rezultat, że spodziewać by się należało zasadniczej zmiany orzeczenia, stwierdza, że wyraźnie w orzeczeniu zaznaczył, iż miał na myśli obiektywizm, mający na celu usunięcie ewentualnych usterek i braków. Czy tego rodzaju uzupełnienie mogłoby wpłynąć na orzeczenie, to ma bardzo daleko idące wątpliwości.

Dr. Murach stawia pytania do dr. Bielawskiego, czy oddanie Leitgebra do zakładu psychiatrycznego, mogłoby dać w rezultacie nowy materiał i braki usunąć.

Dr. Bielawski stwierdza: Ewentualne dodatkowe badanie Leitgebra w zakładzie psychiatrycznym mogłoby przynieść nowy materiał dowodowy. Biorąc pod uwagę dotychczasowy materiał z rozprawy, mowy być nie może o zasadniczej zmianie orzeczenia.

Dr. Czaykowski na pytanie obrońcy wyjaśnia, że usterki, o których w zastrzeżeniu swego orzeczenia wspominał, znajdują się już w jego orzeczeniu.

Prokurator: Czy pobudliwość i nerwowość są powodem popełnionego czynu?

Dr. Bielawski: Czyn, dokonany przez Leitgebera, jego opowiadanie o zbrodni, zeznania w śledztwie stwierdzają, że nie działał on w afekcie i uderzają bardzo zimną rozumą. Dlatego też opisy czynu, które z natury rzeczy muszą budzić silną afektację u sprawcy i wywołują luki w pamięci, to znaczy, że zeznania muszą zazwyczaj grzeszyć nieścisłością, w danym wypadku nie zachodzą. Tu, z wyjątkiem niektórych miejsc, gdzie oskarżonemu zależało świadomie na mówieniu nieprawdy, wszystko świadczy o zimnej rozwadze i świadomości oskarżonego.

Prokurator: Jak pan doktor określi zachowanie się oskarżonego i brak u niego pamięci.

Dr. Bielawski: Rzekoma amnezja, jaką produkował oskarżony na rozprawie, nie jest znaną w psychice, jako objaw chorobowy. Co zaś do niepamięci, to jest to jedna z prób obrony, zdaniem mojem, którą nazwać można — udawaniem.

Zapytani lekarze znawcy: dr. Czaykowski i dr. Ziętak zgodnie oświadczyli, że zgadzają się z orzeczeniem dodatkowem dr. Bielawskiego w zupełności.

Prokurator wnosi o dołączenie do aktów listu, który Leitgeber pisał do matki i prosił o jego odczytanie.

List Leitgebera.

Bydgoszcz, 6. XI.

Kochana Mamo!

Najpierw kochanej Mamie dziękuję za tę kamizelkę, która mi się bardzo podoba i myślałem, że będę mógł kochanej mamie osobiście podziękować, ale czekałem wczoraj do 2-giej godziny i to na próżno. Jestem ciekawy, dlaczego mama u mnie nie była. Był u mnie dr. Murach, któremu nie chciałem z początku wierzyć, że to jest rzeczywiście on, ale się wylegitymował i chce do mnie jeszcze raz zajść. Zrobiłem zażalenie na prokuratora Wirskiego i jeszcze chcę zrobić dwa zażalenia na inne osoby. Ja całymi nocami nie mogę spać, bo współwięźniowie chrapią, ale myślę temu zapobiec, robiąc zażalenie. Tak długo jak szło, to prosiłem, ale jak prośby nie pomagają, to trzeba się zażalić. Przecież to jest skandal, żeby aresztant nie miał w nocy w spokoju, bo ja od 6-tej wieczór począwszy zaczynam ich budzić. Wyzywają na mnie, że ich budzę, mnie to jest nieprzyjemne kogoś budzić po kilkanaście razy w nocy.

a prosiłem o innych więźniów, to dotychczas nie mam żadnych wiadomości. Mam nadzieję, że w ten piątek się zobaczę z kochaną mamą, teraz skończę pisać bo jest zimno i ledwo, że trzymam pióro, tutaj było 3 razy palone, całuję rączki kochanej Mamy

P r z e m k o.

Proszę przysłać bieliznę na łóżko, pozdrowienia dla Hali, Cisi i pani Maciejewskiej zasyla

P r z e m k o.

Gdy pan przewodniczący list ten przeczytał, oskarżony Leitgeber śmiał się.

Dr. Murach wnosi o wezwanie na rozprawę naczelnika więzienia na okoliczność, że Leitgeber usiłował w więzieniu pozbawić się życia przez podcięcie żył, tak, że w następstwie musiano nałożyć mu kajdany na zarządzenie sędziego śledczego, które miał na rękach przez kilka tygodni, że przez cały ten czas tak zwani „kalfaktorzy“ więzienni musieli go karmić.

Ponadto adwokat Murach wnosi ponownie o wezwanie na rozprawę pani Ueberle, która była towarzyszką podróży dr. Bielawskiego i opowiadała mu w czasie podróży o rozmaitych incydentach z zachowania się oskarżonego Leitgebera i że dr. Bielawski, po przedstawieniu mu wypadków, oświadczył jej, że materiały przez nią podane są bardzo ważne i że sam poda ją na rozprawie, jako świadka. Miał też dr. Bielawski podać, że nie będzie mógł wydać orzeczenia po kilkugodzinnej obserwacji.

W tem miejscu dr. Nieduszyński zapytuje się, czy pani Ueberle znajduje się na sali.

W rzeczywistości podana na świadka pani Ueberle znajdowała się wśród publiczności.

Dr. Typrowicz wstawia wniosek o zbadanie stanu umysłowego Rysiewskiego i wnosi o oddanie go do Dziekanki, gdyż według zapodań rodziny, jacyś krewni jego pomarli w zakładach dla obłąkanych w Szczecinie i Berlinie.

Adwokat Szczudłowski sprzeciwia się stanowczo odroczeniu rozprawy, wnosi o jej przeprowadzenie, a gdyby sąd przychylił się do wniosków obrony, prosi o wyłączenie sprawy Wrzesińskiego, wydanie na niego wyroku i ewentualne wypuszczenie go na wolność.

Prokurator Janiszewski sprzeciwia się wnioskowi, prosi o ich odrzucenie, a co do wniosku obrońcy Rysiewskiego, to rozprawa

wykazała, że jest on zupełnie normalny. Miał on tylko motocyklo-manję.

Sąd uchwalił:

Dopuszczyć dowód ze świadka naczelnika więzienia, a co do wniosku dra. Typrowicza o odesłanie oskarżonego Rysiewskiego do zakładu w Dziekance, zwrócić się o orzeczenie do znajdujących się na rozprawie znawców.

Dr. Bielawski: Przypuszczając, iż pytanie odnośnie Rysiewskiego postawione mi będzie na rozprawie, studjując akta, zająłem się i jego osobą. Po obserwacji Rysiewskiego, dokonanej na rozprawie przez dzień wczorajszy i dzisiejszy doszedłem do konkretnego wniosku, że w chwili dokonywania karalnego czynu miał on rozeznanie potrzebne do poznania jego karalności. A zatem o kwestji jego niepoczytalności mowy być nie może.

Na pytanie dra. Typrowicza, jak znawca wyjaśni zeznanie Rysiewskiego, że już po zadaniu ciosów śmiertelnych uderzył jeszcze trzy razy swą ofiarę, dr. Bielawski stwierdza, że nie ma to nic wspólnego ze stanem zaburzenia czynności umysłowych.

Dr. Czaykowski ponieważ nie studjował aktów, ani nie odbywał konferencji z Rysiewskim, a zajmował się jedynie osobą Leitgebera, odnośnie do Rysiewskiego wydać orzeczenia nie może.

Dr. Ziętak przychyła się w zupełności do orzeczenia, wydanego przez dra. Bielawskiego odnośnie oskarżonego Rysiewskiego.

Naczelnik więzienia Ludwik Makuch zeznaje, że Leitgeber zachowywał się początkowo grzecznie, był posłuszny, wykonywał wszystkie konieczne porządki w celi. Ostatnie sześć tygodni stał się krnąbrny, i stawiał różne wymagania. Żądał światła po godzinie 6-tej do czytania książek, noża, widelca, zegarka, zmiany celi na pojedynczą, gdyż przeszkadzało mu chrapanie towarzyszy. Nie mogłem prośbie jego zadośćuczynić, ponieważ sprzeciwiało się to ordynacji więziennej. Perswadowałem mu to długo, on w zasadzie godził się na wszystko, a na drugi dzień pisywał różne zażalenia. W jakieś trzy tygodnie po osadzeniu Leitgebra w więzieniu, usiłował on szkłem popodcinać sobie żyły. Wówczas to, na zarządzenie sędziego śledczego, założono mu żelazak na rękę, w których przebywał około 14 dni.

*

*

*

Na zapytanie dra. Muracha, czy może być przyjęte u oskarżonego Leitgebra tak zwane zmniejszenie poczytalności, dr. Bielawski oświadcza, że Leitgeber ma wprawdzie pewne chorobliwe zabarwienie charakteru, znamionujące się pobudliwością, drażliwością, i wybuchowością, jednak te czynniki nie wpływają na stan psychiczny oskarżonego i nie jest to podłożem psychopatologicznem, lecz psychologicznem.

Adwokat dr. Murach stawia wniosek o oddanie Leitgebra do zakładu psychiatrycznego w Dziekance, celem obserwacji.

Dr. Typrowicz prosi o zawezwanie jeszcze jednego znawcy, lekarza psychjatrii.

Adwokat Szczudłowski podtrzymuje swój wniosek wyłączenia sprawy Wrzesińskiego, gdyby rozprawa miała być odroczone.

Dr. Łasiński podtrzymuje wniosek adwokata Szczudłowskiego także co do oskarżonego Rysiewskiego ojca i Rysiewskiej.

Stawia jeszcze ewentualny wniosek dr. Murach, z powołaniem się na § 83 p. R. by zasięgnąć opinii fakultetu medycznego w Poznaniu, bowiem orzeczenie, wydane przez znawców, nie wydaje mu się wystarczające. Na zapytanie przewodniczącego, czy obrona postawi jeszcze jakieś wnioski, dr. Murach oświadcza, że będzie musiał się porozumieć z oskarżonym i z matką jego.

Prokurator sprzeciwia się wnioskowi obrony i wnosi o ich uchYLENIE, a ze swej strony stawia wniosek, by pan przewodniczący zadał Leitgeberowi pytanie, że może teraz, po przewodzie sądowym przypomni sobie, że zabił brata, przyzna się do czynu, a byłaby to dla niego jedyna okoliczność łagodząca.

Oskarżony Leitgeber, nie czekając na zadanie mu pytania, podnosi się w ławie oskarżonych i mówi ostro: Nie i ze śmiechem siada.

Trybunał po naradzie odrzucił wszystkie wnioski obrony, jako nieuzasadnione, a wobec niezgłaszania przez obrońców nowych wniosków, przewodniczący p. sędzia Radłowski posiedzenie zamyka i zarządza przerwę obiadową do godziny 5-tej po południu.

Oskarżenie prokuratora Janiszewskiego.

Sala sądowa na wywody stron formalnie przepelniona. Oprócz wielkiej ilości widzów na salę przybyli pp. sędziowie Sądów Okręgowego i Powiatowego, adwokaci i aplikanci. Punktualnie o godzinie 5.30 wchodzi na salę Trybunał i po chwili pan przewodniczący

udzielił głosu prokuratorowi Janiszewskiemu do uzasadnienia aktu oskarżenia.

Wysoki Sądzie!

Rodzina Leitgeberów jest zasłużona tu na gruncie wielkopolskim, gdyż pracowała dla dobra Polski jeszcze za czasów niewoli. W ślady swych zasłużonych przodków wstąpił ś. p. Stanisław, który jął się uczciwej pracy i w krótkim czasie zdobył sobie poważne stanowisko, szacunek i zaufanie zarządu Związku Lekarzy.

Innymi torami poszedł oskarżony Leitgeber. Poszedł on drogą zabawy i użycia. Wiedział o tem, że pochodzi ze zubożalej rodziny, ale ani na chwilę nie odsunęła się od niego myśl zdobycia automobili i motocykli. Ta chęć użycia doprowadziła go do zbrodni bratobójstwa.

Przemysławie Leitgeberze! Czy ty i teraz nie przyznasz się do zbrodni Kainowej? Czyś jest aż tak zakamieniały, że nie ma siły ludzkiej, która by ci serce skruszyć potrafiła?

Nietylko, że Leitgeber popełnił tak wielką zbrodnię, ale skruchy żadnej nie okazał. To jest komedja, a pochodzi ona z ukartowanej z góry myśli, by wprowadzić Trybunał w błąd. Ekspertyza lekarska wypadła szczęśliwie. Leitgeber jest odpowiedzialny. Tak orzekli znawcy lekarze.

W tem miejscu prokurator Janiszewski omówił szczegółowo zbrodnię i wniósł o karę dla oskarżonych: Leitgebера i Rysiewskiego po dwanaście lat więzienia, dla Wrzesińskiego cztery lata ciężkiego więzienia, dla Franciszka Rysiewskiego pięć lat ciężkiego więzienia, a dla Stefanji Rysiewskiej, jako najmniej winnej o karę trzymiesięcznego więzienia.

Usłyszawszy wniosek prokuratora, oskarżony Leitgeber ironicznie uśmiecha się...

Obrona dr. Muracha.

Zaiste, straszna tragedia, której epilog rozegrywa się przed Wysokim Sądem. Ale trudno, Wysoki Trybunale, ryczałtem potępiać oskarżonego. Mordercy wykryci, teraz pozostaje tylko odszukać współników. Wspólnik ten nawet nie ukrywa się: moralność czasów i społeczeństwa, które wychowały Przemysława Leitgebера i Feliksa Rysiewskiego.

Przemysław Leitgeber zabija brata. Czy dziś znane jest uczucie braterstwa? Jeśli jest znane, to cud chyba. Braterstwo.

toć przecie funkcja więzi rodzinnej. Co się dziś stało z rodziną? Dziś dziecko co chwila słyszy o rozwodach, rozejściach się. Ojciec ma inną żonę, matka innego męża. „Żona tatusiowa, mąż mamusi“ — to są już nowe, a zwyczajowe nabytki terminologii rodzinnej dziecka. „Mój ex-ojciec, moja ex-matka — oto jest zabarwienie uczuciowe, w którym żyje stosunek dzieci do rodziców. W tym składzie wyobrażeń, niema już miejsca na braterstwo. Zanikła rodzinność, zaniknąć musiało braterstwo.

Szesnastoletni Feliks Rysiewski ma już metresę. Jeszcze dziecko, a żyje już w rozpuszcie. A w czymże ma żyć dzisiejsze dziecko? Co dziś widzi dziecko? co słyszy? Czem dzisiaj dla oczu dziecka jest dawny ideał każdego z nas, świętość domowa: matka? W świątki i piątki widzi ją wymalowaną, jak kokotę, rozebraną od góry i od dołu, wyuzdaną w ruchach, spojrzeniu, bezczelną w tem co mówi, rozpędzoną po dancingach, podpitą, gdy wraca do domu.

W domu i na ulicy, gdzie się obrócić rozmowy rozpętane, piosenki z kabaretów: „Czy pani dziś bez koszulki?“ „Co pani ma pod sukienką“ — czy jak tam. Całe bezeczeństwo zdziczalej estetyki wlewa się w duszę dziecka. Niech taki szesnastoletni wyrostek przekradnie się do kabaretu, choćby najbardziej „artystycznego“ — co ujrzy? Artystyczne stręczycielstwo. Pornografję, udającą dzieło sztuki, zbydlęconą swobodę słowa i obrazu, tolerowaną przez rozkiereńczony liberalizm cenzury, oklaskiwaną przez zbarbaryzowany smak publiczności, pisaną przez rynsztokowe typy literackie, starannie zamaskowane w pseudonimach.

Odrzućmy z obliczenia ostatnie dwa lata stagnacji, weźmy na uwagę poprzednią dobę, lata 1918—1924. Czasy inflacji. Szał użycia za łatwy pieniądz. Rozpasanie materjalizmu i wulgarność upragnień. Wartość życia ludzkiego zbankrutowała już na wojnie. Po wojnie zbankrutowała wartość duszy ludzkiej. Czy dziś przy dzieciach mówi się o Bogu, o moralności, cnotach, zasadach? Nie! Mówi się o interesach, pieniądzu. A sama zbrodnia? Boże mój, wszakże dzisiejsze dziecko co chwila słyszy, jak oto ten przyjaciel rodziców dorobił się na oszustwie, tamten na kradzieży, czy przekupstwie, ów od-siedział kryminal i korona mu z głowy nie spadła. Weźmie do

ręki gazetę — połowa tekstu wypełniona wiadomościami, że najbardziej znani ludzie to nikczemnicy, zdrajcy, wrogowie Ojczyzny. Dziecko dzisiejsze, gdy sobie chce uplastyczyć oś ziemską, to widzi ją utkaną z przestępstw, tego lub owego typu.

W atmosferze lekcewaga życia ludzkiego, w atmosferze wyeliminowanie duszy, w atmosferze amoralność, w atmosferze zapach przestępczości. Tę atmosferę bierze w swą pierś dziecko. Ta atmosfera karmi jego pojęcia, wyobrażenia, impulsy. Więc gdy powstaje pytanie, kto był współnikiem tej nieludzkiej zbrodni dwu małoletnich morderców, sumienie każe nam powiedzieć: — My wszyscy!

Na tych słowach Wysoki Sądzie, które wyszły z pod pióra Grzymały-Siedleckiego, mógłbym skończyć swą obronę, ale by je potwierdzić, podnoszę, że środowisko, w którym wychowywał się Leitgeber, nie było nadzwyczajne. Wiedział on, że ojciec umarł na chorobę, której nabawił się w rozpuście. Znane jest, że matka oskarżonego szalała w rozpuście. Ona była czem innem zajęta, pozostawiając Przemysława bez opieki. Nie on jest winien, Wysoki Trybunale, że zamordował brata, temu jest winna jego matka, ona powinna zajmować jego miejsce na ławie oskarżonych. Nie należy oddawać Wysoki Sądzie Przemysława matce, u której nie miał należytej opieki. Należy go oddać do zakładu, który zdoła zrobić jeszcze z niego człowieka.

Mowa obrońcy Rysiewskiego.

(Dr. Typrawicz).

...Feliks Rysiewski miał pięć lat, gdy wybuchła wojna światowa. W czasie więc, gdy się jako dziecko zaczął po świecie rozglądać, na ustach jego otoczenia nie było nic innego, jak komunikaty wojenne, że zabito tyle a tyle tysięcy ludzi. A gdy na świecie wytiły się ostatnie zgłiszczka wojenne, jako jedenastoletni chłopiec znalazł się w szkole ludowej, a potem w średniej. Pochodząc z niskiej warstwy społecznej, nie opływającej w dostatki znalazł się wkrótce w gronie kolegów, lśniących ubiorem i ci go pociągali, ale nie szarą pracą. Odtąd dom rodzicielski nie mógł mu dać żadnego bodźca w kierunku odmiennym, skoro on, spóźniony wyrostek między swem starszem rodzeństwem,

nie mógł mieć towarzyszy zabaw, czy zwierzeń dziecinnych w swych braciach, czy siostrach.

Na jego odchylenia z pracy w szkole były ojcowskie kije. Stało na tem, że ojciec, nie widząc innego wyjścia odebrał go ze szkoły i oddał do rzemiosła. Trybunał poznał tu w osobach świadków: Koniecznego, Radzimskiego, Zbichowskiego i innych kompanów Rysiewskiego. W tym czasie los zetknął go z Leitgebem, który poddał Rysiewskiemu myśl dorównania innym kolegom, myśl posiadania własnego motocyklu. Sam Leitgeber żył niepodzielnie tą jedyną myślą, a nie widząc możliwości jej zrealizowania znowu pierwszy poddał Rysiewskiemu myśl zamordowania brata i zdobycia tą drogą pieniędzy. Leitgeber miał dostatecznie silną wolę i wpływ na Rysiewskiego, bo wybrał jego, a nie innego z wielu swych przyjaciół. Nic dziwnego, że przy takim przygotowaniu psychicznem ziarno, zasiane przez Leitgebra przyjąć się zdołało i wydało ohydne owoce. Zmagał się Rysiewski ze sobą, czuł, że go kusi Leitgeber, nie było jednak komu się zwierzyć, w rozsterce ducha brakło hamulców, nikt go nie wstrzymał. A Leitgeber utwierdził go w pierwotnie poddanej mu myśli, czuwał by nie wygasła iskra i wynajdywał wciąż nowe pomysły usunięcia brata. Całą akcję reżyrską trzymał silnie w swem młodem ręku, nawet chustki, by w krytycznej chwili zatknąć usta ofiarze. I kiedy Rysiewski po pierwszym uderzeniu, wykonanem zgodnie z rozkazem Leitgebra, zawahał się na moment, padła do podkomendnego Rysiewskiego ostatnia komenda przywódcy: „Rysiek, uderzaj!”

Kiedy już wypełni się wola wyroku, zapasć mającego, przygłuszony dzisiaj głos sumienia będzie najgorszą karą, jaka czeka Rysiewskiego aż do grobu. Spokoju ducha Rysiewski już w życiu nie zazna, głos sumienia nie da się wypłenić z duszy i będzie go ścigać. Dla osobnika, stojącego dziś nieledwie u progu życia jest to zadatek najstraszniejszej kary.

Niechajże wyrok, który dziś po uwzględnieniu wszystkich tych okoliczności zapadnie, nie będzie podzwonnem dla złamanej egzystencji duchowej oskarżonego, bo „jeśli szczerą skrusza i Bóg zbrodniarzy wysłucha.”

Obrona Wrzesińskiego. (Adwokat Szczudłowski).

„Wszelkie dzieło ludzkie nie jest doskonałe.“ Słowa te dotyczą aktu oskarżenia, który ma kardynalne błędy. Tu adwokat Szczudłowski poddał ostrej krytyce akt oskarżenia, w szczególności ustęp, dotyczący oskarżenia Wrzesińskiego. Takiego współnika — mówił — by za 50 złotych zataił morderstwo rabunkowe w swej długoletniej praktyce prawniczej nie spotkałem. Salę sądową nazywają salą łez. Pewny jestem, że popłyną tu łzy radości z ócz Wrzesińskiego, który, po siedmiomiesięcznem więzieniu, dozna sprawiedliwości.

Adwokat Łasiński, obrońca Franciszka Rysiewskiego i Stefanji Rysiewskiej ograniczył się tylko do wywodów prawnych i do krytyki aktu oskarżenia.

Replika prokuratora.

Prokurator Janiszewski, odpiera zarzuty obrony, odnośnie aktu oskarżenia, i podtrzymuje swe wnioski.

Ostatnie słowo oskarżonych.

Przewodniczący: Czy oskarżony Leitgeber ma jeszcze jaką prośbę?

Leitgeber: Nic więcej. Wszystko zostawiłem memu obrońcy.

Oskarżony Rysiewski prosi o uwzględnienie jego młodego wieku i zastosowania wszelkich okoliczności łagodzących, przewidzianych w ustawie.

Oskarżeni: Wrzesiński, Franciszek Rysiewski, Stefanja Rysiewska proszą Sąd o uwolnienie.

O godzinie 7.50 Sąd udaje się na naradę.

W czasie narad nad wyrokiem, oskarżony Leitgeber z uśmiechem na ustach prowadzi rozmowę z Rysiewskim, który robił wrażenie przygnębionego.

Po upływie godziny, Sąd wchodzi na salę i przewodniczący od-
czytuje

wyrok:

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej oskarżeni Przemysław Leitgeber i Feliks Rysiewski winni są zbrodni morderstwa w idealnym zbiegu ze zbrodnią rozboju i za to zostają skazani: Leitgeber Przemysław na karę więzienia przez lat 15, Rysiewski Feliks na karę więzienia przez lat 10.

Oskarżony Rysiewski Franciszek winien jest zbrodni po-
plecznictwa i za to zostaje skazany na 1 rok ciężkiego więzienia.
Zasadzonym zaliczono areszt śledczy.

Oskarżonych: Franciszka Wrzesińskiego i Stefanję Ry-
siewską Sąd dla braku dostatecznych dowodów uwolnił od
winy i kary.

* *

Uzasadnienie ogłoszonego wyroku, ujął przewodniczący sędzie-
a Radłowski w świetne co do formy i treści przemówienie. Streszcza-
ło ono do przedstawienia znanych już z dwudniowej rozprawy fak-
tów potwornego mordu i wywarło na publiczności olbrzymie wraże-
nie. Z uzasadnienia tego wynikało, że Sądowi nie zależy tylko na
karaniu winnych lecz uzdrowieniu całego szeregu młodych ludzi,
którzy stykając się ze zbrodniarzami takiej miary co Leitgeber i Ry-
siewski, mogliby pójść w ich ślady i szerzyć zarazę wśród społeczeń-
stwa.

Sprawiedliwości stało się zadość!*)

IV.

Sceptykom pod rozwagę.

Przejścia lat ostatnich nauczyły p. G. szanować każdy zawód,
każde rzemiosło i każdego człowieka. Nic więc dziwnego, że lojalny
ten człowiek, wyjeżdżając zeszłego lata na letnisko, pozostawił na
biurku w widocznym miejscu list, zaadresowany „Do Szanownego
Pana Złodzieja.” Sposób to nie nowy, gdyż zdarzały się już wy-
padki, że ktoś adresował do pana złodzieja, załączając w liście pewną
sumę pieniężną, jako ekwiwalent za nierozbijanie biurka.

List p. G. był nieco odmiennie treści. Utrzymany zresztą w to-
nie nader grzecznym, zawierał uprzejmą prośbę do amatora cudzej
własności, by nie łamał szuflad biurka, gdyż zawierają one tylko
bezwartościowe dla osoby drugiej papiery i dokumenty. Dalej

*) Dziennik Bydgoski z dnia 19. 11. 1926 r. nr. 267.

gospodarz przeproszał złodzieja za fatygę i upewniał go, że wszystkie wartościowe rzeczy oddane zostały do przechowania.

Jakież jednak było zdziwienie p. G., gdy, zaszedłszy pewnego dnia do mieszkania, zastał szuflady biurka powyrywane, szafy rozwarte i doszczętnie opróżnione z wszelkiej zawartości. Okazało się, że złodziej, którego tak grzecznie potraktowano, nie dał się wziąć na kawał i miał dobrze przecucie, gdyż p. G. zameldował następnie w komisarjacie, iż skradziono mu z biurka schowane tam srebro stołowe, dywan perski i pewną ilość garderoby.

Szanowny złodziej miał widać dość czasu na kradzież, skoro znalazł i kilka chwil dla wyrażenia swego oburzenia na przewrotność właściciela lokalu. Na biurku znalazł poszkodowany korespondent na odwrotnej stronie swego listu odpowiedź w formie nie bardzo gramatycznej, lecz wystarczająco dosadnej: „Szanowny Panie Idjoto. Na takie stare kawały nabieraj Pan frajerów.“

Czy p. G. miał rację, że usiłował nawiązać tak miłą korespondencję ze złodziejem? Może i nie miał, ale wyszedł na niej dobrze, gdy Urząd Śledczy, zbadawszy odpowiedź, znalazł na niej odcisk palca złodzieja, wskutek czego w rejestraturze odszukano tego, który ten odcisk zostawił w osobie notorycznego przestępcy Józefa K. Rzeczy skradzione odnaleziono w mieszkaniu narzeczonej podejrzanego, zaś jego samego schwytano wkrótce i skazano na cztery lata więzienia.

Powyższy przykład, wskazuje nam dosadnie, doniosłość, znaczenie i użyteczność daktyloskopji, tego idealnego środka identyfikacji, tak w rzeczywistości mało znanego, a tak ważnego dla śledztwa.

Dla zwrócenia uwagi organów bezpieczeństwa jak też szerokich warstw społeczeństwa na ważność odcisków palców względnie linji papilarnych, znajdujących się na brzuściach palców człowieka, podaję za Drem. Heindlem następujący przykład :

2. 2. 1911 r. zniknął bez śladu z Drezna kupiec G.; 5. marca otrul się w Kopenhadze nieznany mężczyzna, który mieszkał tam w małym podrzędnym hotelu jako Piotr Ganter z Hamburga. Trupa, ponieważ był bliżej nieznanym, daktyloskopowano, a kartę daktyloskopiijną wysłała policja kopenhaska do Hamburga, jako do rzekomego miasta rodzinnego zmarłego. Z początku poszukiwanie pozostało bez wyniku. Dopiero w dwa miesiące potem na życzenie rodziny zaginionego kupca G. zaczął Urząd Śledczy

w Dreźnie ponowne poszukiwania. Przeglądnięto wszystkie papiery pozostałe po zaginionym kupcu G., szukając na nich odcisków palców i wreszcie zapomocą par jodowych wywabiono na kartce nut kilka doskonale utrzymanych odcisków linii papilarnych. Porównanie tych odcisków z kartą daktyloskopijną rzekomego Piotra Gantera, przesłaną przez policję kopenhaską, stwierdziła identyczność; rzekomy Piotr Ganter, który się otrul w Kopenhadze, był w rzeczywistości zaginionym kupcem G. z Drezna. W ten sposób zdolano stwierdzić w dwa miesiące po śmierci denata na podstawie odcisków palców na papierze — identyczność tegoż denata.

Metoda wykrywania przestępców przy pomocy daktyloskopii oddała niedawno berlińskiej policji wielką przysługę.

Oto 6. lipca 1923 roku około godziny 10 wieczorem zastrzelony został przez włamywacza, przychwyconego na gorącym uczynku służący pewnego zakładu kąpielowego nazwiskiem Robert Bicker. Po dokonaniu tej zbrodni przychwycono dwie podejrzane osoby, a mianowicie niejakiego Ottona Seinecka, oraz szewca Henryka Krügera. Wskutek braków dowodów wypuszczono ich na wolność.

I oto teraz dopiero, po upływie trzech lat, policja raz jeszcze zbadała teren zbrodni. Przy tem dokładnem badaniu dostrzeżono ślady palców na ramie okiennej. Były one wprawdzie bardzo słabe, ale — były.

Część ramy okiennej wycięto celem dalszych badań. Wreszcie doszła policja do wniosku, że są to odciski palców aresztowanego z górą przed trzema laty Seineckiego. Po ponownem aresztowaniu tegoż. Seinecke zeznał, że owego wieczoru przedostał się wraz z Krügerem, celem kradzieży, przez okno do zakładu kąpielowego i został zaskoczony przez Bickera. Jemu samemu udało się wówczas uciec, ale Krüger szamocąc się z Bickerem, zastrzelił go.

Obecnie więc policja berlińska ma obu zbrodniarzy w swoich rękach.

* * *

W Polsce zaczęto równie okazywać zrozumienie wartości tego dowodu, co okazuje się z wyroku sądu apelacyjnego w Warszawie w sprawie kradzieży, dokonanej w maju 1925 r. w mieszkaniu Nuncjusza Apostolskiego. („Gazeta administracji i Policji Państwowej“ Nr. 51/25. Pierwszy wyrok skazujący, oparty na dowodzie daktyloskopijnym).

W nocy 17. maja 1925 r. w mieszkaniu Nuncjusza Apostolskiego Monsignora Lauri, w Alei Szucha, dokonana została kradzież różnych przedmiotów na sumę około 50 zł. Na szkle szyby okiennej, rozbitej przez złodziei, którzy przez okno przedostali się do mieszkania Nuncjusza, funkcjonariusze Urzędu Śledczego zauważyli odciski palców. W dziale daktyloskopijnym Urzędu Śledczego ustalono, że są to odciski trzech palców rąk zawodowego złodzieja 23-letniego Tadeusza Arkadiusza Jaskólskiego, niejednokrotnie rejestrowanego w Urzędzie, wobec czego Jaskólski został aresztowany. Sąd Okręgowy w Warszawie Jaskólskiego uniewinnił, motywując swój wyrok tem, że orzeczenie działu daktyloskopijnego przy braku innych dowodów nie jest dostateczne dla uznania winy podsądnego. Wskutek skargi apelacyjnej Urzędu Prokuratorskiego, sprawa dnia 4. grudnia tegoż roku rozpoznana była przez Sąd Apelacyjny w Warszawie. Na rozprawę wezwani byli: naczelnik Urzędu Śledczego w Warszawie, insp. S. jako świadek i kierownik wydziału rozpoznawczego tegoż Urzędu, nadkom. Z., jako ekspert insp. S. zeznał, że dział daktyloskopijny Urzędu Śledczego w Warszawie prowadzony jest wzorowo, według wszelkich wymagań nauki i jest nader pomocnym w działalności Urzędu Śledczego, albowiem bardzo często ustala tożsamość różnego rodzaju przestępców, ukrywających się pod przybranymi nazwiskami. Inspektor S. zaznaczył, iż wobec tego, że Sąd pierwszej instancji sceptycznie odniósł się do orzeczenia działu daktyloskopijnego w sprawie Jaskólskiego, Urząd Śledczy, cały materiał daktyloskopijny w tej sprawie przesłał do powtórnego zbadania do jednego z najsłynniejszych w Europie urzędów daktyloskopijnych, mianowicie do Państwowego Urzędu Rozpoznawczego w Berlinie. Ten ostatni po porównaniu odcisków palców na szkle rozbitej szyby z autentycznymi odciskami palców Jaskólskiego, ustalił 100 punktów zgodnych i orzekł, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odciski na szkle zrobione są palcami Jaskólskiego.

Ekspert nadkom. Z. wyjaśnił, że daktyloskopia we wszystkich cywilizowanych krajach odgrywa bardzo ważną rolę przy wykrywaniu przestępców i bardzo często skazujące wyroki sądów oparte są tylko na wynikach badań daktyloskopijnych. W sprawie niniejszej ekspert osobiście badał materiał daktyloskopijny i z całą stanowczością twierdzi, że odciski palców na szkle szyby są zupełnie identyczne z odciskami palców Jaskólskiego. Poza zupełne identy-

cznością linii papilarnych charakterystyczne są w tych odciskach ślady blizn, które Jaskólski ma na palcach.

Podprokurator, popierając oskarżenie i domagając się skazania Jaskólskiego na 3 lata więzienia, zastępującego dom poprawy, zaznaczył, że zasadnicze negowanie wyników badań daktyloskopijnych byłoby równoznaczne z negowaniem wogóle postępów wiedzy ludzkiej i tem bardziej byłoby niedopuszczalne, że daktyloskopja jest nauką pozytytywną i ścisłą, doniosła rola której w kryminalistyce uznana została przez cały świat kulturalny. Powołując się na dzieło „*Policiers de roman et de laboratoire*“ Edmonda Locard, prawnika i doktora medycyny, dyrektora laboratorium technicznego policji w Lyonie, podprokurator zaznaczył, że nietylko na całym świecie niema dwóch osobników z zupełnie identycznymi odciskami palców, ale, jak twierdzą największe powagi naukowe, trzeba byłoby więcej czterech milionów wieków, aby w tym okresie czasu znalazł się przynajmniej jeden człowiek, odciski palców którego byłyby identyczne z odciskami kogokolwiek z obecnie żyjących ludzi. Dla przekonania Sądu, że w sprawie niniejszej dział daktyloskopijny w odciskach trzech palców miał aż zbyt wiele materiału porównawczego dla swych badań, prokurator przytoczył ze wspomnianego dzieła Locard'a opisany tam casus wykrycia sprawcy kradzieży, dokonanej w Lyonie w 1919 r., ze składu futer, na podstawie odcisku na szkle okna składu tylko nieznaczej części jednego palca. Złodziej dokonywał kradzieży w rękawiczkach, a nieznaczný ślad palca pozostał na szkle wskutek tego, że rękawiczka w jednym miejscu była rozpruta. Po 10 minutowem badaniu w biurze daktyloskopijnem pozostawionego na szkle śladu ustalone zostało nazwisko sprawcy kradzieży, rejestrowanego już przez policję lyońską; tegoż dnia sprawca był aresztowany, a cały skradziony towar odnaleziony został w kufrze, wysłanym przezeń do Paryża.

Obróńca oskarżonego adw. Korenfeld prosił o uniewinnienie swego klienta, gołosłownie twierdząc, że daktyloskopja jest nauką nową i jakoby niedostatecznie ścisłą.

Sąd Apelacyjny, uznając winę Jaskólskiego za udowodnioną, skazał go na trzy miesiące więzienia, a po zaliczeniu aresztu śledczego, uznał wyznaczoną mu karę za odbytą.

*

*

*

Dla silniejszego zaakcentowania i dobitnego podkreślenia znaczenia daktyloskopji jako nauki ścisłej, powtarzam za znanym polskim badaczem nauk kryminalistycznych, Profesorem Uniwersytetu Poznańskiego Drem. Józefem Janem Bossowskim, ocenę, poświęconą cyklowi utworów Locard'a. (Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny, kwartał II/926, str. 312).

„Z rozdziału dotyczącego śladów daktyloskopijnych najwięcej interesujące są ustępy, w których autor przedstawia znaczenie, t. zw. poroskopji (t. j. kształtu i umiejscowienia poszczególnych porów skóry na obserwowanym odcisku) oraz rezultaty uzyskane w praktyce drogą dowodu daktyloskopicznego. Poroskopja pozwala stwierdzić tożsamość osoby, choćby porównywane odciski były fragmentaryczne, t. j. nie obejmowały całości t. zw. linii papilarnych; zaś w wypadku, jeżeli odciski są kompletne, poroskopja podwaja dowód, bo stwierdza obok identyczności układu linii także identyczność układu porów i zamienia przez to dowód materialnie już i tak zupełny na dowód idealny, którego wyniki biją w oczy i przekonują nawet najzawziętszych sceptyków. Autor wykazuje również bezpodstawność poglądu, który stara się obniżyć znaczenie daktyloskopji przez twierdzenie, że przecież każdy przestępca może uniemożliwić z góry dowód daktyloskopiczny przez zastosowanie tak prostego i łatwego środka ostrożności, jak użycie rękawiczek. Pogląd ten jest naiwny, bo nie uwzględnia okoliczności, że dla przestępcy, który działa w przeważającej ilości wypadków w ciemności (jeżeli nie na miejscu czynu, to w drodze na miejsce przestępstwa), rękawiczki są stąpieniem zmysłu dotyku, będącego koniecznym przewodnikiem i umożliwiającym orjentację, nadto nie da się ten pogląd pogodzić z doświadczeniami techniki śledczej, które wykazały w szeregu wypadków zbadanych w laboratorjach, że rękawiczki nie uniemożliwiają bynajmniej powstania odcisku, gdyż krople potu mogą przez skórę lub gumową powłokę stworzyć odciski, wystarczające do stwierdzenia tożsamości. Autor przytacza wypadki, które to dowodzą. Upływ czasu, nawet dłuższy, nie stoi na przeszkodzie wywołaniu odcisków. Bertillon wywołał odcisk w dziesięć lat po jego powstaniu. Autor stwierdza, że w Lugdunie zapadło już 29 wyroków, zasądzających w sprawach, w których jedynym dowodem winy był odcisk daktyloskopiczny, w tem jeden wyrok śmierci (sprawa Didier'a).“

Pod włoskiem niebem.

(Urywek psychologiczny).

W pięknym pensjonacie Mascotte pod Neapolem zdarzył się dnia 10-go sierpnia w nocy 1905 r. wstrząsający wypadek. Rzeźbiarz Filippo Ciffariello dopuścił się zbrodni zabójstwa na osobie swej młodej i pięknej żony. Pięć kul rewolwerowych ugodził w swoją żonę — podając jako motyw czynu — zazdrość.

Skargą strony cywilnej, którą zastępowała matka zamordowanej, Elżbieta de Brown, brzmiała, że Ciffariello zamordował swoją żonę w celu pozbycia się jej. Matka obwiniła go o utrzymywanie stosunku z młodą, bogatą Baresin, Signoriną Tetina Redavit, z którą nawiązał znajomość podczas odsłonięcia jego arcydzieła, którym był pomnik króla Humberta. Zamordowana była bardzo elegancką i niezwyklej urody brunetką o bladej cerze i przepięknych oczach. Blanche-Marie Ciffariello ur. Brown, była swego czasu gwiazdą w jednym z rzymskich Variet . Jej muzykalny talent i jej piękny głos prowadziły ją po obranej drodze do sławy. Jej ojciec, Anglik, odumarl ją wcześniej, a matka Francuska, w obcym kraju pozostała nagle bez środków do życia. Marja mając zaledwie lat 16 debiutowała w Lyonie pod pseudonimem Blanche Demercy.

Potem otrzymała Engagement do Odessy, Bukaresztu, Konstantynopola, następnie do Sztokholmu i Wiednia, otrzymując za swoje występy po 1200 franków miesięcznie. I tę błyszczącą karierę opuściła, aby wbrew woli swej matki, oddać rękę pewnemu artyście, który wprawdzie posiadał wielki talent, lecz był jeszcze zupełnie biedny i nieznany. Ich małżeństwo, z wyjątkiem pierwszych miesięcy, które przedstawiały niewysłowione szczęście, można było nazwać najszczęśliwszem. Młoda para zniewoloną była zamieszkać przy Via Sicilia, w małej, ciemnej, wychodzącej na podw rze izdebce, bez powietrza i światła. Młoda kobieta przyzwyczajona do wyg d i luksusu czuła się mimo to dobrze i nigdy nie narzekała.

Los zmienił się wkr tce na lepsze, kiedy Ciffariello poznał pewnego bogatego przemysłowca z Bawarii, pana L ncka, który rzeźbiarza zaangażował na lat pięć jako artystycznego kierownika swojej fabryki w Passau za miesięcznem wynagrodzeniem 1000 marek. Teraz, kiedy ju  nie cierpieli z powodu brak w materialnych,

rozwinęły się u Ciffariella skąpstwo i chęć gromadzenia pieniędzy. Żonie swej począł czynić częste sceny marnotrawstwa, podczas kiedy ona faktycznie tylko 30 marek miesięcznie na swoje suknie otrzymywała. Dla Marji nadszedł teraz czas wielkich zmartwień i bólu. Sceny powtarzały się, a Ciffariello począł nawet czynić wymówki, że Marja nie wniosła żadnego majątku. W październiku 1897 r. Marja wniosła skargę, w której obwiniała Ciffariella o trzykrotne pobicie i ciężkie ubliżenie jej. Małżeństwo jednak wkrótce pogodziło się znowu, a Marja skargę cofnęła. W roku 1900 postanowiła Marja, zmęczona ciągłą walką, powrócić na scenę. Mąż zgodził się na to, towarzyszył jej na dworzec i wręczył jej małą sumę pieniężną na drogę do Paryża, gdzie Marja u pewnego agenta szukać miała Engagement. W końcu została zaangażowana na trzy miesiące do Południowej Ameryki, za 2500 franków miesięcznie. Ale z tych pieniędzy musiała ona zakupić dla siebie potrzebną toaletę. Pod pseudonimem Marji d'Albans wystąpiła w kasynie w Buenos-Aires i miała olbrzymie powodzenie. W Montevideo i Rio święciła te same triumfy. Pełna zawsze uroku i zadowolona powodzeniem, zapada Marja na żółtą febrę. W tym samym czasie zachorował także Ciffariello. Powrócił więc do Rzymu i pozostawał pod opieką w domu swej teściowej, która obchodziła się z nim w sposób cyniczny. Tu pisał teraz list za listem do swej żony, która ulegając jego prośbie, powróciła do Włoch z powrotem.

Znalazszy się u boku swego męża, pielęgnowała go bardzo czule i z wielką troskliwością. Lecz ten po odzyskaniu zdrowia, stał się dla Marji znowu tyranem.

Marja nie mogąc pogodzić się z swym losem, postanowiła na nowo się z mężem rozłączyć. Jego bezwzględności nie mogła więcej znosić. W tym celu zwróciła się do kilku adwokatów, którzy kazali jej złożyć pewną sumę, jako zaliczkę.

24-go lipca wybrała się w fatalną podróż do Neapolu, ażeby tam stoczyć z nim ostatnią walkę. „Wziąłem ją gołą i gołą wyrzucę ją na ulicę“ wyraził się Ciffariello do swoich znajomych, krótko przed popełnieniem zbrodniczego czynu. Owej nocy istotnie dokonał zbrodni, pozostawiając zwłoki swej pięknej żony na łóżku a kosztowności jej starannie ukrył. Tak przedstawiała się, wniesiona do Sądu skarga.

Ciffariello jako oskarżony stanął przed sądem. Mowa wygłoszona przez niego przed sądem brzmiała następująco: Żona moja.

posiadała skłonność do nierzędu i odznaczała się sadystycznymi okrucieństwami...

Wprawdzie fizyczne i intelektualne przymioty mojej żony stały na bardzo wysokim poziomie, ale między nimi istniała niezmiierzona przepaść. Jej marnotrawstwo było olbrzymie; mój dom, urządzone na szeroką stopę, nie wystarczał jej. Namiętność do śpiewu i sceny, które raz z miłości dla mnie porzuciła, obudziły się w niej na nowo. Namiętnościom tym, jak też jej usilnym dążeniom do życia kabaretowego nie mogłem zapobiec i popadłem w rozpacz. W końcu postanowiliśmy rozejść się. Idź, powiedziałem jej pewnego dnia — nie mam siły tak dalej cierpieć! Przytem myślałem, że ona tę wędrowną bez męża i wygod domowych w świecie odczuje bardzo. Marja zażądała ode mnie mebli i 3000 lir napotrzebne wydatki w podróży; życzeniom jej uczyniłem zadość. Miłość nasza nie była nigdy tak wielka, jak podczas tego pożegnania. I poszła znowu na deski teatralne — do Paryża — do Ameryki. Ażeby ten ból straszny, rozdzierający moje serce przezwyciężyć, zabrałem się do pracy jak opętany. Moja teściowa litowała się nad mną i pielęgnowała mnie. W końcu po odbyciu swego tournée powróciła Marja z Ameryki do mnie z powrotem. Na widok jej rzuciłem się jej w objęcia, i długo, długo prawie bez oddechu uściskaliśmy się nawzajem. Od tego czasu stała się Marja dla mnie litościwą siostrą o nieskończonej dobroci. — Ponieważ w Rzymie panował wtedy wielki upał, udaliśmy się do Rocca di Papa i zamieszkaliśmy w pięknych górach albańskich. W międzyczasie otrzymałem zlecenie na wykonanie dla mego rodzinnego miasta Bari słynnego monumentu Umberta I. Odsłonięcie tego pomnika przyniosło mi wielki zaszczyt i sławę. Na uroczystość odsłonięcia pomnika zabrałem Marję z sobą i tam wprowadziłem ją w najlepsze towarzystwo. Każdy był nią zachwycony a my byliśmy nad wyraz szczęśliwi. Z okazji odsłonięcia pomnika, urządzono dla nas i naszą część wspaniały bankiet. Na bankiecie tym znajdował się także adwokat Leonidas, mój stały doradca prawny. Ach, ten Leonidas! — Potem wyjechaliśmy do Neapolu i zamieszkaliśmy w pensjonacie Mascotte. Pewnego dnia — kiedy Marja wyjechała znowu do Rzymu, do swej matki, znalazłem przy przeglądaniu dziennej poczty, składającej się z rozlicznych listów i zleceń, list od adwokata Gregoraci, mego przyjaciela, który powiadamia mnie poufnie, iż moja żona będąc u niego, wznowiła sprawę o rozwód. Postano-

wilem natychmiast wyjechać do Rzymu. Poruszony tą wiadomością do żywego, błdziłem po naszym mieszkaniu, przeszukując wszystkie szafy i skrytki. Poszedłem wkońcu do kuchni, i tu zauważyłem klatkę z 80 ptakami, kotami i psem, krótko mówiąc, całą menażerię, która często była powodem kłótni między mną a żoną.

W komodzie znalazłem list, oznaczony inicjałami F. B. M., a zaczynający się słowami: „Kochana Nery!“ I znowu nowe, pieszczotliwe imię mojej żony, pomyślałem! W tym liście narzekał pewien mężczyzna na moją żonę, że ona go nie kocha już więcej i że on z teściową i Elsą wszystko omówił. To straszne! Więc nowy kochanek! Pobiegłem więc jak najspieszniej do adwokata Gregoraci i tu dowiedziałem się, że żona wniosła skargę o bezwzględną separację, a o godzinie 4-tej przybędzie, celem szczegółowego umotywowania sprawy rozvodu. On pogodzi nas znowu, pomyślałem. I istotnie tym razem na nieszczęście nasze — udało mu się nas pogodzić. Wróciliśmy zatem do Neapolu z powrotem. — W eremitage, przeżyliśmy w oszołamiających pieszczotach noc wielkiej miłości... Kiedy leżała przede mną naga, — przepiękna! — tak, jak ją modelowałem, zapytała mnie: „Gdybyś ty mnie tak widział w objęciach innego, czy mógłbyś mnie zamordować?“ Po wycieczce na szczyt Wezuwiusza, powróciliśmy z powrotem do Neapolu. Wtem nagle wyszukała sobie powód, wymówkę, aby wyjechać nagle do Rzymu, do swojej matki. Kiedy odebrałem moje listy z poczty, znalazłem między nimi telegram do niej, który otworzyłem. Był to telegram od adwokata Sorji, który towarzyszył mojej żonie w Bari. Telegram zredagowany w języku francuskim zawierał następującą treść: „Przybędę o godzinie 7-mej do Casamicciola, daj mi postęrestante instrukcje, ponieważ listy do niego — względnie ode mnie — otrzymuję. Mieszkam przy Dertenois. Następnego dnia zapraszam Sorję do siebie. On przybywa do mnie, a ja na samym wstępie zarzucam mu, że między nim a moją żoną istnieje stosunek miłosny. On przysięga i twierdzi, że tylko niewinna przyjaźń łączy ich razem. Wkrótce potem, Marja powraca do mnie z powrotem z Rzymu. W nocy w czasie naszych miłosnych pieszczot, Marja szydzi z Sorji i zarzuca mu próżność. Sorja zamieszkiwał w tym samym pensjonacie, co my. Dwa dni potem, kiedy rano obudziłem się, ku wielkiemu zdziwieniu, nie znalazłem u mego boku żony. Ona w rannym stroju udała się do pokoju Sorji. „Ażeby z nim trochę pogadać,“ jak powiadała. Następnego dnia

telegrafuje znowu do swej matki, do Rzymu, że w tych dniach przybędzie, lecz nie życzy sobie, by ktokolwiek wychodził po nią na dworzec. Teraz byłem najpewniej przekonany, że mnie już więcej nie kocha. Podczas kiedy Marja czyniła zakupy w składzie kolonialnym, ja wstąpiłem do sąsiedniego składu z bronią, kupiłem rewolwer i postanowiłem skończyć... Czułem, jednak, że jest mi niemożliwym, pozostawić moją żonę. Kiedy powróciłem do pensjonatu wszystko było już przy stole; Sorja zakochany siedział obok mojej żony, ona zaprosiła go na przejażdżkę motorówką na morzu. Na ich obliczu obserwowałem hańbę i szyderstwo. Po obiedzie wyjechaliśmy wszyscy razem na pełne morze. Znam dobrze spojrzenia zakochanych, pełne czaru i błysku. Takimi to spojrzeniami obdarzała żona Sorję. Cierpiąc niezmiernie z tego powodu, usiłowałem panować nad sobą, lecz kiedy spojrzeniem miłosnym mej żony względem Sorji nie było końca, popadłem w rozpacz. Ponad moje siły przywlokłem się do pensjonatu. Sorja widząc mój niepokój, zapytuje, co mi jest? Ja odchodząc od zmysłów, więcej martwy, niż żywy, odpowiedziałem, że moja żona kupiła rewolwer. Ona często mówiła mi, że chce umrzeć młodą i piękną. Myśl, że ona sama pozbawi siebie życia, prześladowała mnie i dręczyła więcej, niż moje własne postanowienie popełnienia samobójstwa. Marja zaczęła się znowu pakować do podróży, a Sorja jej pomagał. Widząc jej silne postanowienie, począłem Serję błagać, by ją nakłonił do zaniechania wyjazdu. Wtem zauważyłem, że w związku z wyjazdem stoją na przeszkodzie okoliczności pieniężne. Teraz wiedziałem wszystko. Kiedy Sorja zauważył moje położenie, zbladł i oparł się o ścianę. Ale ona — ona była wyjątkowo ochoczą i żwawą, i postanowienia nie myślała zmieniać. Stała naprzeciwko Sorji, wpatrując się w niego, a ja za nią. Sorja zaczął ją prosić drżącym głosem, by nie wyjeżdżała wbrew woli męża i pozostała. Ona na to odpowiedziała: „Może to jest grymas, ale jutro wyjeżdżam, choćby się świat miał zawalić!“ Przytem Marja porozumiewała się z Sorją za pomocą szczególnych znaków. Sorja oddaliwszy się, rzekł: „uporządkowaliśmy się!“ Wtem Marja wydobyla rewolwer i poczęła oglądać go i bawić się nim, jakby jaką zabawką. „On taki malutki, taki miły!“ pomyślała. Na to wybuchłem płaczem i zalałem się łzami. „Co ci jest?“ „Ty się jeszcze pytasz? Dam ci tyle pieniędzy, ile tylko chcesz. Wystarczy ci 10 000 lirów?“ Natychmiast wystawiłem jej czek i Marja potwierdzając własnoręcznie

jego odbiór, — zawołała: — „Teraz, kiedy zawarliśmy pokój, uczymy go szampanem.“ — Kazałem przynieść szampan. Piliśmy. Ja ukląkszy przed nią, ubóstwiałem ją. A, ale ona była większą artystką, mimo młodego wieku, bo liczyła zaledwie lat 28. Tysiąc razy mogłem ją malować, tysiąc razy modelować jej ciało, jednak jej piękno, jakie posiadała, nie byłem w stanie dłużej odtworzyć. Ona patrząc na mnie, — rzekła jakby z rozmysłem: — „Prawda, że na ustach moich spoczywa jakaś fatalna potęga!“ — I rzeczywiście tak było. O północy wyszliśmy na balkon — było gorąco. Ona ubrana w długą opalową koszulę, tuliła się do mnie, ja obejmowałem ją i pieściłem jak najczulej. Rozmawialiśmy, jak dwoje zakochanych. Wtem ona zawołała zuchwale: — „A jednak jutro jadę!“ — Na słowa te znowu odrętwiałem. Ani moje 10 000 lirów, ani moja miłość, nie były w stanie odwieźć ją od jej zamiaru. Zapłakałem w głos, a kiedy zrobiło mi się słabo, położyłem się. W łóżku opanował mnie jakiś przedziwny strach. — Wtem zawołałem: — „Wiesz, Marjo, że wkrótce będziesz musiała mnie pogrzebać!“ — „Ach, — odpowiedziała: — ty dręczysz siebie bez powodu!“

Otworzywszy okno, rozebrała się, położyła się i natychmiast usnęła — tak spokojnie, jak najspokojniejsza i najniewinniejsza dusza. Ja leżałem jakby w odrętwieniu, nie wiem jak długo, a zmora dusiła mię. Otrząsnąwszy się z niej, wyskoczyłem z łóżka. Ona otulona w jedwabną, różową koszulę, oddychała spokojnie. Ja obserwowałem ją i płakałem. Chciałem gwałtem czytać z jej duszy, lecz nie mogłem. Możliwe jest, że była niewinna! — Przemięły zapach jej ciała płynął do mnie, chwyciłem go, jakby przemiał ambroję, a serce wilo się w bólu konwulsyjnym. Przyczyną tego bólu był prawdopodobnie narkotyk, który mi podczas obiadu podała przy stole. Wziąłem przeto nowych 17 kropli, lecz te, stan mój znacznie pogorszyły. Przejęty grozą, doznałem tak silnych dreszczy, że klekotaniem zębów obudziłem Marję. — „Ty ciągle jeszcze płaczesz? — Ty wiecznie płaczesz!“ — rzekła lekceważąco. — „Ja jestem chory, ponieważ nie wierzę więcej w twoją dobroć!“ — Marja była z natury groźną; widziałem, jak obudziło się w niej zwierzę, jak w moich cierpieniach znajdowała rozkosz, lubieżność. Niema też czemu się dziwić, że wszyscy mężczyźni za mną biegali, a Sorja, piękny chłopak, obdarzał mnie największą uprzejmością. Udając, rzekłem do niej: — „Jeżeli on ciebie kocha, nie odjedzie z tobą!“ — „O tak, jedno skinienie z mej strony, a pojedzie

za mną, choćby do Ameryki!“ — Wtem zauważyłem, że Marja nie ma więcej na swem ramieniu znamienia. — „Dlaczego je usunęłaś?“ — zapytałem. — „Ażeby się tobie podobać!“ — „Mnie? — — Chciałabym umrzeć piękną i dlatego znamię usunęłam.“ — Słowa te podziałały na mnie tak strasznie, że nie byłbym w stanie tego opisać. — A jednak ciągle jeszcze podziwiałem jej piękność! — Potem rzekła ona: — „Ty wiesz, jak piękną jestem, ale nie wiesz o tem, że razu jednego dał mi ktoś 3000 lirów tylko za to, że zezwoliłam na oglądanie mojego ciała, lecz naturalnie bez najmniejszego dotknięcia.“ — „Kto, kto? — krzychałem! — Vaselli! Vaselli! — Wtem chwyciłem za rewolwer — — lecz nie wiem, co uczyniłem!

W Campobasso — przed sądem przysięgłych odpowiadał Cifariello za swój czyn z wolnej stopy.*)

VI.

Jak policja amerykańska walczy ze zbrodniarzami.

Ameryka może się poszczycić nie tylko najbardziej przedsiębiorczymi mężami interesu, najlepszymi bokserami, najbardziej szalonemi tańcami, najpiękniejszymi dziwami filmowemi itp., ale posiada także najbardziej wyrafinowanych zbrodniarzy, którzy, jeżeli chodzi o zdolności wynalazcze i twórcze, nie mają sobie równych. Z tego powodu zadanie policji jest bardzo trudne, musi ona nieustannie wytężyć uwagę w tym kierunku, by sobie przyswajać wszystkie ostatnie wynalazki wiedzy, ażeby dorównać swoim przeciwnikom.

Z tego właśnie powodu znajduje się w głównej kwaterze policji nowojorskiej specjalne laboratorium kryminalne (crime laboratory), na którego czele stoi jeden z najlepszych chemików Stanów Zjednoczonych — współdziała z nim cały sztab chemików i detektywów. Trzeba przecież podkreślić, czego Amerykanie nie lubią przyznawać, że laboratorium to nie jest oryginalnym pomysłem amery-

*) Münchener Neueste Nachrichten vom 10. Juli 1908.

kańskim, lecz wzorowane jest na europejskim przykładzie, a także wzięta jest z zacofanej Europy jedna z najstraszniejszych broni tego laboratorium: daktyloskop. Jest to mikroskop niezwykle ostry, urządzony specjalnie do badania śladów zbrodni.

Historja otrzymania daktyloskopu przez laboratorium nowojorskie jest następująca:

Przed trzema laty wielkie wrażenie wywołała w Nowym Jorku niezwykle śmiała zbrodnia kradzieży i rabunku, przeprowadzona z wielkiem okrucieństwem. Bogatego handlarza win, Alfreda Shattucka i jego żonę, zamknęli złodzieje w tak małej przegrodzie w ich piwnicy, że gdy ich znaleziono, byli już prawie martwi z uduszenia i tylko z trudem zdołano ich przywrócić do życia. Złodzieje tymczasem uszli z bogatym łupem. Shattuck, wraz z policją puścił się za nimi w pościg. Ślady prowadziły do Europy, gdzie ich wreszcie rozpoznano, uwięziono i wydano sądom amerykańskim.

Wtedy właśnie Shattuck zobaczył w urzędzie śledczym w Lyonie daktyloskop i kupiwszy go, ofiarował policji nowojorskiej w darze.

Na temat problemów, które rozwiązało nowojorskie laboratorium kryminalne, przytacza prasa amerykańska różne ciekawe opowiadania.

Zdarzyło się raz, że dwóch mężczyzn, którzy szereg lat żyli z sobą w przyjaźni, poróżniło się. Pewnego wieczoru jeden z nich spostrzegł, jak jakaś postać podniosła się z pod drzwi jego domu i zniknęła w ciemnościach. Pod progiem leżała wiązka szmat, nasiąkniętych oliwą, a ze środka wystawał tłący się lont.

Podejrzenie podpalenia padło na byłego przyjaciela, który przecież zdołał się wykazać świetnem alibi, że w krytycznej chwili był zupełnie gdzieindziej. Sprawa nie pozostałaby rozwiązana — gdyby nie laboratorium. Zbadano tam dokładnie sznur, z którego był zrobiony lont i przekonano się, że sznury takie wyrabiała fabryka w której podejrzany pracował. Podpalacz mimo swego alibi musiał się przyznać do winy.

Na cienkiej niteczce wisiał los pewnego mściwego robotnika, wydalonego z fabryki materiałów sukiennych. Noc w noc znajdowano w fabryce wielkie bele jedwabiu, polane jakimś gryzącym i niszczącym płynem, co powodowało wielkie i coraz bardziej rosnące straty. Pewnego dnia zatrzymano w fabryce jednego byłego ro-

botnika, który przecież umiał się wiarogodnie wytłumaczyć z obecności i w rezultacie nie było powodu do aresztowania go.

Jeden z detektywów zwrócił tymczasem uwagę na maleńką dziurkę w ubraniu owego robotnika. Detektyw zbadał wówczas dokładnie miejsce, gdzie były nagromadzone bele zniszczonego jedwabiu. Trud nie był daremny. Na gwoździu znalazł on trzy małe włókna wełniane. Badania w laboratorium stwierdziły, że włókna pochodzą z ubrania owego robotnika. Został on skazany na więzienie.

Także kurz i proch, niewidoczne dla gołego oka, mogą się przyczynić do wykrycia zbrodniarza. Pewnego razu wyciągnięto zapomocą specjalnego przyrządu cały kurz z ubrania przypuszczalnego mordercy. Dokładne badania wykazały, że kurz pochodził z podłogi fabryki, gdzie znaleziono ofiarę.

Także promienie ultrafioletowe, zaledwie odkryte, weszły w służbę kryminalistyki. Przy ich pomocy uwiecznia się tak drobne przedmioty, że ich zwykła płyta fotograficzna nie chwytą. Fotomikroskop znajduje zastosowanie głównie wówczas, gdy chodzi o stwierdzenie identyczności kryształków w truciznach.

Do najbardziej interesujących aparatów laboratorium należy kolorimetr Dubosq'a, który służy do badania krwi. Całkiem drobne krople krwi pod paznociami nieraz już przy pomocy kolorimetra doprowadziły do ujęcia morderców.

Wogóle chemja odgrywa coraz większą rolę w dochodzeniach kryminalnych.*)

Ameryka szczyci się swymi rekordami. Nawet w dziedzinie przestępczości trzyma prym. Kradzież kieszonkowa, włamania zapomocą prądu elektrycznego, kradzieże zbrojne i rabunki wszelkiego rodzaju kwitną na terytorjum Stanów Zjednoczonych. I nie w tem niema dziwnego, jeżeli się zważy, że Ameryka, pomimo wszelkich środków ostrożności, przyjmuje corocznie pomiędzy tysiącami emigrantów, którzy tam lądują, najróżnorodniejsze indywidua z pod ciemnej gwiazdy. Mnóstwo takich osobników napływa do Stanów z mocnem postanowieniem zrobienia majątku wszelkimi możliwymi sposobami. Wielu z nich zostaje naczelnikami band świetnie zorganizowanych, mających swych wywiadowców, swoje towarzystwa wzajemnej pomocy, swoich adwokatów, wybra-

*) Dziennik Poznański, r. 1926. Gazeta administracji i Policji państwowej. 1926, nr. 30/26.

nych z pośród najcelniejszych sił prawniczych. Toć niema nawet dwóch lat, jak wykryto podczas sesji sądowej w Chicago, że jeden z przysięgłych, wyznaczony do udziału w rozprawie sądowej przeciwko pewnej bandzie włamywaczy, był sam jej członkiem i to członkiem bardzo czynnym!

Przestępcy amerykańscy stosują współczesną organizację i specjalizację pracy. Każdy z nich pracuje w swoim zakresie. Jedni z pomocą kosztowanych maszyn i urządzeń oddają się z zapalem fabrykacji fałszywych czeków i banknotów. Inni znowu prują, stosując najnowsze metody naukowe, najsolidniejsze kasy ogniotrwałe ku rozpacz ich właścicieli, łatwo zresztą zrozumiałej. Cała ta klasa złodziejska ma, potrosze wszędzie, dobrze płatnych współpracowników, którzy wskazują, gdzie się można dobrze obłowić, którzy miesiącami całemi tropią bogate ofiary, w cierpliwem oczekiwaniu pomyślnej chwili. Słowem organizacja i pomysłowość zakrojona na miarę iście amerykańską.

Bandyci prowadzą pomiędzy sobą korespondencję szyfrowaną. Każde z ich stowarzyszeń ma swego skarbnika, człowieka nieposzlakowanej uczciwości. . . jeżeli chodzi o fundusze stowarzyszenia, któremu powierza się pieniądze, przeznaczone na płacenie adwokatów, broniących członków bandy, których los zawistny wtrącił w ręce nieznającej się na „interesie“ policji.

Niektóre stowarzyszenia złoczyńców organizują handlowo sprzedaż przedmiotów kradzionych. I tak np. handel kradzionymi samochodami — w samej Kalifornji kilkadziesiąt tysięcy rocznie! — doszedł do takiego rozwoju, że aż fabryki samochodowe oburzyły się na to, ponieważ sprzedaż samochodów kradzionych, niesłychanie zręcznie przemalowanych, przyczynia im dotkliwy uszczerbek w postaci „konkurencji handlowej“.

A zamachy dynamitowe! a prucie kas! Ileż tam świetnych pomysłów, ile rzetelnej pracy myślowej przy ich wykonaniu!

W Pittsburgu złoczyńcy, pod kierownictwem inżyniera — prawdziwego inżyniera z dyplomem uniwersytetu w Budapeszcie — postanowili obrabować jeden z najpoważniejszych banków w mieście. W nocy przed gmachem tego banku zatrzymała się dorożka samochodowa. Był to jednak tylko pozornie taksometr. Wewnątrz znajdował się prawdziwy warsztat elektrotechniczny. Bandyci, przedstawiający się do banku, stopili zamki w drzwiach stalowych, prowadzących do skarbcza, rozpruli kasy i uszli z łupem kilkuset tysięcy

dolarów. A co najciekawsze, to, że bank ten w obawie rozgłosu, któryby mógł silnie poderwać zaufanie klienteli, zawiadomił włamywaczy, że gotów jest z nimi traktować. Spotkanie zostało umówione, i wysłannik bandy zwrócił papiery wartościowe, pobierając połowę ich wartości giełdowej!

Nic więc dziwnego, że banki, jako najbardziej narażone na zakusy armji zbrodniczej, starają się bronić wszelkimi możliwymi sposobami. W pierwszym więc rzędzie zwróciły się do agencji policji prywatnej, których ludzie dozoruja gmachów swej klienteli, a przede wszystkim pomagają w aresztowaniu złodziei. W Los Angeles jeden z banków dokonuje inkasa i transportu sum pieniężnych samochodem opancerzonym, zaopatrzonym w wieżyczkę obserwacyjną, w której znajduje się funkcjonariusz uzbrojony w karabin maszynowy, zdolny ostrzeliwać we wszystkich kierunkach!

W Kansas-City bankierzy, zrozwazeni całym szeregiem poważnych kradzieży, których ofiarą padli w ciągu bardzo krótkiego czasu, ufundowali potężny samochód pancerny, stanowiący malowniczą, ale i wymowną inowację. Wehikul ten zawiera dwa szerokie bębny, dokoła których są nawinięte cienkie linki stalowe. Kasetki, które niosą inkasenci, są przymocowane do końców tych linek. Kiedy inkasent oddala się od samochodu, linka rozwija się stopniowo, kiedy zaś powraca, — zwija się ona automatycznie z powrotem. W razie napadu, wystarcza aby inkasent rzucił kasetkę: natychmiast bęben automatycznie zostaje wprowadzony w ruch, zwija linkę i przyciąga kasetkę do samochodu, gdzie czuwają dwaj zaufani ludzie, uzbrojeni od stóp do głów. Linki zrobione są z drutów stalowych, mogących stawić opór najsilniejszym nawet nożycom. Jedynie płomień acetylenowy mógłby je przeciąć — jak zapewniają fabrykanci. Ale kto zaręczy, że złodzieje nie zastosują płomienia acetylenowego?

Inkasenci są również troskliwie zabezpieczeni. Opowiadają, w Richmond, że noszą oni koszulki stalowe podobne do tych, jakie przywdziewali w dawnych czasach rycerze. Różnica polega na tem, że nowoczesna koszulka stalowa zawiera kieszenie wewnętrzne, otwierane zapomocą tajnego mechanizmu, tak że napastnicy, aby obrabować tego, który ją przywdział zmuszeni byłiby porwać go z sobą. Oczywiście po uprzednim zamordowaniu... Ale to jeszcze nie wszystko. W Pittsburgu jest projektowane uzbrojenie inkasentów w pistolety automatyczne, strzelające gazami duszącymi. Gazy te

obezwładniają napastnika natychmiastowo i czynią go niezdolnym do walki na kilka godzin.

Ze swej strony policja amerykańska nie pozostaje bezczynną. Celem zorganizowania obrony przeciw bandytom, przybyłym ze wszystkich stron świata, policja urządziła niedawno, w lokalu Izby Handlowej New-Jork'u, międzynarodową konferencję policyjną.

W New-Jork'u założona została ostatnio „Akademia policyjna“, inaczej szkoła detektywów — pod kierownictwem inspektora John'a Noonan, jednego z najlepszych policjantów Ameryki. Uczniowie, przyjmowani w drodze podwójnego konkursu, który ma na celu wypróbowanie zarówno sprawności fizycznej jak i umysłowej, uczą się tam nowoczesnych metod ścigania przestępców.

Nauka dotyczy badania świadków stosownie do ich psychologii, rozróżniania zeznań wątpliwych lub zgola fałszywych, utożsamiania przestępców nie tylko daktyloskopijskie, ale na podstawie niektórych oznak szczególnych, jak np. układu rąk, uszu, odcisków zębów, które są inne u każdego człowieka. Uczą się tam również wyszukiwać ślady stóp, utożsamiać je, obserwować kurz, przedmioty porzucone przez przestępców, badać ślady włamania, utożsamiać sposoby używane przez zbrodniarzy. Prowadzone są nawet wykłady o analizie atramentów bezbarwnych i odczytywania tajnych szyfrów. Uczniowie Akademii zaznajamiani są gruntownie z psychologią rozmaitych kategorii przestępców. Wykłady obejmują również i różnorodne sporty, jako że w razie potrzeby muszą detektywi posiadać umiejętność ujęcia przestępcy nawet na dachu drapacza-nieba, kierowania samochodem lub motocyklem, boksovania się, walki systemem dżiu-dżitsu...

Ale rząd amerykański nie poprzestaje na kształceniu wyborowych policjantów. Tych, którzy pełnią służbę czynną, zaopatruje w najnowsze przyrządy techniczne. We wszystkich prawie miastach Stanów policja rozporządza furgonami samochodowymi do przewożenia policjantów i odstawiania przestępców do więzień. Furgony te są zaopatrzone w aparaty radio, co im umożliwia pozostawanie w ciągłym kontakcie z władzą centralną.

W San Antonio (Texas) policja używa motocykli z przyczepką bardzo dowcipnie pomyślaną. Mianowicie do motocyklu przypięta jest z boku klatka stalowa, w ten sam sposób jak się zazwyczaj przyczepia zwykły wózek. Zaaresztowanego policjant zamyka do tej klatki i odwozi do właściwej władzy.

Jeżeli chodzi o represje, o kary, to są one bardzo dotkliwe. Więzienia amerykańskie — to surowe przybytki zamknięcia. Uwięzieni zamykani są w okratowanych celach, wychodzących na dziedziniec wewnętrzny, pośrodku którego, na szczycie wieżyczki znajduje się stale uzbrojony dozorca. Więźniowie traktowani są jednak sprawiedliwie.

Pomimo wszystko przestępczość wzrasta w Stanach z każdym rokiem. Mogłoby to służyć za dowód, że kara, choćby najsroższa, nie wystarcza, o czym zresztą bardzo przekonująco świadczą wieki ubiegłe, kiedy najstraszliwsze tortury i męczarnie nie przeskadzały, że zbrodnie były jeszcze liczniejsze stosunkowo, niż dzisiaj... Same kary, choćby najsurowsze, nie zwalczą przestępstwa. Aby osiągnąć zamierzony skutek trzeba sięgnąć głębiej, do najistotniejszych przejawów życia społecznego, do najtajniejszych właściwości duszy ludzkiej.

VII.

Zastosowanie promieni ultrafioletowych w kryminalistyce.

„Nauka służby śledczej czyni stale znaczne postępy, przyswajając sobie najnowsze zdobycze zwłaszcza z dziedziny chemji i fizyki. Szereg nowych wynalazków w tych dziedzinach przystosowano już do badań kryminalistycznych. Wiemy na przykład, jak dzięki zastosowaniu aparatu fotograficznego można wykrywać ślady wytartego i sfalszowanego pisma. Soczewka aparatu fotograficznego utrwała na kliszy fotograficznej niewidzialne dla oka ślady pióra czy ołówka. Przy pomocy mikroskopu można wykryć i odróżnić zastarzałe ślady krwi od plam innego rodzaju. Doniosłe te zdobycze naukowe zawdzięczamy usilnej pracy wiedzy i geniuszowi uczonych całego świata. W obrębie ścian laboratorjów i gabinetów naukowych dojrzewają coraz to nowe, niejednokrotnie zdumiewające wprost prawdy naukowe. Czyż nie jest zdumiewającym np. wynalazek przenoszenia, chwytania i utrwalania fal głosowych przy pomocy

aparatów radjowych? Jest to genialny wynalazek ostatnich czasów, który został już zużytkowany do celów wojennych, politycznych, oświatowych, a ostatnio również i do celów policyjnych.

Dziś rozpoznamy Czytelnika z doświadczeniami naukowymi doby ostatniej, polegającymi na zastosowaniu tak zwanych promieni ultrafioletowych w kryminalistyce. Dla objaśnienia Czytelnika dodać należy, że mowa będzie o promieniach, które są wydzielane przy zastosowaniu t. zw. lampy kwarcowej, która zdobyła już sobie szeroką popularność w dziedzinie lecznictwa. Otóż uczeni, badając istotę tych promieni, zrobili spostrzeżenie, że niektóre przedmioty, poddane ich działaniu, posiadają tę właściwość, że również wydzielają ze siebie fale świetlne. Fale te są dłuższe niż fale światła ultrafioletowego. Różne jednak ciała (przedmioty) poddane naświetlaniu promieniami ultrafioletowymi wydają ze siebie fale świetlne niejednakowej długości. Dzięki temu zjawisku powiadamy, że ciała te fluoryzują, t. j. mienia się różnobarwnie, w zależności od swych chemiczno-fizycznych właściwości i od długości wydzielonych przez siebie fal.

Bardzo ciekawy wykład z tej dziedziny, poparty szeregiem eksperymentów, wygłosił w czasie Międzynarodowej Wystawy Policyjnej w Karlsruhe (w Niemczech) docent chemji Uniwersytetu w Amsterdamie, p. Ledden van Hulsebusch.

Uczony ten skonstruował aparat, który nosi nazwę: detektor uniwersalny. Budowa aparatu nie należy bynajmniej do skomplikowanych. Detektor składa się z pudła, które mieści w sobie rtęciową lampę kwarcową oraz umieszczony na dnie aparatu „filtr barw”. Filtr ten odznacza się tem, że chłonec wszystkie promienie widzialne, równocześnie przepuszcza niewidzialne promienie ultrafioletowe. Aparat ten jest umieszczony nad postawą, z którą łączy go ścianki w postaci czarnych firanek. Doświadczenia odbywają się przy świetle ściemnionem. Badany przedmiot kładzie się na podstawie detektora, poczem „zapala się” lampę kwarcową. Tym sposobem ultrafioletowe promienie, przechodząc przez filtr, padają na badany przedmiot, wywołując zjawiska fluorescencji.

Szereg doświadczeń van Hulsebuscha opisuje interesująco Dr. Zygfryd Türkel. Prelegent pokazał zebranych słuchaczom karton, na którym było umocowanych kilkanaście sztuk skrawków papierowych, koloru białego. Na pierwszy rzut oka skrawki te były do siebie podobne i różnice nie były widoczne. Dopiero po włożeniu

całego kartonu do detektora uniwersalnego i poddaniu kartonu działaniu lampy kwarcowej, okazało się, że papierki fluoryzują różnobarwnie, mieniać się blaskiem żółtym, białym, niebieskim lub fioletowym. Były wśród tych skrawków takie, które nie posiadały własności fluorescencyjnych i te pozostały ciemne. Doświadczenie to posiada duże znaczenie w tych wypadkach, gdzie zwłaszcza chodzi o ustalenie czy badany papier znaleziony np. u podejrzanego w kieszeni jest tego samego rodzaju, co papier pozostawiony na miejscu czynu.

Drugi ciekawy eksperyment był następujący: prelegent pokazał kopertę listową. Przed dojściem do rąk adresatu koperta była otwierana w ten sposób, że jedna klapa koperty była sztucznie odklejona, poczem z powrotem kopertę dla niepoznaki starannie klejem zalepiono. Dla oka laika ślady działania ciekawego sprawcy nie były widoczne. Jakże inaczej wyglądała koperta w detektorze dra. Hulsebuscha! Oto trzy klapy na kopercie mieniły się barwą fioletową, zaś klapa czwarta barwą zieloną. Zagadka cała tkwiła w tem, że klej, użyty do zaklejenia czwartej klapy koperty, był innego gatunku, niż klej użyty do fabrykacji koperty. Ale na tem nie koniec. Na stronie adresowej widoczne były zielono fluoryzujące ślady palców osoby, które list otwierała. Jest rzeczą jasną, że zaklejając otworzony przez siebie list, osoba ta miała palce powleczone warstwą gumy arabskiej, która przylgnęła do papieru. Nie potrzeba dodawać, jakie znaczenie posiada metoda Hulsebuscha przy badaniu listów, które były otwierane przed dojściem do rąk adresata czy to z pobudek zbytnej ciekawości, czy też w chęci zysku.

Trzeci eksperyment polegał na przedstawieniu słuchaczom kartonu z umocowanymi doń kopertami, na których widniały czerwone lakowe pieczęcie. Pieczęcie te również na pierwszy rzut oka wydawały się siostrzanie podobne jedna do drugiej. W aparacie Hulsebuscha wyszły na jaw różnice. Pieczęcie mieniły się światłem o różnych kolorach. Na jednej z kopert, pierwotna pieczęć lakowa została usunięta, a na jej miejsce wyciśnięto pieczęć nową. Z dawnej atoli pieczęci pozostały odpryski laku na kopercie. Detektor uniwersalny wykazał i w tym wypadku różnicę międzylakiem pierwotnym a późniejszym, pieczęć bowiem fluoryzowała czerwono, zaś resztki laku dawnego fioletowo!

Na podstawie tych kilku przykładów widzimy, że detektor Hulsebuscha posiada dla kryminologa wielkie znaczenie i w wielu

wypadkach oddaje usługi wprost nieocenione. Dodajmy, że przy zastosowaniu tego aparatu można łatwo rozróżnić najrozmaitsze plamy, pochodzące z tłuszczów, olejów, smarów itp. W podobny też sposób powiodło się odczytywanie przy pomocy detektora usuniętych stempli urzędowych z różnych dokumentów. Równie dobre wyniki uwieńczyły próby odczytywania takich pism, które usunięto przy pomocy środków chemicznych. Papier poddany działaniu promieni ultrafioletowych w detektorze Hulsebuscha zdradził niewidoczną treść usuniętego pisma; niewidoczne bowiem dla oka głoski fluoryzowały w detektorze dość intensywnie, aby mogły być odczytane.

Doświadczenie Hulsebuscha stanowią poważny krok naprzód w naukowej dziedzinie badań kryminologicznych.“*)

VIII.

Powrót na pastwisko.

W sali sądu okręgowego w Warszawie rozgrywa się obecnie ostatni akt jednej z najbardziej ponurych i tajemniczych tragedji, jaką znają dzieje polskiej kryminalistyki.

Na ławie oskarżonych zasiada niejaki Królikowski, urzędnik zakładów mundurowych, oskarżony o zamordowanie w chęci zysku Marji Michałowskiej w mieszkaniu swoim w Cytadeli w dniu 1. marca 1925 r.

Dnia 13. marca roku 1925 znaleziono kadłub zamordowanej w walizie na dworcu wschodnim, potem nogi i ręce w ustępach na Pradze, na koniec głowę jej wyrzuciła Wisła koło Torunia.

Dziś szczątki jej spoczywają w sali rozpraw, jako straszny załącznik do aktu oskarżenia.

Z zaoszlonej trumny wyziera porąbany kościotrup Michałowskiej, szczerzą się jej zęby białe do sędziów i tłumu, kobiet na galerji, a trupie oczodoły patrzą nieruchomo, jakby z niemym wyrzutem pod adresem ludzi i świata.

*) Gazeta Administracji i Policji państwowej. 1926, nr. 25. W. Sobolewski, podinspektor P. P.

Trudno bowiem o większe pohańbienie ciała ludzkiego nad to, które przypadło w udziale szczątkom nieszczęsnej Michałowskiej.

Grobem jej przygodnym stały się ustępy publiczne, gnojowiska wiejskie i odmęty wiślane.

Stoi teraz odarta ze sukni, palta fokowego i pierścionków w całej ohydzie swojej trupiej nagości i męką poćwiartowanego i wleczonego po ustępach ciała, skarży się na swój los.

Miała Michałowska lat dwanaście, kiedy opuściła dom rodzicielski w zapadłej wsi i ruszyła za chlebem do miasta, gdzie marzyło się jej jakieś inne, nowe życie.

Znacie żywot wiejskiego dziecka. Pasie taka Marysia najprzód gęsi, a potem krowy, w jednej koszulinie chodzi, chleba za darmo nie je. Aliści Bóg błogosławi chłopu, co roku nowa gęba przybywa do miski, a w chałupie robi się coraz ciaśniej.

Więc starsze dzieci idą w świat. Do fabryki, do Ameryki, zagranicę, albo do miasta na służbę.

Pojechała więc Marysia do Warszawy, przystała na służbę do państwa, ale jakoś dziwno, markotno jej było. Tam na pastwisku, w wiosce rodzinnej, kiedy leżała na trawie, mogła wpatrywać się w błękit niebios i w żółte kaczeńce na łące, albo słuchać świergotu rannych ptaków i szumu wichru i modlitwy wieczornej lasu.

A tu, w mieście ino krzyk państwa dla uszu i szary mur kamienic dla oczu, zgryzot i wstydu dużo dla serca i ta sama bieda, co w ojcowskiej chałupie.

Już sporo lat spędziła w mieście, a jakże nędznie ubrana. Buciska wykrzywione, spódnica perkalowa i chusta z jarmarku od żyda na głowie.

Śmieją się z niej wszyscy. I Kaśka od doktora i Agata od tej pyzatej pani z parteru. One wszystkie noszą już kapelusze miastowe, pantofelki i suknie po kolana i pończochy cieniuskie, aż strach. Tylko ona wygląda, jak wsiowa dziewczka od gnoju, prawdziwe straszdyło, choć ta gębę ma niczego, niczego...

Zasypiała teraz Maryśka z wypiekami na twarzy. Ach, gdyby miała pieniądze i mogła się ubierać, jak te inne, w jedwabie, futra, lakierki i brylanty. Widziała te śliczności w potokach światła na Nowym Świecie za szybami wystaw, tak bliskie, że tylko rękę sięgnąć, a przecież tak dalekie.

Mówiło jej wtedy lustro: ładną jesteś i młodą, masz lat siedmnaście i budzi się serce twoje.

Aż wreszcie zjawił się on.

W bajkach dla grzecznych dzieci „on“ przybiera zazwyczaj postać królewicza na białym koniu, który przybywa z za siedmiu gór i rzek, pocałunkiem budzi uśpioną duszę dziewczęcia, a potem bierze ją za żonę.

W tej opowieści „on“ przybrał postać bardziej konkretną i zmodernizowaną.

Nazywał się Icek Tenenbaum i ofiarował jej palto fokowe, pierścionek z brylantem, no i serce.

Ale co jej po sercu?

Teraz chce tylko pieniędzy i pieniędzy!

Nienawidzi pracy, bo pracując trzeba umierać z głodu i nienawidzi świata, który ją zmusza do życia z hańby.

Ale furda wszystko!

Przyjechała do domu odwiedzić ojca i matkę, przywiozła im prezenty. Dobrze jej się teraz powodzi, jest urzędniczką w banku, ma dużo pieniędzy. Zaimponowała całej wsi fokami i brylantami. Tylko ojciec się trochę dziwił, że Maryśka, choć niepiśmienna, taką karierę zrobiła.

A ona tymczasem stała się jedną z wielu.

Jedną z tych, co to dopiero o zmroku idą na łowy, wabią przechodniów po ulicach i obiecują im grzeszne rozkosze i uciechy.

Nauczyła się dzielić ludzi, a specjalnie mężczyzn, na takich, co to mają pieniądze i na takich, co nie mają pieniędzy.

Tych ostatnich, zwanych przez jej koleżanki kopciuchami, jakże serdecznie nienawidziła. Taki gluptas myśli, że ją nabierze na miłość. Głupi frajer! Icek to dobry chłop, bo płaci.

I wędrowała tak od mieszkania do mieszkania, z jednych objąć w drugie, aż wreszcie dnia 1. marca 1925 r. czyjeś ręce silniej niż zwykle przygarnęły ją do siebie, a potem zaczęły się straszliwie zaciskać około jej szyi.

Skonała w tym uścisku.

Morderca ściągnął z jej palców pierścionek z brylantem, a potem zabrał się do ćwiartowania trupa.

Nielitościwe miasto, do którego szła, jak ćma do światła, pochłonęło jej życie.

Grobem jej stały się doly kloaczne.

A tylko głowę jej wyrzuciła Wisła na pastwiska nadbrzeżne, jakby czyniąc zadość potrzebie jej serca, które dopiero w godzinie śmierci zrozumiało, że droższe i miłsze są uśmiechy pól, niż trujący czar miasta.

Znowu więc spoczęła głowa biednej Maryśki na wiejskiej murawie, wpatrując się martwemi oczyma w błękit niebios, tak czysty, jak jej dzieciństwo na pastwisku spędzone.

W urzędzie obyczajowym w Warszawie wykreślono tymczasem z rejestru prostytutkę Marję Michałowską, zamordowaną dnia 1. marca 1925 r.

Kiedyz ludzkość z rejestru swych ohyd wykreśli prostytutkę? *)

IX.

Człowiek-wampir.

„W grudniu 14 letnia Motta rankiem między 7—8 godz. szła do sąsiedniej wioski. Kiedy długo nie wracała, jej chlebodawca poszedł ją szukać i odnalazł jej zwłoki niedaleko drogi, w straszliwy sposób zniepodobnione licznymi ranami. Trzewa i genitalja wyrwane z rozplatanego brzucha leżały tuż obok ciała. Nagość trupa, obdarcia na udach, kazały się domyślać gwałtu, usta wypełnione ziemią świadczyły o zaduszeniu. Niedaleko pod pękiem słomy znaleziono kawał ciała, wyrwany z prawej goleni i część odzieży. Sprawcy nie wykryto.

W dniu 28. sierpnia rano mężatka 28-letnia Trigeni poszła w pole. Gdy o 8-mej nie wróciła, mąż poszedł po nią. Znalazł tylko jej trupa, nagiego, z pręgą od uduszenia pochodzącą na szyi, licznymi ranami okrytego, z rozplatanym brzuchem i wywieszonymi zeń trzewami.

W dniu 29. sierpnia w południe, gdy Marja Prefitali, lat 9 mająca, szła przez pole, pobiegł za nią jej kuzyn Verzeni, zaciągnął w zboże, rzucił o ziemię i począł dusić. Gdy na chwilę rękę popuścił, oglądając się, czy nikt nie nadchodzi, dziewczyna podniosła się

*) Ilust.: Kurjer Codzienny. — Jan Lankau.

i usilnem blaganiem wymogła na nim, że ją puścił, zgniótlszy jej jeszcze przedtem silnie ręce przez czas jakiś.

Verzeniego stawiono przed sąd i oskarżono o wyżej wymienione zbrodnie. Ma on 22 lat, czaszkę więcej niż średniej wielkości, niesymetryczną. Prawa kość czołowa węższa i niższa, niżeli lewa, guz czołowy z prawej strony mniej rozwinięty niż z lewej, prawe ucho mniejsze o 1 cm na wysokość i 3 cm na szerokość; u obu uszu brak dolnej części muszli, lewa tętnica trochę stwardniała. Kark szeroki, ogromny rozwój kości licowej i szczęki dolnej. Rodzina Verzeniego złożona z bigotów, skąpych aż do brudu. On sam miernie inteligentny, umie się dobrze bronić, stara się wykazać swoje alibi i zrzucić podejrzenie na kogo innego. W przeszłości jego nie było nic, co by wskazywało zboczenie umysłowe; charakter zresztą trochę dziwny, milczący, lubi samotność. W więzieniu zachowuje się poprostu cynicznie, oddaje się samogwałtowi i stara się za jakąbądź cenę widzieć kobiety.

Wreszcie przyznał się do swych zbrodni i podaje ich pobudki. Sprawiały mu one nieopisane przyjemne (lubieżne) uczucie, któremu towarzyszyły erekcje i odpływ nasienia. Jak tylko dotknął się szyi swych ofiar, budziły się w nim poczucia płciowe. Było mu przytem całkiem obojętnem, czy kobiety były młode lub stare, ładne lub brzydkie. Zwykle już proste duszenie zaspakajało go i wtedy pozostawiał ofiary swoje przy życiu — w dwóch wypadkach zaspokojenie płciowe opóźniało się i dlatego ścisnął swe ofiary za gardło aż do śmierci. Przy takiej garocie zaspokojenie płciowe było większe niżeli przy samogwałcie. Zdarcia naskórka na udach Motty powstały od ucisku jego zębów, kiedy z wielką rozkoszą krew jej wysysał. Kawał jej goleni tym sposobem wyssany zabrał ze sobą, aby go w domu upiec, ale po drodze schował pod słomę z obawy, aby matka nie dostrzegła jego sprawek. Zabrał też odzienie i część trzew brzusznych, bo mu to sprawiało wielką rozkosz, gdy je mógł dotykać i wachać. W chwilach takiej rozbestwionej lubieżności posiadał siłę ogromną. Nigdy, powiada, nie był obłąkanym; przy wykonywaniu swych uczynków nic wkoło siebie nie widział (oczywiście wskutek najsilniejszego rozdrażnienia płciowego zniesiona apercpeją uczynki całkiem instynktowe). Później bywało mu zawsze bardzo miło, doznawał uczucia wielkiego zadowolenia; wyrzutów sumienia nie miewał nigdy. Nie przychodziło mu też nigdy na myśl dotykać części płciowych duszonych przez się kobiet, a tem mniej nie gwałcił

ich nigdy, wystarczało mu zupełnie gdy je dusił i mógł wysysać krew. W rzeczy samej zdaje się, że to, co ten nowoczesny upiór o sobie powiadał, było prawdziwem. Prawidłowe popędy płciowe zdaje się były mu całkiem obce — dwie kochanki, które miał, oglądał tylko — a nawet sam się dziwił, że nie uczuwał wobec nich żądz duszenia lub zgniatania im rąk, ale też nie doznawał z niemi tej rozkoszy, jakiej mu dostarczały jego duszone ofiary. Nie dostrzeżono w nim ani śladu skruchy, żalu, lub wogóle uczuć moralnych. Mówił tylko sam, że byłoby bardzo pożądanem, aby pozostał w więzieniu, gdyż na swobodzie nie zdołałby się pewnie oprzeć owej krwiożerczej żądz. Skazano go na dożywotnie więzienie.“ (Patrz Lombroso, *Verzenie* Agnoletti. Roma 1873).

Ciekawemi są zeznania Verzeniego już po zapadnięciu wyroku. „Doznawałem, powiada on, niewypowiedzianej rozkoszy, gdy dusiłem kobiety, czułem przytem erekcje i prawdziwe lubieżne podrażnienie. Już samo obwąchiwanie szat kobiecych sprawiało mi wielką przyjemność. Uczucie przy duszeniu było o wiele rozkoszniejszem, aniżeli przy samogwałcie. Przy ssaniu krwi Motty doznawałem niezwykłego zadowolenia. Było mi też nadzwyczaj miło, gdy uduszonym wyciągałem szpilki z włosów. Suknie i trzewa (wnętrznosci) brzuszne zabierałem ze sobą dla sprawienia sobie rozkoszy dotykania i obwąchiwania ich. Matka moja w końcu domyślała się moich sprawek, gdyż po każdym morderstwie lub usiłowaniu morderstwa, bielizna moja była poplamiona nasieniem. Obląkanym nie jestem, ale w chwilach duszenia nic nie widziałem. Dziś jeszcze nie wiem, jak kobieta jest zbudowaną, bo nigdy nie przychodziło mi na myśl, dotykać jej części płciowych, ani nawet oglądać. Podczas duszenia przyciskałem się do całego ciała ofiary, nie zwracając szczególniejszej uwagi na część którąkolwiek. Verzeni myśl swych opacznych uczynków powziął sam ze siebie, gdy mając lat 12 spostrzegł, że przy duszeniu drobiu doznaje jakiejś osobliwszej rozkoszy. To też niekiedy zabijał wielką liczbę kurcząt, mówiąc potem matce, że to kuna zakradła się do kurnika.“

(Lombroso, *Archiv. Goldammera*. Tom 30, str. 13).

Podobny wypadek do powyższego, który opisuje Lombroso, zdarzył się w Vittorji w Hiszpanji. Niejaki Gruyo, lat 41 liczący, dawniej nieposzlakowany, trzykrotnie żonaty, przez ostatnie lat 10 zadusił 6 kobiet, niemal same prostytutki, i do tego dość stare. Po uduszeniu wrywał im per vaginam kiszki i nerki. Niektóre ze swych

ofiar gwałcił przed zamordowaniem, inne nie. Postępował on przy tych okrucieństwach tak ostrożnie, że przez 10 lat nie został wykrytym. Podobnym potworem musiał być margrabia Sade, wielokrotnie przez francuskich autorów opisywany. Zwykł on być zaspakając swój popęd płciowy tym sposobem, że ranił on do naga rozebrane kobiety publiczne, poczem z najwyższą rozkoszą opatrywał im rany. Był on przytem tak cynicznym, że okrutną swą lubieżność na serjo pragnął idealizować i stać się apostołem nowej, opartej na tem nauki! Bliższe o nim szczegóły podaje Taxil (op. cit. p. 80).

*

*

*

„Morderstwo z lubieżności *) posiada doniosłe znaczenie sądowo-lekarskie ze względu na trudność oceny jego przypadków. Nie każde morderstwo, którego istotny lub pozorny motyw wynika z popędu płciowego, zasługuje na miano morderstwa z lubieżności (*Lustmord, l'assassinat sadique*), przynajmniej w ściślejszem znaczeniu słowa, albowiem doświadczenie uczy, że przestępca natrafiając w chwili podjęcia gwałtu płciowego na czynny lub bierny opór ze strony ofiary, przelamuje go nieraz w tak gwałtowny i brutalny sposób, że ofiara traci wskutek tego życie; innym znów razem przestępca, dokonawszy już zgwałcenia, stara się przez pozbawienie życia tej ofiary usunąć jedyne i niewygodnego świadka poprzedniej zbrodni. Tego rodzaju przypadki gwałtownej śmierci osób, na których dokonano gwałtu płciowego, choć się nieraz nie różnią przedmiotowo od istotnych zbrodni z lubieżności i mogą być mylnie za nie uważane, przecież do rzędu omawianych tu morderstw w ścisłem słowa znaczeniu nie należą. Śmierć gwałtowna ofiary bywa w tych ostatnich przypadkach następstwem najróżnorodniejszych obrażeń. I tak np. przestępca zadławia swą ofiarę nazbyt silnem uciśnięciem jej szyi lub dusi ją zatkaniem nazbyt szczelnem górnego odcinka dróg oddechowych, chcąc stłumić jej krzyk; zadaje jej rany darte lub cięte w częściach płciowych, sprowadzające w następstwie śmierć wskutek upływu krwi, dlatego, że srom ofiary wskutek swej wąskości i stąd wynikającego niestosunku płciowego nie pozwala podjąć prawidłowego aktu. Od tych przypadków, w których obrażenia, będące przyczyną śmierci, wynikały nie z zamiaru z góry powziętego, by ofiarę pozbawić życia, lecz z chęci pokonania jej oporu czynnego

*) Prof. dr. Leon Wachholz. Medycyna sądowa, str. 494—497.

lub biernego w sposób zbyt gwałtowny, bo wynikający z płciowego pobudzenia, trzeba odróżnić te, w których sprawca gwałtu zabija swą ofiarę już po dokonaniu aktu, rozmyślnie, z zamiarem usunięcia świadka poprzedniego czynu. Gdy w pierwszym razie zachodzi zwykle zbrodnia zabójstwa, to w drugim zachodzą już znamiona zbrodni morderstwa. Samo przez się jest zrozumiałe, że roztrzygnięcie, czy w danym przypadku zachodzi rozmyślne czy przypadkowe pozbawienie życia, zabójstwo, czy morderstwo, nie zawsze jest łatwe i możliwe, a zależy ono między innemi od jakości obrażeń znalezionych na zwłokach ofiary. W każdym razie znaczne obrażenia, np. liczne rany kłóte, obrażenia czaszki, zadzierzgnięcia szyi sznurem, paskiem itd. przemawiają raczej za rozmyślnem pozbawieniem życia, zatem za morderstwem.

Jakkolwiek przypadki powyższe nie należą, ściśle biorąc, do rzędu morderstw z lubieżności, gdyż pobudka ich nie jest wyłącznie tylko lubieżność, przecież w praktyce trudno je od istotnych zbrodni z lubieżności oddzielić; albowiem, aby je móc oddzielić stanowczo i pewnie, trzeba by mieć odpowiednie przyznanie się sprawcy, tymczasem ten nadto często jest nieznanym lub w razie wysłedzenia przyzna się raczej do samego czynu, niż do jego motywu, jeśli nim była w istocie sama lubieżność.

Przez właściwe morderstwo z lubieżności należy rozumieć pozbawienie życia człowieka drugiego, które wynikając z lubieżności albo stanowi już samo przez się pożądane zaspokojenie chuci płciowej u sprawcy, albo też służy przed lub śród aktu do wzniecenia pobudliwości płciowej (Leppmann, Krafft-Ebing, Eulenburg, Ball itd.) Stefanowski rozróżnia dwojakie morderstwa, wynikające z pożądliwości, t. j. jedne ściśle płciowe, zatem odpowiadające powyższemu określeniu i drugie, których celem jest wzbudzenie u sprawcy uczucia rozkoszy niepłciowej. Popęd do morderstwa nie z płciowego motywu, nazwany przezeń tyranizmem (mania sanguinis) jest zdaniem Magnana przejawem zwyrodnienia. W istotnem morderstwie z lubieżności uderza zawsze pośpiech w jego wykonaniu, zwierzęca niemal brutalność i stereotypowość pod względem wyboru sposobów zabicia ofiary. Te to właściwości wskazują, że morderstwa z lubieżności wykonują sprawcy ich bez namysłu i planu i bez dostatecznego uświadomienia sobie pobudki, która skłaniała ich do czynu. Słusznie też zaznacza Leppmann, że t. zw. morderstwo z lubieżności prawniczo jest raczej zabójstwem, a Krauss sądzi, że pobudką do niego staje się

wyobrażenie, które samoistnie i nagle z tajemniczego dla nas stanu, będącego poza naszą świadomością, wylania się i narzuca sprawcy.

Morderstwo z lubieżności popełnia sprawca albo przed podjęciem aktu płciowego, albo zamiast niego, albo wśród niego, albo wreszcie poczęści po akcie płciowym, względnie zamiast niego, (równoważnik aktu płciowego); w tym ostatnim przypadku stanowi ono wybitnie patologiczne zjawisko. Morderstwo zaś popełnione po odbytem spółkowaniu dowodzi, iż żądza płciowa sprawcy była nadmierną i nie zaspokoila się przez dokonany akt płciowy. Trudną jest ocena stanu umysłowego sprawców tego przestępstwa. Oprzeć się ona musi zawsze na dokładnem badaniu i dłuższej obserwacji, które też wykazą nieraz u sprawcy istnienie psychozy. Nie bez słuszności mniema Viazzi, że morderstwo z lubieżności jest najczęściej dziełem epileptyków.

Sposób, którym sadysta pozbawia życia ofiarę swej pożądliwości płciowej, polega najczęściej na zadawaniu ran ciętych i kłótych, szczególnie na poderznięciu szyi ofiary lub na rozcięciu jej powłok brzusznych, połączonek niekiedy z wycięciem wewnętrznych narządów płciowych ofiary i zniekształceniem jej twarzy. Ostatnimi sposobami posługiwali się tajemniczy Jacek the ripper w Londynie i stracony z mocy wyroku w Lyonie w r. 1899 Vacher, któremu nadano słusznie przydomek „l'eventreur“ (rozprómacz). Mniej swoistem dla morderstwa z lubieżności jest zadławienie lub uduszenie ofiary przez zatkanie ust i nosa, gdyż sprawca gwałtu płciowego może w jeden z tych sposobów zabić swą ofiarę nie z motywu płciowego, który morderstwu temu nadaje właściwe znamię, lecz z chęci stłumienia krzyku i wołania ofiary o pomoc. Więcej typowem dla morderstwa z lubieżności będzie natomiast uduszenie przez unieruchomienie klatki piersiowej ofiary wskutek lubieżnego przygnięcia jej ciężarem ciała sprawcy tak, jak to się zdarzyło w jednym z ocenionych przez nas 9 przypadków morderstwa z płciowych pobudek.*) Z pośród naszych przypadków w 6 istniało niewątpliwie morderstwo z lubieżności, raz dokonane przez poderznięcie szyji, raz przez ugnięcie klatki piersiowej, raz przez liczne rany głowy, 3 razy przez zadławienie i rany tłuczone głowy. Dwóch sprawców liczyło 20 i 21 lat, dwóch zaś 40 i 42 lat, dwóch wreszcie nie zdołano wykryć.

*) Wachholz: 11. Sechs Fälle von Mord aus sexuellen Motiven. Vischr. f. g. M. 1909, T. 38.

U kobiet jest sadyzm o wiele rzadszy, gdyż nie godzi się z ich właściwościami płciowymi, tj. z właściwą im w czasie aktu płciowego biernością i poddaniem się. Dlatego też jest on u kobiety wyrazem wyższego stopnia przewrotności, niż u mężczyzny. U kobiet nazywamy sadyzm wampiryzmem. Kobiety, które już w codziennem życiu objawiają męską energię, są surowe i bezwzględne dla mężów, dzieci i swych domowników, przedstawiają typ wampiryczny jeszcze w granicach fizjologicznych. Prawdziwy wampiryzm kobiety przejawia się żądzą pastwienia się nad mężczyzną, czy to przed, czy wśród, czy też wreszcie po akcie płciowym, ponieważ w ten tylko sposób zaspakaja się jej popęd płciowy.“

X.

Nowoczesny upiór.

(Nekrophilia).

Bardzo ciekawą grupę w klinice opacznego płciowego życia stanowią przypadki zaspokojenia popędu przez obcowanie z trupami.

Obrzydły ten sposób zaspokojenia płciowej żądzy jest tak potworny, że zawsze, jak powiada v. Krafft-Elbing, pod wszelkimi warunkami usprawiedliwionem jest przypuszczenie jakiegoś psychopatycznego stanu i wielce usprawiedliwionem wskutek tego wydaje się wymaganie Maschki, aby w każdym podobnym przypadku badano stan umysłowy sprawcy.

Dla zobrazowania tego strasznego zboczenia płciowego, podaję za v. Krafft-Elbingiem, następujący przykład:

„Sierżant Bertrand jest człowiekiem o delikatnej budowie ciała, dziwaczного charakteru, od dzieciństwa zamknięty w sobie i lubiący samotność. Stosunki zdrowotne jego rodziny nie są dostatecznie znane, wszakże napewno wiadomem jest, iż wśród przodków zdarzały się przypadki chorób umysłowych.

Już w dzieciństwie ulegał on podobno niepojętemu popędowi niszczenia wszystkiego. Łamał i tłukł, cokolwiek miewał pod ręką. Wcześniej też, bez wszelkiej namowy poczał się oddawać samo-

gwałtowi. W 9-tym roku życia zaczął poczuwać pociąg do kobiet. W 13-tym roku żąda zaspakajania płciowego z kobietami obudzila się gwałtownie. Wówczas onanizował się nadzwyczaj często zawsze przytem wyobrażając sobie izbę pełną kobiet. Przedstawiał też sobie w myśli, że z niemi obcuje, a potem je katuje i męczy. Później wyobrażał je sobie zmarłemi i że jako takie znieważa. Niekiedy przychodziła mu w takich okolicznościach myśl, że obcuje z trupami mężczyzn, ale to mu sprawiało obrzydzenie. Zwolna zaczął uczuwać żądzę wykonania podobnych sytuacji z prawdziwymi nieboszczykami.

W braku zwłok ludzkich, starał się o zabite zwierzęta, rozwierał im brzuch, wyrywał trzewa i onanizował się przytem. Jak powiada, doznawał przytem niewypowiedzianej rozkoszy. Od 1846 r. już mu to nie wystarczało. Teraz sam zabijał psy i postępował z nimi jak wyżej. W końcu 1846 r. poraz pierwszy napadła go chęć obcowania naprawdę z trupami. Zrazu jednak wzdrygał się przed tem. W r. 1847 wszakże gdy przypadkiem dostrzegł na cmentarzu świeżą mogiłę, żąda ta wśród bólu głowy i kołatania serca stała się tak gwałtowna, że pomimo tego, iż ludzie byli niedaleko i narażał się na schwytanie in flagranti, trupa z grobu wykopał, a nie mając stosownego narzędzia do poćwiartowania go, zadowolił się wściekłym zbiciem go grabarską łopatą. W 1847 i 1848, jak powiada, w odstępach czasu dwutygodniowych wśród gwałtownych bólów głowy ponawiał się popęd popelnienia podobnych bezeceństw z trupami. Wśród największych niebezpieczeństw i z najcięższym trudem 15 razy tę swoją nieludzką żądzę zadowolił. Wygrzebywał trupy gołemi rękami, niebacznym wśród rozbewstwienia, na "okałeczenia, jakie przytem odnosił. Dopadłszy wreszcie trupa, pałaszem lub nożem kieszonkowym, rozplatywał go, wyrywał wnętrzności i w takiej sytuacji odbywał samogwałt. Płeć nieboszczyków, jak twierdzi, była mu całkiem obojętną, stwierdzono jednakże, że ten upiór nowoczesny wygrzebał więcej zwłok kobiecych, niżeli męskich. Podczas tych uczynków bywał zawsze w nieopisanem rozdrażnieniu płciowym. Poćwiartowawszy trupa, zakopywał go zawsze znowu.

Raz wreszcie w lipcu 1848 natrafił na zwłoki 16-letniego dziewczęcia.

Wówczas poraz pierwszy zbudziła się w nim pożądlivość płciowego obcowania z ciałem. „Okrywałem je wszędzie pocałunkami,

powiada, i jak oszalały przyciskałem do serca; wszystko cokolwiek doznać można w stosunku z żywą kobietą jest niczem w porównaniu z tą rozkoszą nieopisaną. Nacieszywszy się czas jakiś, poćwiartowałem jak zwykle trupa i wyrwałem zeń wnętrzności, poczem go znów zagrzebałem.“

Dopiero od tego występnego zamachu, Bertrand, jak twierdzi, począł ulegać żądzy obcowania z trupami przed ich ćwiartowaniem i podobno później względem zwłok trzech kobiet dopuścił się tej zbrodniczej sprosności. Wszakże właściwą pobudką do wygrzebywania trupów i później zawsze była chęć ćwiartowania ich, przy czem rozkosz miała być nawet większą, niżeli przy płciowem obcowaniu z niemi. Ten ostatni uczynek miał zawsze stanowić tylko epizod czynu głównego i nigdy sam przez się chuci jego nie zaspakajał i dlatego też zawsze potem musiał albo też same zwłoki albo inne, jeszcze kaleczyć lub ćwiartować.

Lekarze sądowi przypuszczali istnienie „monomanji.“ Sąd wojenny skazał go na rok więzienia. (Michéa. Union med. 1849. — Lumier. Annal. méd. psycholog. 1849, pag. 153. — Tardieu. Attentats aux moseurs. 1878, p. 114. — Legran. La folie devant les tribuneaux, p. 524).

XI.

Tajemniczy trup w hotelu.

Dnia 5. grudnia 1926 r. władze śledcze otrzymały wiadomość, iż w hotelu „Bristol“ w Warszawie w pokoju Nr. 50 znaleziono trupa kobiety.

Na tę wiadomość, w niespełna 10 minut władze śledcze znalazły się już na miejscu wypadku.

Na drugim piętrze tegoż hotelu w pokoju Nr. 50 leżała na łóżku w bieliźnie martwa kobieta. Z lewej skroni sączyła się struga krwi. Obok łóżka na dywaniku leżał małego kalibru browning, przy nim łuska od wystrzelonej kuli. Szuflada nocnej szafki była wysunięta na zewnątrz, wewnątrz niej znajdowała się torebka damska,

z której wydobyto kartkę z napisem: „Życie mi się sprzykrzyło, więc kończę ze sobą.“

Kartka nie miała żadnego podpisu. Trup na łóżku przykryty był do połowy koldrą. Ręce spoczywały na koldrze.

Funkcjonariusze P. P. stanęli teraz przed zagadką — samobójstwo — czy morderstwo?

Ze względu na trudne rozwiązanie zagadki, zaczęli z wielką rozwagą badać i analizować najdrobniejszy szczegół, znaleziony na miejscu wypadku.

Pierwszy z nich zbliżywszy się do łóżka, zagadnął drugiego: — Panie Kolego, czy pan sądzi, że samobójczyni mogłaby się po wystrzale przykryć tak starannie koldrą? — Przypuszczam, że mogłaby, — odrzekł drugi funkcjonariusz P. P.; — wystarczyło by jej tylko sięgnąć ręką w pozycji leżącej do szafki, by z niej wydobyć rewolwer.

— I to możliwe, lecz nie wierzę, by po strzale samobójczyni zdążyła odrzucić tak daleko rewolwer, a następnie ułożyć tak spokojnie obie ręce na koldrze.

— To znaczy?

— To znaczy — odparł pierwszy, — że kobieta ta została zastrzeloną we śnie. Jest! — krzyknął pierwszy funkcjonariusz. — Co jest? — zapytał sędzia śledczy. Czy pan sędzia nie widzi, że ten puder jest różowy. — Więc? — To znaczy, że była tu jeszcze inna kobieta, używająca kremowego pudru i paląca papierosy. — No tak, ale papierosy mogła palić i zabita. — Nie panie sędzio. Trzy gilzy z papierosów mają na sobie pył kremowego pudru, którego blondynki nie używają. — Zawezwać numerowego — rozkazał sędzia śledczy. Przybył numerowy. — Kto jest ta kobieta? — zapytał sędzia, wskazując na zwłoki. — Nie wiem, panie sędzio. Wynajęła pokój dopiero wczoraj wieczorem. — Po tej lakonicznej odpowiedzi portjer hotelu przedstawił sędziemu paszport zmarłej kobiety na nazwisko Ireny Panowskiej z pod Kalisza. — Czy kto przychodził w ciągu nocy do Panowskiej? — badał portjera komisarz. — Ja nikogo absolutnie nie widziałem i nic więcej w tej sprawie powiedzieć nie mogę.

Po zebraniu powyższych szczegółów o tajemniczej śmierci zawiadomiono natychmiast telefonicznie policję w Kaliszu, skąd otrzymano odwrotną odpowiedź następującej treści:

„Przed trzema dniami właścicielka majątku Wólka w powiecie kaliskim, p. Irena Panowska, wdowa, wyjechała do Warszawy, celem podjęcia w banku amerykańskim sumy 10 tysięcy dolarów, ja-

kie nadeszły dla niej z Ameryki w spadku po bracie. Panowska używała pudru różowego. Papierosów nie paliła.“

Wszczęte dochodzenia w banku amerykańskim wykazały, że pieniądze podjęte zostały przez Panowską w dniu poprzedzającym zabójstwo. Przy podejmowaniu pieniędzy towarzyszyła Panowskiej kobieta, silna brunetka o śniadej cerze. Charakter pisma na kwicie bankowym był niezgodny z charakterem pisma na kartce, na której denatka podała przyczynę rzekomego samobójstwa. Z banku udała się komisja śledcza z powrotem do hotelu i tu między innymi stwierdzono, że strzał dany był w lewą skroń, co mogłoby nastąpić tylko wtedy, gdyby samobójczyni była mańkutom; Panowska zaś mańkutom nie była. Numerowy hotelu, badany poraz trzeci przypomniał sobie wreszcie, że późną nocą przychodziła do Panowskiej jakaś kobieta, kiedy zaś wyszła, tego definitywnie określić nie mógł. Po ukończeniu śledztwa wstępnego w Warszawie, delegował Urząd śledczy natychmiast jednego ze zdolniejszych wywiadowców do Wólki, w celu przeprowadzenia tam dochodzeń; ten na miejscu ustalił, że Panowska miała dwie siostry. Jedna z nich mieszkała w Kaliszu, druga zaś w Łodzi. Dalsze dochodzenie ustaliło, że siostra Panowskiej, Anna Weltman, zamieszkała w Kaliszu, wyjeżdżała jednocześnie z Panowską do Warszawy i trzeciego dnia wróciła. Weltman paliła papierosy „Maden“, to jest takie, jakie znałeziono w pokoju Panowskiej oraz używała pudru kremowego. Na zasadzie stwierdzonych poszlak, przeprowadzono u Weltmanowej rewizję. W mieszkaniu jej podczas rewizji nie znaleziono nic, coby mogło stanowić dowód jej winy. Weltmanowa ze swej strony nie przyznała się do zbrodni, twierdząc, że była wprawdzie z siostrą w Warszawie, gdyż ta ją o towarzystwo prosiła, była nawet z nią w hotelu Bristol, lecz pożegnawszy się z nią o świcie, odjechała do Kalisza.

Niejasne zeznania Weltmanowej nie znalazły wiary u funkcjonariuszów policji. Wobec tego postanowiono przeprowadzić dodatkową u niej rewizję, która dała wyniki dostateczne. Oto w piwnicy znaleziono zakopaną walizkę Panowskiej, a w walizce 10 tysięcy dolarów.

Dowód był jasny, że sprawczynią morderstwa był nikt inny, jak tylko Weltmanowa. Weltmanową pod zarzutem zamordowania siostry aresztowano i odesłano pod konwojem do więzienia w Warszawie.“ *)

*) Ilustr. Kurjer Codzienny, nr. 337, r. 1926.

XII.

Zamachy dynamitowe.

Zamachy dynamitowe uważamy jako przestępstwo przeciw porządkowi wewnętrznemu państwa. Karygodność tych przestępstw uzależnia ustawa od okoliczności i sposobów wśród których je spełniono. Jako przykład ilustrujący te przestępstwa podaje:

1. Proces o zamachy dynamitowe — Wieczorkiewicza i Bagińskiego. Zamachy dynamitowe były dziełem organizacji komunistyczno-terrorystycznej, mającej na celu:

- a) uszkodzanie kolei żelaznych,
- b) uszkodzanie pomieszczeń instytucyj rządowych,
- c) uszkodzanie budynków rządowych.

Organizacja ta zawiązana została w kwietniu 1923 r., od której to chwili rozpoczęły się niepokojące operacje, publiczne zamachy bombowe. Najpierw wybuchły trzy bomby w Krakowie, a mianowicie bomba podłożona pod dom rektora uniwersytetu Jagellońskiego, prof. Nathansona, przy ul. Studenckiej, druga w dwa tygodnie później w hotelu Z. Kellera, przy ul. Krakowskiej, gdzie mieścił się lokal żydowskiego „Bundu,” wreszcie w krótkim odstępie czasu trzecia w redakcji żydowskiego „Nowego Dziennika.”

W tydzień później nastąpiły zamachy bombowe w stolicy państwa. Dnia 23-go maja wybuchła bomba w redakcji „Rzeczypospolitej,” a równocześnie podłożono bombę, która nie eksplodowała, pod lokal ul. Zgody, L. 5, gdzie mieszczą się redakcje „Gazety Porannej” i „Gazety Warszawskiej.” Nazajutrz 24-go maja wybuchła bomba podłożona pod lokal Bratniej Pomocy na uniwersytecie, której ofiarą padł ś. p. prof. Orzecki. Na trzeci dzień 25-go maja podłożono w Warszawie bombę pod lokal Towarzystwa Akademickiego „Strzecha,” a tegoż samego dnia dokonano nieudalego zamachu bombowego na P. K. U. w Białymstoku. W miesiąc później dokonano nieudalego zamachu dynamitowego na P. K. U. w Częstochowie. Wyniki rozpraw przeciw Wieczorkiewiczowi i Bagińskiemu wykazały, że w czerwcu miała być podłożona bomba pod most na Wiśle koło Cytadeli, wreszcie w lipcu, według zeznań Cechnowskiego, jednego z głównych świadków obciążających, miał on polecenie podłożenia bomby pod P. K. U. w Będzinie, zaś wedle zeznań innych świadków, potwierdzonych

wynikami rozprawy, miano następnie dokonać zamachów na mosty i linje kolejowe na odcinku Kraków, Tarnów—Radom, następnie zaś w początkach sierpnia „obrobić“ szereg obiektów kolejowych w całej Polsce.

Akt oskarżenia zarzucał Wieczorkiewiczowi — Bagińskiemu zbrodnię z art. 563 i 564 K. K. R. a w uzasadnieniu zaś wyroku stwierdził sąd, że obaj brali udział w akcji terrorystycznej, której celem była robota antypaństwowa, przez wywołanie w państwie zamętu, rozruchów i anarchji.

2. Zamach dynamitowy na Cytadeli w Warszawie.

3. Udaremniony zamach na składy amunicyjne we Lwowie, w lipcu 1923, przez podłożenie maszyny piekielnej. Zamach ten był wynikiem organizacji terrorystyczno-komunistycznej. Obu sprawców skazano na karę śmierci za zbrodnię z ustawy dynamitowej z r. 1885. Spiskowca, który cały spisek zdradził i wykonanie zamachu udaremnił, sąd uwolnił od winy i kary (czynny żal) przy zbrodniach dynamitowych.)

4. Liczne napady dywersyjne na kresach wschodnich, w szczególności główny napad na Stołpce w sierpniu 1924 r. i pod Łunińcem w październiku 1924 roku. Podczas napadu na Stołpce obrabowany został urząd pocztowy, zdemolowano lokale komendy P.P. i stacji kolejowej.

Dnia 25-go sierpnia 1924 r. odbył się w Nowogródku sąd doraźny nad trzema bandytami, którzy brali udział w napadzie na miasto Stołpce.

W postępowaniu dowodowym stwierdzono, że różne akty popełnione na kresach wschodnich, nie są zwykłymi napadami bandyckimi, lecz, że jest to z góry uplanowana akcja dywersyjna, kierowana przez urzędowe organy w Sowdepji, mająca na celu wywołanie wśród ludności paniki i podburzanie mniejszości narodowych przeciwko Polsce. Cały przewód sądowy wykazał niezbicie, że w tej akcji dywersyjnej biorą udział żołnierze bolszewicy i że napad na Stołpce, oprócz charakteru czysto kryminalnego, miał cechy wybitnie polityczne, a mianowicie: W 1920 r. zorganizowano w Moskwie, Charkowie i Smoleńsku urzędy, zadaniem, których było prowadzenie akcji dywersyjnej, mającej na celu wprowadzanie dezorganizacji, zaburzeń i strajków w sąsiednich państwach, a zwłaszcza w Polsce. W tym celu zorganizowano „Zakordonny Oddział“

który przy pomocy agitatorów i miejscowej ludności prowadzi akcję dywersyjną na Wołyniu, na Polesiu i we Wschodniej Małopolsce.

Centrala tej akcji znajduje się w Moskwie — jest to t. zw. G. P. U. (Gosudarstwiennoję Politiczeskoje Uprawlenje), pododdział w Smoleńsku, a w Mińsku jest ekspozytura, na czele której stoi znany przywódca bandytów, Mucha-Michalski. Zadaniem band dywersyjnych jest terroryzowanie policji granicznej przez mordowanie jej funkcjonariuszy, mordowanie właścicieli ziemskich i podpalanie folwarków, napady na miasta celem wywołania paniki i obniżenia autorytetu władz polskich, niszczenie obiektów państwowych, rabunek, rozkład ducha armji, policji i społeczeństwa. Oskarżeni o napad na Stolpce, Piotr Joda, lat 22, prawosławny, zamieszkały w Sałonaj, gminy i powiatu Wołożyńskiego, Mikołaj Goraczko, lat 23, prawosławny, zamieszkały w Stolpcach i Edward Stapiński vel Kaczmarczyk z Lublina, w zeznaniach swych przed sądem stwierdzili, że napad na Stolpce był aktem czysto dywersyjnym i że atakiem na Stolpce kierowali oficerowie bolszewicy w ubraniu cywilnem i że celem tego napadu było zabranie dokumentów rządowych, zniszczenie obiektów rządowych, a zwłaszcza urządzeń telegraficznych i telefonicznych.

Wszyscy trzech oskarżeni, wyrokiem sądu doraźnego w Nowogródku, skazani zostali na karę śmierci przez rozstrzelanie.

5. Władze bezpieczeństwa wpadły na trop bardzo wielkiej i bardzo niebezpiecznej organizacji wywrotowej, będącej na usługach sowjetów, a obliczonej na wygrywanie przeciw Polsce wszelkich separatystycznych ruchów narodowościowych, ukraińskich, białoruskich, litewskich i niemieckich.

Centrum akcji było w Moskwie, ale nici jej prowadziły do szeregu polskich miast nadgranicznych we wszystkich województwach kresowych. Cel tej organizacji był podwójny, wywiad szpiegowski i polityczna gra, jak oderwanie terytorjów, zamieszkałych przez ludność obcych narodowości.

Przy akcji tej specjalną troską otoczone było wojsko. Tam kierowano całą agitację wywrotowców moskiewskich, szukając tak wśród żołnierzy, jak i oficerów obcych narodowości.

Jako element najpodatniejszy wyszukano oficerów byłych armji zaborczych, nie przyjętych do wojska polskiego, a obsiadających masowo nasze kresy południowo-wschodnie.

Gdy organizacja ta była gotową do czynu, rozpoczęły się masowe aresztowania. We wszystkich miastach wykryto jacejki „Rozwiedupr,” t. j. oddziału wywiadowczego armii czerwonej. Bessarabowa miała być pośredniczką między temi jacejkami a głównem centrum w Moskwie *).

XIII.

Biała „siestrica.“

W zimie r. 1914—15, eleganckie życie w Warszawie grupowało się w hotelu Bristol. Moznaby go nawet nazwać miejscem „rendez-vous“ całego wojska rosyjskiego. Od przewrotnego portjera (rozstrzelanego później przez Niemców jako szpiega), aż do neurastenicznej księżniczki, Bristol był małym Babilonem, dokąd oficerowie przybywali na dzień lub dwa, aby następnie powrócić nad zamarzłe brzegi Bzury i Rawki, leżące zaledwie o godzinę drogi.

Nie wolno było pić szampana publicznie, lecz w małym towarzystwie, w oddzielnych gabinetach, można go było pić duszkiem. Nikt nie odważył się tańczyć jawnie, lecz na górnych piętrach zawsze była sposobność zorganizowania rozkosznych tango. Całą noc, ukryte muzyki, rozlewały stłumione melodje, a nazajutrz — uczestnicy i uczestniczki tych bachanalji pozdrawiali się ceremonjalnie, całowali publicznie w rękę, tak, jak gdyby ich pocałunki nigdy nie miały innego znaczenia.

W Bristolu zbierała się zawsze tasama klientela: żony i córki wyższych oficerów, wybór „chrzestnych matek“ i narzeczonych ze swemi ochmistrzyniami, attache wojskowi, kilku korespondentów i kilkanaście dam z półświatka, dumnie przyjmujących gości, jak gdyby były bardzo cnotliwemi damami z wysokiej arystokracji. Było też pełno szpiegów i kontrwywiadowców obojga płci; pewna liczba zniewieściałych latorośli różnych domów szlacheckich, kilku, wracających z odwiedzin frontu, mężów stanu; parę biału ubranych „siestric“; wreszcie — nieustanny przypływ oficerów rosyjskich, młodych i starych, brodatych i ogolonych, którzy zbliżali się do sie-

*) Polska Zbrojna, nr. 66/24.

bie, całując się w oba policzki, bez względu na to, czy byli Kozakami, Ukraińcami, Moskalami, czy Sybirakami. Wszystko to działo się w ciężkiej i przewrotnej atmosferze tego „karawan-seraju“, gdzie dzielność i grzeczność ocierały się każdej nocy o zbrodnię i żądzę.

Krótko mówiąc, Bristol był cudownym ośrodkiem szpiegostwa, typowym, położonym w pobliżu frontu, hotelem wojennym, gdzie dyskutowano o operacjach wojennych wobec tysiąca i jednego ucha i gdzie w ogólnym rozgardjaszu nie zauważono schadzek tajnych agentów.

... Otóż w tym hotelu Bristol mieszkała piękna „siostrica“ Sonia, o ile nie była zajęta w pociągu Czerwonego Krzyża w Bolimowie.

Ta młoda kobieta była pieszczona przez wszystkich. Miała mnóstwo przyjaciół i to przyjaciół bardzo bliskich, szczególnie między młodymi, czułymi a gadatliwymi oficerami rosyjskimi, którzy przybywszy z frontu, cieszyli się nadzieją miłości po przebytych ciężkich chwilach.

Pielęgniarka wybierała najbardziej świetnego, o którym wiedziała, że jest najlepiej poinformowany o wypadkach dnia, i w odpowiedniej chwili zaczynała dyskretnie:

„Tak, to prawda. Kocham Cię... Nie chcę, żebyś mnie opuszczał... Musisz mi dokładnie opowiedzieć, kim jesteś, gdzie śpisz, gdzie się bijesz, bym za każdym razem myśląc o tobie, mogła sobie wyobrazić, że jestem razem z tobą“...

I w swym ciepłym, pachnącym pokoju, pielęgniarka wydobywała mapę o wielkiej podziałce i kazała swemu wielbicielowi wskazywać na niej szczegóły jego życia na froncie. Mówiono nawet, że skoro owa siostra chciała mieć informacje o artylerji, serce jej poczynąło pałać ku artylerzyście, któremu później kazała wskazać pozycje kilku rosyjskich baterji.

Lecz i najlepsze rzeczy mają swój koniec. Pewnego dnia, pielęgniarka pokusiła się o dokazanie sztuki i zawiodła się. Namówiła jednego ze swych wielbicieli, aby się poddał Niemcom za pierwszym razem, gdy zostanie wysłany na patrol, i aby zaniósł im jej raporty. Na szczęście, ofiara oprzytomniała w ostatniej chwili i doniosła swym przełożonym. Elegancka jasnowłosa siostra została aresztowana. W ośm dni później była rozstrzelana przez tych samych „mujących“, których pielęgnowała, równocześnie zdradzając.

Powyższy przykład wskazuje nam, jak dalece trzeba być ostrożnym, by nie wpaść w pułapkę szpiega.

Fortele, używane przez szpiegów są niewyczerpane i jest ich tyle, że nie znając najważniejszych z nich, stałoby się przy ewentualnej rewizji szpiega prawie że bezradnie.

Dlatego to dla zapoznania się przynajmniej z niektórymi fortelami, podaję poniżej za Fischerem (Fischer, Spionage, str. 183) epizody z wojny francusko-pruskiej w r. 1870.

Francuzi mieli dawać swym szpiegom do przenoszenia depesz małe kapsułki gumowe, które w razie niebezpieczeństwa szpieg połykał. Niemcy połapali się jednak na tem, schwytanym szpiegom dawali silny środek przeczyszczający i w ten sposób dostawali depesze w swe ręce. Kulki tak zwiniętego papieru można też ukryć w nosie, we włosach, w dziurawym zębie zamiast plomby, a nawet — jak praktyka wykazała — w częściach sromowych kobiet i w odbytnicy! Używają też innych wydrążonych przedmiotów, jak szczoteczek do zębów, szczotek do ubrania, guzików pustych w środku, cygarniczek z podwójnemi wkładkami, wydrążonych drutów w parasolach itd. Zdarzały się wypadki przewożenia ważniejszych dokumentów w pudłach, kufrach i walizach o podwójnych dnach, ścianach i pokrywach, wlepione między grube okładki książek, włożone między dwie zlepione kartki książki, ukryte w podeszwie buta, pod podszewką kapelusza lub czapki, zaszyte w ubranie. Sposobów jest tyle, że trzeba być przygotowanym na rzeczy najmniej prawdopodobniejsze. Król szpiegów Schulmeister ukrywał swe meldunki pod skórą pudła, w którą ubierał swego pieska pinczera. Piesek ten, ogromnie do Schulmeistra przywiązany, towarzyszył mu zawsze w jego wyprawach, występując jako pudel a między swą własną skórą a skórą pudła nosił raporty swego pana.

XIV.

Na dnie upadku.

„Mroźny deszcz pewnego wieczora październikowego spędzał ludzi z ulicy, każdy przyśpieszał kroku, aby co rychlej znaleźć się

pod dachem i w ciepłym mieszkaniu. Z jednej szynkowni, których na ulicy tego przedmieścia spora liczba była, wytaczali się „pod dobrą już datą“ goście, kończąc pogadanki z rezonem podchmielonych ludzi o bardzo ważnych sprawach społecznych, które oni znakomicie, jak sądzili, na poczekaniu załatwićby potrafili. Ludzie ci przeważnie spokojnie rozchodzili się do domów, do czego pobudzał ich przenikający chłód październikowej, slotnej nocy, jak i to, że w pobliżu szynkowni stały na ulicy w gromadce ich małżonki i to w dość wojowniczym usposobieniu, boć to przecież był dzień wypłaty, a kobiety lękały się, by mężowie zbyt sobie podochociwszy, do ostatniego grosza w szynku się nie splukali.

W cieniu framugi tego domu, chwilami tylko obrzucanem drgającym światłem latarni gazowej, stała jakaś mała dziewczynka i schylona patrzyła z niemą rozpaczą na rozbitą w kawałki, na ziemi leżącą, dużą flaszkę, której zawartość szerząc zapach spirytusu, zapewne sztucznie na rum przerobionego, rozlała się szeroko i mieszała już całkiem z błotem chodnika. Kilka kobiet, mocno otulone w chustki, uspakajały szlochającą dziewczynkę i radziły jej, by szła do domu, boć przecież flaszki już nie zlepi, ani rumu nie pozbiera. Dziewczynka nic na to nie odpowiedziała, jeno łkającym szlochaniem, aż się dławiała. Przez chwilę patrzyłem i ja na tę scenę, widząc jednak, że ludzie bojąc się zimna i deszczu, już się porozchodzili, dziecko zaś jeszcze bardziej zawodzi, zbliżyłem się i pytam, czy boi się bardzo gniewu mamusi? Podniosła na mnie duże, splakane oczy, a kułakiem z łez je otarłszy, odpowiedziała:

— Eh! mamusi to się nie boję, ale ojciec jak przyjdzie z roboty i zobaczy, że rumu niema, to nas wszystkich strasznie spowiewiera, a ja to pewnie żywo z rąk jego nie wyjdę.

— Ale przecież tutaj siedzieć nie możesz, bo się przeziębisz — odrzekłem.

— Wolę już tu pozostać, odpowiedziała, bo ojciec ze szynku tędy przechodzić do domu musi i jak mnie tu zobaczy, to mnie na ulicy tak strasznie nie zbije, jakby to pewnikiem zrobił w domu, gdy przyjdzie, a flaszki rumu mama mu nie postawi.

Nadzieja zdobycia dobrego tematu do obrazka obyczajowego zachęciła mnie do rzucenia dziecku jeszcze pytań kilku. Dziewczynka zaś, czy to z chęci wypowiedzenia tego, co ją gnębi, czy to może i w nadziei, że stratę jej wynagrodzę i od dzikiej kary ojcow-

skiej ją w ten sposób wybawię, spokojnie tragiczny swój los opisywać poczęła:

— Mamusia moja jest praczką — mówiła — zazwyczaj przez cały dzień w domu jej niema, ja muszę w domu posprzątać, kuchni przypilnować i bawić jeszcze mą dwuletnią siostrzyczkę. Mam wprawdzie starszego brata, liczy lat przeszło trzynaście, ale jest bardzo słabowity i chodzić może tylko o kuli, bo mu lewa nóżka całkiem uschła, toteż on prawie cały dzień przeleży lub chyba gdy słońce zaświeci, to wychodzi z izby na ulicę i na kamieniu przed domem usiadłszy, słońcem się raduje. Ojca także cały dzień w domu niema, bo nosi węgle na kolei. Bardzo to ciężka robota — jak mówi mamusia — i wcale się nie dziwi, że ojciec dla rozweselenia tak często się przez to upija. Ojciec zwykle wraca do domu wieczorem i to dobrze pijany, a wtedy z matką zaczyna swary, a nieraz i bitki. Zwłaszcza w sobotę, to ledwie przez próg do izby wejdzie, już go matka rumem częstuje, bo inaczej to zaraz przeklina, rzuca sprzętami i do bicia nas się bierze. Może będzie z rok temu, to tylko cudem od śmierci się uratowaliśmy.

Przyszedł ojciec pod wieczór w sobotę, cały jak zwykle węglem osmolony, ale i przytem mocno upity i zaraz począł nas bić i przeklinać, bo matka w domu żadnego napitku nie miała. Ojciec wołał o rum, ale my widząc, że zły jest bardzo, pochowaliśmy się ze strachu gdzieśmy mogli, a matka to się ukryła pod łóżkiem, Ojciec myśląc, że wszyscy uciekli, porozbijał kijem garnki, szklanki i talerze, a potem zaczął rzucać stołkami w co tylko utrafił. Myśmy w kącie za wielkim koszem siedzieli cichutko i prosili Boga, by ojciec spać się położył, ale biedna mamusia pod łóżkiem zmieścić się nie mogła i wyciągnęła na izbę jedną nogę. Jak to ojciec zobaczył, tak chwycił siekierę i z całym rozmachem w nią się zamierzył. Widocznie chciał matce uciąć nogę, na szczęście jednak nie trafił; siekiera utkwiała mocno w podłodze, a ojciec zemdlony upadł obok na ziemię. Narobiliśmy krzyku, przybiegli sąsiedzy, przyszła policja i buda ratunkowa. Ojca zemdlonego ocucić nie można było, buda go zabrała i do szpitala warjatów odwiozła. Przebywał tam kilka tygodni w leczeniu, a jak powrócił, to nas z początku bardzo kochał i mówił, że nam da piękne mieszkanie, ale potem znowu wszystko na dawne się zmieniło.

— A gdzież wy biedaki mieszkacie? — spytałem.

— Ot tutaj niedaleko — odrzekła — w tej dużej kamienicy w suterenach. Wilgoć leje się po ścianach, bo matka bierze także

pranie do domu, pary w izbie mnóstwo tak, że oddychać nie można, a okno całkiem się nie otwiera, bo zamurowane, by woda niem z ulicy do izby się nie wlewała. Jak ojciec wrócił ze szpitala i kilka tygodni nie pijał, to się roztkliwiał nad naszą biedą i mówił, że gdyby mieszkanie miał trochę lepsze, chociaż izbę, do której słońce by zazierało, kuchnię i jaki mały ogródek, to pewnoby nie pił, bo miłoby mu było patrzeć w słońcu na czystą izbę, przyjemnie i zdrowo popracować w ogrodzie, a tak powiada, „co mam w domu? smród i nędzę okropną!“

Niedawno sąsiedzi namówili go, to poszedł do tych państwa, co u nas na pierwszym pięttrze mieszkają, by nam jeden swój pokój odstąpili. Ten pan, co tam mieszkał, to się ojca przestraszył i nie wiedział, co ma ojcu odpowiedzieć, dopiero po chwili zaczął się tłumaczyć, że ma za dużo mebli i gdyby jeden pokój ojcu oddał, toby nie miał gdzie tych mebli postawić. Na to ojciec mu odpowiedział, że on weźmie pokój z meblami i niech się ten pan nie boi, bo on w takich meblach będzie umiał mieszkać z żoną i dziećmi. I kto wie, czy ten pan nie byłby się ze strachu zgodził na ojca żądanie, ale żona jego, to ojca zwymyślała i powiedziała mu, żeby sobie wybrał mieszkanie u takich ludzi, którzy mają po sześć i więcej pokoi, a dzieci żadnych nie mają, jeno psy trzymają i w nich się kochają.

Ojciec, gdy wrócił do domu, to mówił, że pani ta miała słuszną i ojciec już dla nas obmyśli jakieś ładne mieszkanie, a wtedy inne zaczniemy życie. Bardzo ja to w to, co ojciec mówił, nie wierzyłam, bo i w najładniejszym mieszkaniu połamałby ojciec meble lub powynosił sprzęty, a co ładniejsze, posprzedawałby na tandecie. Nic się więc nie zdziwiłam, gdy ojciec wrócił raz do domu, po tem wielkiem strzelaniu, co było na ulicach Krakowa (6-go listopada 1923 roku) i opowiadał, że szkoda krwi ludzkiej, bo to wszystko, co ludziom przedtem obiecywano, aby tylko robili rewolucję, to było nieprawdą, bo ani mieszkań ani gruntów dzielić nie będą, a biedakom jak źle było, gdy rządili panowie, to jeszcze jest gorzej, gdy rządzą chłopci i robotnicy.

Bieda też u nas coraz większa, ojciec pije coraz straszniej i okrutnie się nad nami znęca, a znikąd ratunku żadnego. W tamtym tygodniu tośmy mieli okropną historję z naszymi sąsiadami ze suterena. Matka i syn tam mieszkali, oboje straszni pijanice, nie raz pili z naszym ojcem, a potem okrutne brewerje wyprawiali tak,

że i policja przychodzić musiała, Ale te awantury już się skończyły parę dni temu. Ten młodszy syn, (był nawet dobry robotnik, dużo zarobił, to i dużo pił), upił się raz okropnie, krzyczał i wyklinał, aleśmy byli do tego przyzwyczajeni i gdy się u nich uciszyło, tośmy myśleli, że posnęli. Na drugi dzień rano zaglądamy do nich, a tu syn wisi za pasek od spodni na stołku, a matka upita śpi koło niego na ziemi pod stołem. Gdyśmy ją zbudzili, to nic nie wiedziała, co się stało i dlaczego się syn powiesił. Ale i ona za dwa dni umarła, bo w izbie zimno było, to jak leżała na ziemi przeziębila się i na zapalenie płuc umarła.

— Ale, niech Pan już idzie — dodała dziewczynka — oto tam wyszedł już ze szynku ojciec, porządnie się zatacza i krwawy nasz los się zbliża.“ *)

XV.

Owoc zakazany.

Przed paru miesiącami temu dzienniki doniosły, że włamywacze nawiedzili zamieniony na muzeum zamek Chantilly, jeden z najpiękniejszych zabytków architektury we Francji. Do muzeum tego włamali się nieznani sprawcy, którym mimo elektrycznych aparatów alarmowych i innych środków ostrożności, udało się zrabować witryny z drogimi kamieniami i unieść ozdobę tych zbiorów muzealnych, przepyszny różowy djament, stanowiący niegdyś klejnot koronny rodziny Kondeuszów. W ręce włamywaczy wpadły jeszcze inne zabytki historyczne, jak wysadzana brylantami szabla Kara Mustafy i wielka ilość złotych, starych monet. Wartość różowego djamentu jako wielka rzadkość oceniona na 10 milionów franków w złocie.

Kradzież wspomnianego djamentu wywołała zrozumiałe wrażenie w kraju. Celem odszukania sprawców włamania zmobilizowano policję. a z Paryża wysłano całą brygadę policjantów i detektywów do Chantilly, ażeby tam wspólnie z miejscową żandarmerją prowadzili dochodzenia. Telegramy iskrowe podały we wszystkich kierunkach świata rysopisy trzech przypuszczalnych

*) Prof. Emil Wyrobek. Z otchłani chorób, nędzy i upadku.

złodziei, których właściciel oberży, znajdującej się niedaleko zamku, miał widzieć. Wszystkich jubilerów w Europie i Ameryce ostrzeżono przed zakupnem różowego djamentu. Nie przypuszczano zresztą, ażeby złodzieje ośmielili się oferować na sprzedaż klejnot tak słynny. Sądzone, że raczej przepiłują kamień na kawałki i potem zechcą spieniężać poszczególne kawałki.

Mijały całe tygodnie, a śledztwo nie dawało żadnego pozytywnego rezultatu. W ogrodzie zamkowym znaleziono piłę, potem drabinkę linową, i to było wszystko. Wylaniało się wtedy zapytanie, gdzie włamywacze ukryli swoje skomplikowane narzędzia, bez których obejść się przecież nie mogli. Urzędnicy policyjni, prowadzący dochodzenia, spodziewali się, że przez odnalezienie tych narzędzi i znajdujących się na nich odcisków palców, mogą otrzymać cenne wskazówki. Przypuszczano także, że sprawcy utopili swoje przyrządy w jednym z pięciu stawów, znajdujących się w ogrodzie zamkowym. Spuszczenie wody z tych stawów z powodu niepomyślnej pogody natrafiało na wielkie trudności. Kiedy wreszcie to dokonano, wysłano z Paryża do Chantilly 9-ciu kanalarzy, aby byli pomocnymi przy przekuwaniu namułu na dnie stawów, z których spuszczano wodę. Poszukiwania nie dały jednakowoż żadnych wyników. Na dnie stawów nic absolutnie nie znaleziono.

Oto nagle policja wpadła na zupełnie nowy ślad, który całemu śledztwu nadaje nowy kierunek. W Sevilli nadano pod adresem paryskiej dyrekcji policji anonimowy list z zawiadomieniem, że w Madrycie w kawiarni, w której mieści się pokątna giełda drogich kamieni, pewien Francuz ofiarował na sprzedaż pierścionki platynowe z małymi różowymi djamentami, oraz same małe djamenty, o tem właśnie różowem zabarwieniu. Jubiler madrycki natychmiast zawiadomił telefonicznie policję. Zanim jednak przybyli funkcjonariusze policji, nieznajomy Francuz znikł bez śladu. Z Paryża wysłano natychmiast detektywów do Madrytu. Zabiegi policji i tym razem okazały się bez pozytywnego rezultatu.

Po długich i żmudnych poszukiwaniach udało się w końcu policji paryskiej, w niezwyklej okolicznościach odnaleźć słynny różowy djament „Condé“. Sprawców kradzieży, dwóch Alzateczyków, kupca Kauffera i szofera Santera ujęto. Wbrew pierwotnym przypuszczeniom — włamanie do zamku nie dokonała międzynarodowa banda rabusiów, lecz dwaj przygodni złodzieje. Sprawa zatem włamania i wykrycia przestępców przedstawia się następująco: Wymie-

nieni sprawcy nie mając żadnego zajęcia, udali się ze Strasburga do Paryża dla wyszukania sobie pracy. Gdy pracy nie znaleźli, a pieniądze ich zasoby wkrótce się wyczerpały, powzięli plan wykonania kradzieży. Wysondowawszy wszystkie w rachubę wchodzące okoliczności, rabusie nabyli w Paryżu piłkę metalową i wieczorem o godzinie 9 udali się do Chantilly.

Na dworcu udało się im skraść kilka drabin, przy których pomocy Kauffer, dostawszy się na wysokość krat okiennych, przepiłował kraty i dostał się do salki wystawowej, gdzie wpadły mu w ręce liczne znajdujące się tam klejnoty wraz z cennym djamentem „Condé”. Po dokonaniu rabunku złoczyńcy ostatnim nocnym pociągiem powrócili do Paryża. Tam, za pośrednictwem znajomej paserki udało się im sprzedać skradzione przedmioty, za wyjątkiem „różowego djamentu”.

Kauffer skradziony klejnot nosił zawsze przy sobie, ukrywając go w jabłku, które w tym celu pomysłowo wydrążył. Któregoś dnia rabuś, na nieszczęście swoje, wychodząc z domu, pozostawił jabłko na nocnym stoliku. Posługaczka, uprząając pokój, zauważyła owoc i poczęła go zjadać. Niemale musiało być zdziwienie kobiety, kiedy w pewnej chwili nagryzła na twardy przedmiot... Kobięcina, poinformowana widocznie o poszukiwaniach władz, co tchu pobięła na policję i w kilkanaście minut później właściciel „zakazanego owocu” był już w rękach policji.

Fatalny ten i nieoczekiwany obrót rzeczy, jak donoszą pisma francuskie, podział na Kuffera tak piorunująco, że nie tylko sam przyznał się do czynu, ale wydał też swego spółnika Santera, który także niebawem znalazł się pod kluczem. Ten ostatni był zaskoczony „nakryciem” nie mniej jak jego towarzysz i tak przerażony, że przy arestowaniu zemdłał. Za skradzione klejnoty rabusie otrzymali tylko dwadzieścia tysięcy franków, które przesłali do znajomej Kauffera, niejkiej p. Curty w Strassburgu. I ta już przesiaduje w zacisznej celi więziennej. Większa część biżuterji, pochodzącej z kradzieży w zamku Chantilly, udało się policji odnaleźć. *)

*) Ilustr. Kurjer Codzienny i Kurjer Poznański, r. 1926.

XVI.

W pogoni za podniętą i wrażeniami.

Godzina 5 rano.

Sale Doliny Szwajcarskiej pełne. Ostatni numer programu budzi wreszcie wśród widzów myśl, że tańce, które rozpoczną się bezpośrednio po programie będą trwały do późnego rana. Zaledwie tancerka, produkująca się na estradzie, ukryła się za kulisami, orkiestra uderzyła w takt charlestona. Publiczność, zebrana przy stolikach zerwała się z miejsc i jak na komendę popłynęła na środek sali.

Wirującym parom nie do szczęścia nie brakowało.

Wśród tańczących poczęły zwracać na siebie uwagę trzy pary, których ekstrawaganckie skoki przy charlestonie były tak drapieżne, że publiczność w obawie przed roztratowaniem, poczęła je mijać.

Nagle muzyka umilkła. Część publiczności zatrzymawszy się na miejscu, domagała się „bisu“, wspomniane jednak trzy pary, nie zwracając uwagi na przerwę w grze, tańczyły dalej zapamiętale. Pozostała publiczność przypuszczając, że są to ludzie pijani, otoczyła ich kołem, przypatrując się ich popisom.

Poważniejsi jednak wśród widzów, poczęli podejrzewać, że tańczący, to ludzie chorzy. I tak było istotnie. Trzy kobiety po kilku niesamowitych susach nagle omdlały w rękach partnerów, a w następnej chwili zupełnie bez zmysłów padły na ziemię.

Wypadek zelektryzował natychmiast publiczność dancingową. Rzucono się na ratunek, gdy jednak kobiety znaku życia nie dawały, zaalarmowano policję i lekarzy pogotowia.

Trzy kobiety przywieziono natychmiast do garderoby, dokąd też udał się lekarz. Policja podejrzewając, iż choroba dam została wywołaną jakimś narkotykiem, wypatrywała wśród otoczenia dancerów, którzy jednak jakby bojąc się odpowiedzialności, zniknęli w tłumie.

Podczas gdy lekarze badali zemdlone niewiasty, wywiadowcy policji pobiegli do garderoby, gdzie też, jak się słusznie domyślali, młodzieńcy ubrawszy się w palta, zmierzali już ku wyjściu.

W tej właśnie chwili sanitariusze wprowadzili korytarzem zemdlone kobiety, które wsadzono do karetki pogotowia i odwieziono do szpitala. Podejrzanych młodzieńców wsadzono do taksówki i pod opieką policji powieziono w ślad za karetką w kierunku szpitala.

W drodze jeden z wywiadowców zauważył, iż eskortowany przez nich młodzieniec wyrzucił przez uchylone drzwi taksówki pudełko z cukierkami na jezdnię.

Wywiadowcy auto natychmiast zatrzymali i zabrawszy rozsypane cukierki, z powrotem do pudełka, zawrócili z drogi i zawieźli trójkę 20 letnich młodzieńców do Urzędu śledczego.

Przewiezione kobiety, mimo aplikowania im szeregu orzeźwiających środków, przytomności nie odzyskiwały. Wreszcie po silnym zastrzyku morfiny, udało się jedną z nich, niejaką Stefanę Borkowską ocucić. Na pół przytomna szeptała ona: to oni winni... częstowali... te cukierki... łapać ich.

Lekarze na skutek oświadczenia domyślili się łatwo, że kobiety padły ofiarą bandy trucicieli. Spostrzeżeniem podzielono się natychmiast telefonicznie z Urzędem śledczym i otrzymawszy wiadomość, że przy aresztowanych znaleziono trzy pudełka cukierków o podejrzanym zapachu, kazano bezwzględnie cukierki te przesać do szpitala celem przeprowadzenia analizy chemicznej.

Szczegółowa analiza przysłanych cukierków ustaliła, że były one zatrute. We wnętrzu znajdowała się masa czekoladowa, silnie przesycona dawką kofeiny, oraz pewną domieszką opium.

Sprowadzeni do urzędu młodzieńcy, początkowo odmawiali wszelkich wyjaśnień, twierdząc, że kobiety są im nieznane i że cukierki znalezione przy nich nabyli po drodze na zabawę od przekupnia, stojącego przed Doliną Szwajcarską.

Policja nie chcąc marnować czasu na bezowocne dociekanie przez ustne badanie sprowadzonych, odprowadziła ich do celi z zamiarem przytrzymania, aż do nadejścia odpowiedzi z laboratorium szpitalnego.

Godzina 7-ma rano. W Dolinie Szwajcarskiej jeszcze cztery panny zachorowały w czasie tańca, po histerycznym, szalonym rzucaniu się w charlestonie.

Godzina 7,30 rano. Telegram ze szpitala: „Cukierki przesłane do analizy wykazały truciznę, działającą silnie na podniecie nerwów, oraz część trucizny usypiającej. Młodzieńców uważamy za nałogowych uwodzicieli i w tym kierunku prosimy przedsięwziąć badania.”

W speluncie młodych usypiaczy przeprowadzono rewizję. W szufladach młodzieńców znaleziono kilka pudełek cukierków, tubki, zawierające proszek kokainy, dalej pudełeczka, zawierające kofeinę, oraz szpryce, napełnione cieczą mieszaniny morfiny i opium. Na

biurkach rozłożone były dziesiątki fotografii kobiet z półświatka, oraz przyrządy do dziurkowania cukierków w celu napełnienia ich spreparowanymi narkotykami.

Trzy lampy z czerwonym abażurem, oraz dziesiątki odbitek, porozwieszanych po ścianach, a przedstawiających epizody erotycznego życia starożytnych Greków, dalej całe baterje butelek wódek i likierów — to wszystko przemawiało dosadnie za tem, że aresztowani prowadzili niekoniecznie klasztorny żywot.

Wszystkie dowody po skrupulatnem rozsortowaniu zabrano, oraz lokal opieczętowano.

Wtem do Urzędu śledczego nadchodzi ze szpitala jeszcze jeden telegram: „W tej chwili przywieziono tu jeszcze cztery kobiety z podobnemi objawami słabości, jak i u trzech, sprowadzonych o godzinie 5-tej rano. Przypuszczalnie są to ofiary tych samych trucicieli.“

Narkotyki, fotografie, oraz przyrządy do preparowania zatrutych cukierków, okazane aresztowanym młodzieńcom, wywołały u nich tak szalone przerażenie, że w następnej chwili przyznali się do winy.

Stwierdzili oni, że ulegając niezrozumiałemu dla nich samych stałemu podnieceniu erotycznemu, pragnęli coraz to innych wrażeń i szukali coraz większych podniet.

Nie zdawali sobie jednak sprawy, że popełniają zbrodnię.

Aresztowanych bez dalszego badania odesłano do szpitalu, celem zbadania ich stanu umysłowego. *)

XVII.

Interesujący typ z galerji kryminalnej przestępców.

„Zrozumiałą sensację w Stanach Zjednoczonych wywołał fakt, że 12-letniego syna chicagowskiego milionera, Jakóba Franksa, znaleziono w pobliżu rodzicielskiego mieszkania zamordowanego,

*) ABC., nr. 22/27.

a zwłoki jego były nagie i uszkodzone. Krótko potem wyszło na jaw, że sprawcami mordu byli dwaj młodzi żydzi, również synowie milionerów chicagowskich: Nathan Leopold i Ryszard Loeb. Dwaj ci nieletni mordercy przedstawiają w galerji kryminalnych przestępców swoisty, interesujący typ, zwłaszcza 19-letni Leopold. Obadwaj przedwcześnie rozwinięci i bardzo zdolni, oddawali się studjom uniwersyteckim gorliwie i zdali pierwszy egzamin baka-laureat. Leopold trochę mizantrop, najchętniej włóczył się po lasach, gdzie podpatrywał życie ptaków i chwycił je, by je z djaboliczną rozkoszą zabijać i wcielać wypchane do swej kolekcji ornitologicznych okazów. Po uwięzieniu jego przypomniano sobie, że niedawno wyświetlano w Stanach Zjednoczonych film, na którym figurował Leopold, karmiący z ręki dzikie ptactwo, odnoszące się doń z jakąś lubieżną czułością. Bogactwo, wpływy środowiska magnatów bez etyki, wyhodowały w nim bezgraniczny, chorobliwy egoizm, fatalnie oddziałujący na innych studentów. Młodszy Loeb ulegał całkiem silniejszej indywidualności Leopolda, który poczytywał przyjaciela tylko za przedmiot dla badań naukowych. Zapytany przez sędziego śledczego o przyczyny zamordowania Franksa, Leopold z nieporównanym cynizmem odparł, że chciał poprostu widzieć, jakie uczucia przeżywa mordowany. W pierwszej chwili wszakże Leopold i Loeb usiłowali wyklamać się i zrzucić z siebie podejrzenie, co o mało im się udało.

Zdradził ich dopiero własny szofer. Wykazało się, że myśl popełnienia morderstwa pieścili oni od dawna. Chodziło jedynie o wybranie ofiary. Uległy Leopoldowi Loeb zgodził się, by zamordować jego kuzyna, Franksa, którego w biały dzień zaproszono do samochodu. Skoro tylko wszedł, młodzi degeneraci semiccy wymierzili mu kilka ciosów w głowę, a nadto ścisnęli mu gardło chustką, tak, iż ducha wyzionął. Stało się to popołudniu w śródmieściu. Następnie wywieziono trupa, płaszczem okrytego, za miasto, rozebrano, poddano jakiejś operacji i zniekształciwszy mu twarz chemikaljami, włożono w rurę wodociągową. Ubranie jego spalono, obuwie w drodze powrotnej wyrzucono, poczem mordercy w towarzystwie dwóch dziewczyn, przeahulali noc w kabarecie. Przedtem zainscenizowali wyrafinowaną komedję z rodzicami nieszczęsnego chłopca. Zatelefonowali do niespokojnych o syna pp. Franksów, podając im nazwisko Johnson, i dali im znać, że chłopca wykradziono, ale znajduje się on w bezpiecznem miejscu i jeżeli, nie nie

mówiąc policji, złożą nazajutrz 10 tysięcy dolarów jako wykup, syn wróci do domu. Tymczasem nie żył on już od kilku godzin. Mr. Franks był gotów uczynić wszystko, aby tylko odzyskać syna, jednakże uwiadomił policję, prosząc, by na razie nie przedsiębrała żadnych kroków. Odebrał on list pisany na maszynie, w którym wzywano go, by włożywszy 10 tysięcy dolarów do opieczętowanego pudełka od cygar, trzymał je w pogotowiu. Zastosowawszy się do tego, kupiec czekał dalszych rozkazów. Nareszcie ozwał się przez telefon Mr. Johnson, oznajmując, że wysyła żółty samochód po niego, w którym ma on sam zawieźć pieniądze do pewnego sklepu aptecznego. Zanim wszakże automobil nadjechał, szwagier Franksa doniósł mu telefonicznie o znalezieniu zwłok jego syna. Nieszczęśliwy ojciec pośpieszył do trupiarni, żółty samochód poszedł w zapomnienie. Mordercy bardzo sprytnie uknuli plan, by uniknąć niebezpieczeństwa przy odbieraniu wykupu, ale sztuka im się nie udała.

Przy zwłokach chłopca znaleziono okulary w rogowej oprawie, które pewien optyk był przygotował specjalnie dla Leopolda. I to doprowadziło do niespodziewanego aresztowania głównego mordercy. Obecnie Leopold i Loeb przyznają się do wszystkiego, lecz jeden na drugiego zwala winę.“ *)

XVIII.

Szyfowy pościg.

„W styczniu roku 1921 już poraz drugi w ostatnich czasach ukazały się w kursie na rynkach niemieckich fałszowane tysiącmarkówki polskie. Falsyfikaty były drukowane na prawdziwym papierze i odznaczały się trudnem do odróżnienia wykonaniem. Gorzej już wypadły banknoty, drukowane na prawdziwym papierze różowawym z fałszywymi wodnemi znakami.

Według wiadomości poufnych, otrzymanych przez tutejszy wydział śledczy, fabryka mieściła się w Niemczech. Wydział śledczy

*) Rzeczpospolita nr. 174/24.

delegował więc swoich funkcjonariuszów, pp. B. i S., znanych już z dokonania podobnych odkryć w Wiesbaden.

Ślady na ten raz prowadziły do Hannoweru, praca jednak była bardzo utrudniona; fałszerze bowiem wobec poprzednich odkryć naszych agentów mieli się na baczności.

Po upływie pierwszych trzech tygodni pobytu w Niemczech, udało się naszym policjantom wejść w kontakt z głównym wodzem bandy, niejakim Józefem Salem, właścicielem domu w Hannowerze, zarazem i mieszkańcem Sosnowca. Konfident naszych wywiadowców doprowadził do tego, iż Sal zaofiarował mu kupno fałszyków.

W połowie marca Sal z pomocą policji niemieckiej już się znalazł w areszcie, we własnym pokoju hotelowym, w Hannowerze. Podczas rewizji znaleziono na stole dwa fałszywe bilety polskie tysiącmarkowe.

Sal nie przyznawał się do własności i był tyle czelnym, iż dowodził, że policja polska tropi go jako przestępcę politycznego, oraz, że wmawianiem fałszerstwa pragnie go sprowadzić do kraju. Twierdzeniom tym zadała kłam rewizja odbyta w jego mieszkaniu. U jego żony Róży znaleziono mianowicie sześć fałszyków. Policja hannowerska zaaresztowała oboje małżonków drogą tymczasową i zażądała od pp. B. i S. przedstawienia dowodów winy w czasie najkrótszym, w przeciwnym bowiem razie będzie zmuszoną ich uwolnić.

P. B. w mieszkaniu Salów udało się odnaleźć dwa listy pisane w żargonie żydowskim. Pisane były przez odbiorców fałszyków, zamieszkałych w Wrocławiu. Listy wysoce obciążały obie strony. Z tego powodu pp. B. i S. podążyli do Wrocławia. Tu po dłuższych poszukiwaniach odszukali i zaaresztowali Lejbę Selingera z Sosnowca i Ludwika Stefanusa z Łodzi.

Tu również dowiedziano się, iż wspólnicy papier potrzebny do drukowania fałszyków zakupują w Sakrau pod Wrocławiem, oraz że Stefanus i niejaki Steinberg chcieli przekupić urzędnika fabryki, ażeby im odstąpił partję prawdziwego papieru.

Odkrycia powyższe, przedstawione przez naszych agentów sędziemu śledczemu we Wrocławiu, spowodowały zaaresztowanie Stefanusa i Steinberga już drogą sądową.

Dalej dowiedział się p. B., że główną rolę w przewożeniu fałszyków odgrywała kochanka Tadka Selingera. Pojechano do Kato-

wie i tam z pomocą władz koalicyjnych zaaresztowano poszlakowaną. Wzięto ją fortelem, gdyż sądziła, iż jedzie do Wrocławia jako świadek w sprawie obojętnej.

Na dworcu w Katowicach jacyś podejrzani osobnicy mieli pp. B. i S. na obserwacji. Z obawy podstępny, agenci już w wagonie zmienili paltoty i kapelusze, co okazało się w następstwach bardzo szczęśliwym, gdyż po przybyciu do Wrocławia, policja tamtejsza okazała im świeżo otrzymany telegram tej treści:

„Pociągami o godzinie 9-tej wieczorem wyjechali z Katowic dwaj Polacy, podających się za agentów policji. Uprawdzałi obywatelkę niemiecką, Janinę Żmudzińską. Proszę o pomoc i opiekę władze niemieckie dla uprowadzonej. Gospodyni mieszkania.“ Przytem był podany szczegółowy rysopis agentów ze wskazaniem ich odzieży. Gdyby nie przebrania, obadwaj byliby zaaresztowani, co mogło utrudnić i opóźnić akcję. Policja niemiecka posłała na dworzec swoich wywiadowców, którzy podróżnych w odzieży wskazanej nie znaleźli.

Tak więc wszyscy uczestnicy fałszerstwa znaleźli się za kratami więzienia. Z kolei p. B. dowiedział się, iż fałszerze, w zamiarze dalszego prowadzenia fabrykacji, wyprawili bagaż z kamieniami litograficznymi gdzieś do jednego z miast niemieckich. Rozpoczęły się gonitwy bagażu pomiędzy Hannoverem, Hamburgiem, Katowicami i Berlinem. Bagaż wszędzie był, lecz wciąż pchano go w dalszą wędrówkę.

Po przybyciu do Berlina p. B. otrzymuje poufną wiadomość, jakoby klisze i inne przybory do wyrobu fałszyfikatów przez szwagra aresztowanego, niejakiego Mozesza Pocha, zostały złożone na przechowanie na jednym z dworców tamtejszych. Kwit na bagaż jest ukryty w filongu drzwi mieszkania. P. B. natychmiast przybywa do Pochów. Zastaje szparę w filongu, kwitu jednak już niema. Następuje uporczywe, ogromnie trudne poszukiwania bagażu. Z obawy, iż bagaż znowu wyjedzie, p. B. od rana do nocy przesiaduje w składach bagażowych i przetrząsa walizy i kosze. Przetrząsa je literalnie, gdyż z braku kluczy, każdą poszczególną sztukę bagażu bierze w rękę i sprawdza, czy takowy nie posiada we wnętrzu ciężkich kamieni. Na dworcu lehrteńskim natrafia na podobną walizę. Dobiera klucz, otwiera i nareszcie znajduje, czego szukał. Poch nie przyznaje się do własności. Lecz zdradzają go wydobyte z walizy sztylpy wełniane. P. B. zapewnia go, że zostały znalezione

w mieszkaniu jego siostry. Poch więc w dobrej wierze uznaje je za własne, co dla śledztwa ma duże znaczenie. Dalsze wypieranie się Pocha już nie skutkuje.

Jak szeroko była rozgałęziona szajka i jak trudna była praca, świadczy fakt, że p. B. w czasie pościgów, t. j. od dnia 16-go lutego r. b. trzykrotnie przyjeżdżał do Warszawy. Tu odbywał konferencje z zast. nacz. wydziału śledczego i według jego wskazówek prowadził omawiane dochodzenie.

Banda fałszerzy utrzymywała swego z kolei agenta, który się informował o działaniach agentów warszawskich. P. B. odnalazł go i trzymał w szachu zapomocą wciągnięcia go do pijatyki.

Nazywa się ten agent fałszerzy Maksem Michną. On również fałszywie denuncjował agentów polskich, podając ich jako działaczy wywrotowych. Policja niemiecka знаła jednakże pp. B. i S. z ich poprzedniej pracy w aferze wiesbadeńskiej i delatorstwu Michny nie dawała wiary.“ *)

XIX.

Najniebezpieczniejszy złodziej XX. stulecia.

Ameryka jest krajem, dostarczającym nam wszelkiego rodzaju sensacji. Niedawno właśnie prasa amerykańska dała z dziedziny kryminalnej niezwykle interesujący materiał. Zaczęło się to tak: 24. października 1921 r. jakaś czteroosobowa banda zatrzymała nagle przy pomocy rewolwerów na Broadway wóz pocztowy, i w ciągu kilku minut zupełnie go obrabowała. Na czele tej bezprzykładnie zuchwałej bandy stał Gerald Chapman, syn protestanckiego pastora, który w swoim czasie skończył z odznaczeniem studja uniwersyteckie i promowany był w jednej z wyższych uczelni amerykańskich.

Najrzęczniejszym jego pomocnikiem był niejaki Anderson. Przy napadzie, który poruszył całą Amerykę, przez wszystkie

*) Gazeta Adm. i Policji państw, nr. 16/21.

gazety przedstawiony był jako najbezpieczniejsza kradzież XX. stulecia, bandytom udało się zrabować częściowo gotówkę, częściowo zaś w precjozach, papierach wartościowych i czekach 1 454 000 dolarów. Mimo najgorliwszych poszukiwań, policji nie udało się wówczas wytropić Chapmana, przedstawionego jako nadzwyczaj pięknego mężczyznę o delikatnych rysach twarzy, ciemnej cerze, czarnych oczach i włosach. Zarówno on, jak i jego towarzysze, przepadli jak kamień w wodzie.

Chapman bynajmniej nie opuścił Nowego Jorku, gdzie napad był dokonany. Przebywał tam w dalszym ciągu, ale nie pod swym prawdziwym nazwiskiem, lecz jako angielski lord Gramery. W najwykwintniejszym hotelu wynajął on dla siebie i swego personelu cały szereg pokoi, w których otaczał się bajecznym blaskiem. Rachunki jego w niektórych dniach wynosiły po 100 000 dolarów, a w czasie swego pierwszego w Nowym Jorku pobytu miał on wydać w okresie sześciu miesięcy niemniej jak pół miliona dolarów.

I nie dość na tem, że żył on wspaniale, ale jeszcze dzięki swym wykwintnym formom obejścia znalazł wkrótce dostęp do najlepszych sfer towarzyskich. Jako piękny mężczyzna, zawracał w głowach kobietom tak, iż najpiękniejsza kobieta w Nowym Jorku Betty, żona jednego z najbogatszych kupców z Rhode Island, oddała mu się bez zastrzeżeń.

Dla cudnej swojej Betty rozszerzył on w luksusowym hotelu swoje apartamenta, oddał jej do rozporządzenia cały szereg salonów, nabył dla niej najpiękniejszy samochód, szofera jej ubrał w piękną i oryginalną, zwracającą uwagę liberję, a samą Betty, otulał w najkosztowniejsze futra i jedwabie, obdarzał ją najdroższymi klejnotami i wraz z nią uczęszczał do najwykwintniejszych miejsc rozrywek publicznych.

Naturalnie, na tak wystawne życie nie długo mogły wystarczyć posiadane przez niego środki, to też nagle Chapman wyjechał z Nowego Jorku, a piękna Betty, bogatsza o jedno przykre doświadczenie, powróciła do domu męża.

Wkrótce jednak powiódł się Chapmanowi nowy bogaty polów. W napadzie rabunkowym na American Express Company w Niagara Falls, zdobył on niemniej jak 70 000 dolarów, a tegoż wieczoru napadł jeszcze sklep jubilerski, właściciela jego zabił i zrabował pierścionki oraz drogocenne kamienie, wartości przeszło 10 000 dolarów.

I znów nie pozostawił po sobie żadnego śladu, jakkolwiek cały aparat policyjny Stanów Zjednoczonych zajmował się tropieniem tego niebezpiecznego bandyty. Upłynął tydzień, policja nie mogła się poszczycić żadnym sukcesem, a oto we Fulton w stanie nowojorskim wykonano znów z nadzwyczajną brawurą napad bandycki. I w tym wypadku obrabowano zupełnie sklep jubilerski, właściciela sklepu z zimną krwią zabito, a wkrótce potem włamano się nawet do głównej kasy urzędu pocztowego i opróżniono ją do ostatniego centa.

Chapman zdobył w ten sposób nowe obfite środki pieniężne i znów zniknął z powierzchni jako bandyta, aby w kilka dni później pojawić się w Nowym Jorku po raz drugi, jako wykwinny lord Gramery. Tym razem wynajął sobie apartamenta w pierwszorzędnym pensjonacie prywatnym, zawiadomił o swym powrocie piękną Betty, która znów zdradziła męża, zajętego tylko kupieckimi interesami i wróciła do bajecznie bogatego, rzekomego Anglika.

Tym razem jednak idylla miłosna Betty nie trwała długo. Pewnego razu Chapman przez nieostrożność, likwidując rachunek pensjonatu, wystawił czek na zrabowanym blankiecie. Czek został rozpoznany i policja nowojorska poleciła jednemu ze swych detektywów zdobyć zaufanie Chapmana. — Agentowi istotnie udało się wyłudzić od rzekomego lorda Gramery, który jednak nie wydał nigdy swego prawdziwego nazwiska, pewne tajemnice, i na podstawie jego zeznań gentleman-bandyta został aresztowany, stawiony przed sądem i skazany na 25 lat więzienia. Nie udało się jednak i w sądzie zidentyfikować jego osoby.

Dniami i nocami władze więzienne kazały strzedz dwu policjantom niebezpiecznego bandyty, w obawie, aby nie uciekł. Tymczasem Chapman nie objawiał bynajmniej takich zamiarów, lecz przeciwnie, spędził cały rok w więzieniu, niewykraczając ani razu przeciw surowemu regulaminowi więziennemu. Przez ten czas przeczytał on mnóstwo książek, aby uzupełnić swoją wiedzę, zajmował się także pisaniami i próbował nawet utrwalać swoje chwilowe uczucia w formie poetyckiej.

To wzorowe zachowywanie się żałującego swych czynów, jak się zdawało, grzesznika, który doskonale odgrywał rolę człowieka, rezygnującego ze świata, skłoniły wreszcie dyrekcję więzienia do cofnięcia zaostrej straży przy osobie Chapmana. Wynik był taki, że w tydzień później Chapman uciekł z więzienia i zabił przy tej okazji dwóch ścigających go policjantów.

I po raz trzeci lord Gramery, który stał się już teraz Chapmanem, zawitał do Nowego Jorku i po raz trzeci także pojawiła się przy jego boku Betty, piękniejsza i bardziej promieniąca niż kiedykolwiek, zdawała się — najszcześniejsza na świecie kobieta. Hołdy, jakie składał Chapman bogatej żonie kupca, nie pozostały bez wpływu na otoczenie bandyty. U lorda Gramery bywali wszak także różni politycy i artyści, poeci i muzycy, a z pośród nich nie jeden kochał się skrycie w Betty. Jeśli który z nich zbyt się jednak do niej zbliżał, to Chapman miał wypróbowany sposób uwolnienia się od rywala. Wręczał danemu osobnikowi czek na wysoką sumę pieniędzy i wysyłał go do Europy, celem uzupełnienia studiów. Naturalnie, tym razem Chapman nie długo przebywał na wolności. Policji udało się wreszcie jego osobę zidentyfikować, i w kilka dni później dostawiono go jako ciężko chorego do szpitala więziennego. Zajmujący się nim lekarze uważali jego stan za beznadziejny. I oto stał się drugi cud. Chapman ze swoją wysoką gorączką i z pięcioma kulami w ciele zakuł pielęgnującą go siostrę miłosierdzia strzykawką, używaną do iniekcji i korzystając z tego, że pielęgniarzka jego zemdlała, uciekł, zacierając za sobą wszelkie ślady.

Znów przedsię wziął Chapman cały szereg zuchwałych włamań, aż wreszcie w r. 1925 zdradziła go władzom listem anonimowym jego kochanka, z którą jednak Chapman nie chciał się ożenić. Policja wyruszyła do zagrody włościańskiej małżonków Hance w Muncie, w stanie Indiana, i przychwyciła bandytę. Anderson, jego najwierniejszy przyjaciel, przypuszczając, że małżonkowie Hance zdradzili jego pana za pieniądze, zastrzelił ich oboje za karę, a wkrótce potem i on został schwytany przez policję.

Chapmana osadzono w więzieniu, a piękna Betty, która teraz dopiero dowiedziała się o jego prawdziwym sposobie życia, odwróciła się stanowczo od niego, przeprosiła męża, który po raz trzeci jej przebaczył i przyjął ją do swego domu, gdzie obecnie znów, jako uczciwa małżonka poważnego kupca, prezyduje na przyjęciach wieczornych i nietylko, że przez inne kobiety nie jest pogardzana, ale przeciwnie, ze względu właśnie na miłość łączącą ją z Chapmanem, jest raczej podziwiana i otaczana zazdrością. Tym razem nie było już ratunku dla Chapmana. Za dwukrotnie popełniony mord został on skazany na śmierć, na krześle elektrycznym. Nie pomogła apelacja, ani też całogodzinna mowa obrończa bandyty, który usiłował wzbudzić w sędziach wstręt do wymierzania kary śmierci.

I tym razem jednak zdarzyło się coś osobliwego. Za każdym razem, gdy wyznaczono dzień stracenia Chapmana, dostawał on tak wysokiej gorączki, że lekarze nie mogli pozwolić na jego stracenie, albowiem w Ameryce tracić można tylko zupełnie zdrowych przestępców.

Kiedy trzykrotnie zdarzył się ten osobliwy fenomen, zmuszający do odroczenia chwili stracenia, trybunał polecił wreszcie bezwzględnie stracić Chapmana. Tymczasem w Nowym Jorku i w innych wielkich miastach Stanów Zjednoczonych zawarto mnóstwo zakładów, że Chapmanowi i tym razem uda się ująć z rąk sprawiedliwości. Nastąpiło jednak rozczarowanie, albowiem w więzieniu Wethersfield odbyła się wreszcie egzekucja Chapmana.

W czasie pobytu w więzieniu zużył on prawie wszystkie pozostałe pieniądze na swoją obronę, opłacając sowicie najwybitniejszych adwokatów amerykańskich. Po zgonie pozostawił tylko 250 dolarów z których 200 przeznaczył dla swego dozorcę więziennego, a 50 dla kamieniarza, który na grobie jego sługi Andersona miał za to postawić kamień i wyryć napis.

Zwłoki jego sąd oddał na rzecz studjów anatomicznych, ale jakaś, nie chcąc wymienić swego nazwiska bogata dama, wykupiła te zwłoki za 2 500 dolarów i poleciła adwokatowi Chapmana sprawić wspaniały pogrzeb temu najelegantszemu bandycie. Czy damą tą nie była przypadkiem piękna Betty, nie zdołano wyjaśnić.“ *)

XX.

Zemsta operatora filmowego.

Młody angielski operator filmowy, nazwiskiem John Baker, oskarżony jest o niezwykle zaiste przestępstwo. Obwiniony jest bowiem o to, że bez zgody tancerki Lu Harrison wykonał zdjęcia, przedstawiające ową damę w kostjumach wielce niekomplementnych. John Baker wysłał te fotografie różnym znajomym tancerki, m. i. jej narzeczonemu, przez co naraził na szwank jej cześć kobiecą. Narzeczony tancerki, zamożny jubiler, po otrzymaniu zdradzieckich

*) Ilustr. Kurjer Codzienny, nr. 35/27.

fotografij, zaręczyny zerwał. Historia tego procesu, który się odbył przed trybunałem sędziowskim Leeds, nie pozbawiona momentów komicznych, jest następująca:

Lu Harrison jest córką pewnego nauczyciela szkoły średniej z Londynu. Mieszczańska atmosfera domu rodzicielskiego nie zadowalała młodej dziewczyny, która w wieku lat 17 uciekła od rodziców i po wielu przygodach dostała się do Variete. Skoro wyrobiła sobie już pewne stanowisko jako tancerka, została zaangażowaną jako primaballerina do pewnego zespołu aktorskiego, objeżdżającego większe miasta prowincjonalne. W Leeds, gdzie trupa ta bawiła od początku sezonu zimowego, piękna tancerka nie tylko zdobyła sobie przychyłność publiczności, ale również rozplomieniła cały szereg męskich serc. Szczególnie zainteresował się piękną Lu bogaty jubiler Francis Mirecourt. Rywalem jubilera był przede wszystkim operator filmowy John Baker, który się z tancerką zaznajomił wtedy, gdy grywała jeszcze w filmie i oto teraz spotkał się z nią niespodzianie po trzech latach niewidzenia.

Radość z tego niespodziewanego spotkania była jednakowoż tylko jednostronna. To znaczy, ucieszył się jedynie John Baker, bo Lu już ani słyszeć nie chciała o dawnym wielbicielu. Oświadczyła mu krótko i stanowczo, że zaręczyła się z jubilerem i że nie życzy sobie wizyt Bakera. Zazdrośny operator filmowy zaprzysiągł zemstę. Wynajął on mieszkanie w tym samym domu, gdzie tancerka zajmowała niewielki, ale komfortowo urządzonej apartament. Udało mu się też przy pomocy przekupionej służącej wykonać swój plan zemsty.

Odrzucony amant w czasie przesłuchiwania zeznał, że przy pomocy służącej umieścił w sypialni tancerki mały aparat filmowy który był tak zręcznie ustawiony na szafie, że artystka nie powzięła żadnego podejrzenia. John Baker, który jest bardzo zręcznym mechanikiem, połączył ten aparat z elektrycznym przewodem, w ten sposób, że załączenie światła wprowadzało odrazu aparat w ruch. Skoro tancerka po przedstawieniu powracała do domu i udawała się do łóżka, filmowano ją bez jej wiedzy.

John Baker otrzymane w ten sposób zdjęcia przesłał wraz z anonimowymi listami do różnych znajomych tancerki, w pierwszym rzędzie do jej narzeczonego, który wskutek tego odesłał Lu pierścioneł zaręczynowy.

John Baker stawiony przed sądem, nie zapierał się swej winy. Zeznał, że postanowił się zemścić, ponieważ tancerka go oszukiwała i wodziła za nos przez całe lata. Miłosne jego listy, pisane do niej, pokazywała jubilerowi i wyśmiewała się ze zdradzonego kochanka. Zdaje on sobie dobrze z tego sprawę, że jego sposób postępowania nie jest rycerskim, ani etycznym, ale to była jedyna jego droga do zemsty. Sędzia skazał nieuczciwego operatora filmowego na karę pieniężną w wysokości 120 funtów angielskich *).

XXI.

Sześć trupów w jednym mieszkaniu.

„Wstrząsającą tragedją, jaka rozegrała się w Warszawie, w miesiącu lutym 1927, było wymordowanie przez bezrobotnego Maślanego całej rodziny, składającej się z jego żony, teściowej, dwu sióstr i brata żony, a w końcu popełnienie samobójstwa.

„Bliższe szczegóły tej potwornej zbrodni są: Oto gdy zaalarmowane władze śledcze przybyły do mieszkania na Solcu i zastały w niem 6 trupów, nikt nie mógł się początkowo zorientować, kto mógł być mordercą rodziny, bowiem rodzina Witkowskich była zupełnie ubogą i w dodatku najspokojniejszą. Zastanawiało jedno, że zabici leżą jakoś systematycznie poukładani w łóżkach, na kłamce zaś od drzwi i na stopniach schodów żadnych śladów krwi nie było, a niedaleko zabitego Stefana Maślanego leżał wystrzelony hiszpański browning.

Dalsze dochodzenie ustaliło, że sąsiedzi około godz. 5-tej rano usłyszeli przeraźliwe krzyki, dochodzące z mieszkania Witkowskich. Usłyszano wyraźnie krzyk kobiety, a następnie zdanie: „Mamo, co się dzieje w tym domu?“

Ale kto popełnił tak ohydny mord? Oto pytanie, na które władze śledcze nie ważyły się dać odpowiedzi. Znaleziony na komodzie w sypialni list Maślanego objaśnił wszystko. Oto jego brzmienie: „Postępek mój proszę przyjąć do wiadomości, brakiem pracy i podłem obchodzeniem się rodziny żony ze mną i z żoną. Ożeniłem

*) Ilustr. Kurjer Codzienny, r. 1927.

się, rok minęło na Boże Narodzenie. Zaraz jednak po ślubie poznałem to przysze życie. W domu teściowej posadzali nas z żoną fałszywie o kradzież materiału jednej z sióstr, chociaż naprawdę mnie zginał złoty zegarek, obrączki i pantofle. Było to jednak wszystko ich dziełem, żeby nas zniszczyć i wypędzić precz, a dlatego, że żona moja, gdy była panną, nie postępowała tak, jak oni chcieli. Wydali więc zamąż i zaraz precz z domu. Postępowali tak, że wkrótce po ślubie zabrali wszystko, zostawili gołe łóżko, które jest własnością żony. Za ostatni grosz musiałem kupić kołdrę, bo nie było pod czem spać, nie było na czem jeść, ani w czem gotować. Do matki swej nie chciałem wrócić, bo mi matka odradzała, a ja chwaliłem się, że będę miał złote góry i także życie. Milczałem i cierpiałem do tej pory. Dłużej jednak nie mogłem. Z żoną kochaliśmy się nad życie, żal mi było się z nią rozstać. Stefan Maślany.

P. S. Z żoną proszę nas pochować we własnym grobie, tak ciężko mi się z nią rozstać. Stefan.“

A więc już nie było wątpliwości. Stefan Maślany wymordował całą rodzinę Witkowskich i wreszcie sam pozbawił się życia.

Śledztwo odtwarza przebieg nocnej tragedji w ten sposób:

Gdy wszyscy spali, Maślany, powziawszy straszne postanowienie skończenia głodowych męczarni swoich i swej rodziny, napisał list. Następnie kolejno strzelał do leżących w łóżku. Żonę swą zamordował na podłodze, później dopiero ułożył ją na posłaniu.

Stanisława Witkowska, ranna, wyskoczyła z łóżka, w którym spała wraz z siostrą Ireną i uciekła do kuchni, gdzie padła twarzą na podłogę, dobita strzałem w plecy.

Dokonawszy strasznej zbrodni, Stefan Maślany położył się obok żony i tulił ją, jak świadczą krwawe ślady, poczem wystrzałem w usta odebrał sobie życie.

Ohydna zbrodnia, dokonana na Solcu, nasuwa na myśl ponure refleksje; jest ona jakby jednym z ognii straszego łańcucha, podobnych faktów, których widownią jest dziś Polska i zagranica.

Przypomnieć należy tragedję rodziny Statkiewiczów w Warszawie; ów ojciec, mordujący czterech synów i ich matkę, a własną żonę, zapoczątkował jak gdyby epidemiczną serję okropnych szaleńczych zbrodni tego samego rodzaju. W Poznaniu kupiec Kłossowski pozbawił życia siebie i całą swoją rodzinę z premedytacją, przeprowadzając zatrucie gazem. Jako przyczynę rozpaczliwego aktu stwierdzono kłopoty finansowe.

Zaraz potem analogiczna tragedia we Francji — dzieło człowieka, który już o sprawie Statkiewiczów nie mógł nawet nie słyszeć. Stwierdzona przyczyna tym razem inna. Zawód miłosny. Zamożny gospodarz wiejski morduje już dwie rodziny: swoją i swojej sąsiadki, która odrzuciła jego konkury.

Wreszcie włoska tragedia w Como — dzieło adwokata Pawła Emiljana Carbonara z Bergamo. Zamożny, ceniony, świetnie zarabiający adwokat, pewnej nocy morduje swych ukochanych rodziców-staruszków, oraz ukochanego maleńkiego synka, poczem sam pozbawia się życia. Przed aktem samobójczym z całym pietyzmem na łóżeczku, na którym dokonał ohydnej zbrodni dzieciobójstwa, składa zwłoki synka i wciska w dłonie podobiznę swej nieboszczki żony, jego matki. Carbonaro cierpiał na straszliwą neurastenję, dziedzictwo wstrząsów okresu wielkiej wojny. Dławiła go, zrodzona z tej choroby, natrętna myśl o tem, co stanie się z jego najbliższymi, gdy jego w końcu zabraknie. Ta myśl właśnie w końcu zrodziła straszliwą zbrodnię.

Zrzućmy, chorobą trawione nerwy, zjawisko tak przerażające powszechne w naszych czasach! Czy nie to samo także zachodziło i we wszystkich innych wypadkach i czy wszystko inne nie było może tylko dodatkowemi i nieistotnemi powodami, których uczepliły się chore, makabryczne myśli?

Co mówią psychiatrzy o podłożu mordu? Jeden z najwybitniejszych lekarzy w Polsce — dr. Flatau, oświadcza, co następuje:

— Nie znając mordercy, jego psychiki lub przeżycia, nie można nic pewnego o tem wszystkiem powiedzieć. List zdaje się być pisanym w chwili zupełnej świadomości.

Aczkolwiek nie zdaje się być wykluczony chwilowy obłąd (choć w tem wypadku nic za obłądem nie przemawia), przeważnie jednak czyny takie bywają dokonane pod wpływem głębokiej depresji moralnej, spowodowanej ciężkimi przeżyciami.

Wypadki takie należą do rzadkości, nie są jednak unikatami.

Do kategorii czynów, dokonanych pod wpływem depresji, należy zaliczyć powyższy wypadek. Nic więcej o tem powiedzieć nie można.

Pułkownik dr. Nelken wydaje w tej sprawie następującą opinię:

By dokładnie osądzić, jakie było podłoże naukowo-psychiczne tej zbrodni, należałoby znać nie tylko przeszłość sprawcy, ale i jego psychikę.

Uważać można, że zachodzi tu wypadek psychopatji. O wypadkach podobnych wiem tylko z literatury.

Co się tyczy przebiegu zajścia, to już prawdopodobnie po pierwszym zabójstwie nastąpiło u sprawcy psychologiczne znieczulenie i dalszych zabójstw dokonał mechanicznie.

Przeszłość Stefana Maślanego jest nieznana, a wiadomości o nim są tak szczupłe, że żadnej o nim samym opinii wydać nie można.

Co innego było natomiast u Statkiewicza, tamten był mniej więcej osobą znaną, zresztą był jego pamiętnik, z którego można było sądzić o stanie, w jakim się znajdował w czasie dokonania zbrodni *).

XXII.

Podwójne życie zbrodniarki.

„We Wiedniu, w miesiącu styczniu 1927, dokonano potwornego i bezprzykładnego morderstwa, którego ofiarą padła 70 kilkuletnia staruszka, sklepikarka Marja Lustig, mająca swoją „grajzlernię“ na jednej z bocznych ulic Wiednia.

Sędziwą kobietę znaleziono rano w zamkniętym od ulicy żaluzją sklepiku nieżywą, leżącą na wznak, z okrutnie poszarpaną twarzą. Trup wciśnięty był w kąt. Bliższe badania terenu wykazały ślady krwi i kłęby włosów na podłodze i ubraniu zabitej. Pod oknem leżały czerepy z rozbitego kufła, również krwią splamione. Twarz była kompletnie zdeformowana, kość nosowa zmiażdżona, a ucho wisiało tylko na jednym strzępku. Ślady te świadczyły, że morderstwa dokonano grubym kuflem szklanym, którym zbrodniarz tak długo tłukł po głowie swą ofiarę, aż kufel strzaskał. Dalej widocznem było, że zbrodnię popełnił ktoś obznajomiony z trybem życia staruszki i z rozkładem sklepiku. Napadu dokonano bowiem późnym wieczorem, gdy kobieta „robiła kasę“ i nie było najmniejszych śladów nieporządku i nieładu, gdyż bandyta bez poszukiwania

*) Ilustr. Kurjer Codzienny, nr. 41/27.

wprost trafił do szuflady z pieniędzmi. Musiał on zatem wiedzieć, gdzie staruszka je chowała.

Na podstawie zeznań obsługaczki, aresztowano młodą, 22 letnią kobietę, która często zachodziła do sklepiku, prosząc natrętnie o posadę.

Przyaresztowana służąca 28 letnia Karolina Kudisz, wypiera się z całym uporem zarzucanej jej zbrodni. Atoli dwa momenty obciążają ją niezwykle: ślady krwi na rękawie sukni i podrapana straszliwie ręka morderczyni.

Dalsze badania wykazały ślady krwi i kępki włosów starej sklepikarki — odkryte na śniegowcach morderczyni. Na jej korzyść nie przemawia również znalezione w jej kieszeni 100 szylingów, podczas gdy jeszcze w przededniu zbrodni zastawiła swą suknię i koszulę za 5 szylingów.

Podejrzana o zbrodnię tłumaczy się w sposób nieudolny i mało wiarygodny: pieniądze dostała od jakiegoś pana w kawiarni, a podrapanie ręki spowodowało małe dziecko z sąsiedztwa, z którym się bawiła.

Właściciel mieszkania, gdzie Karolina odnajmuje pokój, emerytowany kolejarz, niejaki Nagel, twierdzi stanowczo, że okropnej zbrodni nie mogła się była dopuścić ta cicha i łagodna dziewczyna. Kudiszówna, według relacyj innych świadków, bardzo lubiała bawić się po restauracjach i kawiarniach i nie pogardzała znajomościami mężczyzn.

W każdym razie stwierdzono, że Kudiszówna w noc sylwestrową zabawiała się w kawiarni, tańczyła i piła wiele. W owym czasie miała już na ręku owo zdradzieckie podrapanie. Policji udało się wysledzić towarzystwo, w którym była domniemana zbrodniarka w noc sylwestrową. Towarzystwo składało się z kilku młodych ludzi, którzy z nią tańczyli, m. in. był także pewien medyk. Zauważył on po przez cienkie, wełniane rękawiczki ślady krwi na ręku danserki. Na jego propozycję, ażeby rękę opatrzyć lub udać się na stację ratunkową, odpowiedziała Kudiszówna odmownie. Opowiadała, że spadła ze schodów, niosąc szklany kufel i czerepami jego tak strasznie się pokaleczyła. Przez cały czas zabawy była dziewczyna smutna i przygnębiona, i już o godzinie 3-ciej nad ranem opuściła lokal.

Następnego dnia, rychło świt, zjawiała się u stróżki tej kamienicy, w której zamordowana przez nią kobieta mieszkała i dopytywała się ostrożnie o szczegóły morderstwa rabunkowego przez nią popeł-

nionego. Rozmowę zakończyła oryginalną uwagą: „Dzisiaj zbrodniarzom tylko powodzi się dobrze!”

Jeszcze jeden ciekawy, a znamienny szczegół śledztwa. W szufladzie sklepiku znaleziono książeczkę, w której zabita staruszka pisywała rozmaite zdania i sentencje. M. in. było także zdanie: „Żadna zbrodnia nie pozostaje bez pomsty.” Sentencja była przez zabita podkreślona. Można by mniemać, że biedna starowina miała jakieś przeczucie tragicznego swego końca.

Jak już zaznaczyliśmy powyżej, sąsiedzi nie wierzą poprostu, aby Karolina, dziewczyna cicha i potulna mogła dopuścić się tak potwornej zbrodni. Powoli jednak zagadka ta wysławia się. Karolina Kudyszówna prowadziła podwójne życie, objaw spotykany czasem u zwyrodniałych osobników. W dzień jako „Lina” trudniła się ciężką pracą obsługaczki w prywatnych domach i mniejszych restauracjach, wieczorami przebierała się w luksusową toaletę, brała auto i zajeżdżała do pierwszorzędných lokali, gdzie na dancingach trwoniła ciężko zarobione pieniądze. Tu występowała pod imieniem „Lili”, kokietowała zamożnych panów i paniczów, spożywała kosztowne kolacje, spijała szampana, którego niejednokrotnie sama fundowała, nawiązywała stosunki towarzyskie nawet z rodzinami zamożnymi i nadawała sobie wszelkie pozory panny bogatej i lekko-myślnie rozbawionej. Wielce pomocną była jej wrodzona inteligencja, dowcip i oryginalna uroda.

Nad ranem opuszczała niepostrzeżenie salę balową i chyłkiem zmykała do ciężkich swoich obowiązków mycia, szorowania, sprzą-tania i czyszczenia obuwia chlebobawców. W dziewczynie tej w dziwny sposób pomieszane są zalety, jak i zbrodnicze popędy. Lina lubiała bardzo dzieci i nieraz robiła im rozmaite drobne podarunki i kupowała laskocice. Była zawsze prawdomówna i szczerą, wieczorem jednak jako „Lili” była rozpasaną, albo sentymentalną histeryczką, robiącą wrażenie znudzonej życiem i przeżyta pod względem uczucia. W każdym razie niezwykle ten typ jest jednym z najciekawszych w ostatnich kronikach kryminologii, ona zaś sama zasługuje na bardzo skrupulatne zbadanie przez psychjatrów, gdyż nie jest wykluczona możliwość, że ma się tu do czynienia z bardzo rzadkim objawem rozwojenia jaźni, a człowiek dotknięty tem ka-lectwem psychicznem, nie może być nawet odpowiedzialnym za swe czyny.*)

*) Ilustr. Kurjer Codzienny, nr. 8/27.

Najnowsze pomoce techniczno-śledcze na wystawie policyjnej w Berlinie.

Wartość t. zw. dowodów technicznych w dziedzinie badania czynu występnego i poszukiwania jego sprawcy jest dzisiaj powszechnie znaną i uznaną. Czy bowiem dowodami temi będą ślady palców, czy nóg, czy też znalezione na miejscu przestępstwa włosy albo części odzienia, resztki zwęglonych dokumentów lub wystrzelone gilzy, znaki narzędzi na przedmiotach lub zębów i paznokci na ciele ofiary, wszystko to ma lub mieć może dla zrekonstruowania przebiegu czynu występnego i ustalenia osoby winowajcy, a wrzście odszukania go, nieocenione wprost znaczenie i daje do ręki władzom śledczym w ich walce z przestępstwem broń silną a pewną. Ta bowiem kategoria dowodów, sprawdzona umiejętnie i użyta właściwie, jest wielokrotnie pewniejszą i jaśniejszą niż inne rodzaje poszlak znane nauce i praktyce śledztwa policyjnego i sądowego; o ile wymowniejsi i prawdomówniejsi są ci „niemi świadkowie *)” scen zbrodniczych, o ileż pewniejsi od gadatliwych, sprzecznych wewnątrznie i zewnątrznie świadków, których codziennie z takim nakładem trudu i energii poddajemy badaniom, by z nich iskierkę prawdy wykrzesać, a których zeznania nawet w najlepszej wierze złożone zawierają zaledwie nędzne szczątki rzeczywistości, skazanej dzięki ułomności pamięci, uwagi, zmysłów i wrażeń. Na to jednak, aby codzienna praktyka kryminalna mogła posilkować się w swej praktyce temi najpewniejszymi dowodami, niezbędny jest cały szereg warunków dwojakiej natury; z jednej więc strony uświadomienie ogółu ludności o ważności śladów pozostawionych na miejscu przestępstwa i konieczności ich zachowania, z drugiej zaś strony — wyposażenie władz, prowadzących walkę z przestępstwem we wszystkie te środki, jakie nauka współczesna obmyśliła dla należytego ich zużytkowania i wyciągnięcia z nich odpowiednich wniosków, zgubnych dla przestępcy.

Środkami temi będą przede wszystkim wszelkie pomoce techniczne, aparaty, narzędzia i przyrządy, dające możność wykrycia

*) Dr. Edmond Locard. L'enquete ereminelle et les methodes scientifiques. Str. 19 i nast.

śladów, uchwycenia ich i utrwalenia, a następnie zbadania i zanalizowania. Jest to dziedzina aż nadto dobrze znana fachowcom, aby zachodziła potrzeba rozwodzenia się nad nią w piśmie specjalnem i wyliczania tego, co każdemu z jego Czytelników jest aż nadto dobrze znane i wiadome. To też nie mam zamiaru rozpisywać się o pomocach techniczno-śledczych w ogólności, co przekraczałoby nietylko ramy niniejszego artykułu, lecz również i zakres moich skromnych wiadomości w tej dziedzinie. Chcę natomiast jedynie podzielić się z Czytelnikami krótkimi informacjami o takich pomocach, które oglądałem na wielkiej wystawie policyjnej w Berlinie, a które, jako u nas bądź nieznane, bądź niestosowane, wydały się nowemi nietylko mnie, lecz i bardziej ode mnie kompetentnemu p. sędziemu śledczemu Józefowi Skorzyńskiemu, z którym wspólnie z polecenia p. ministra sprawiedliwości zwiedziliśmy pomienioną wystawę.

Wystawa berlińska rozmieszczona była w trzech olbrzymich halach, w których nagromadzona została bardzo znaczna ilość eksponatów zarówno z najrozmaitszych działów organizacji i działalności policji, jak też i z innych dziedzin bądź bezpośrednio, bądź też nawet zupełnie luźno z nią związanych, a co za tem idzie, oczywiście bardzo różnorodnej i nierównomiernej wartości.

Mając na względzie taką ilość i różnaitość eksponatów, po obejrzeniu całej wystawy, skierowaliśmy naszą całkowitą uwagę na te działy, które, mając specjalne znaczenie dla pracy sądowno-śledczej, rzuciły światło na nowe metody i techniczne środki badania przestępstwa, mniemając, że materiał wystawowy, nie związany bezpośrednio z dochodzeniem przestępstw, będzie mógł być wykorzystany przez licznych przedstawicieli naszej policji państwowej, którzy zwiedzili wystawę.

Przechodząc przeto do porządku dziennego nad działami organizacyjnymi, historycznymi, specjalnymi jako to: policji leśnej, rzecznej itp., technicznymi jako to: samochodowym, pożarnym, sygnalizacyjnym, psim itp., z których pozwałam sobie podkreślić jedynie bardzo ważne ze względów na ogólne bezpieczeństwo urządzenie centrali sygnalizacyjnych Siemens'a i Halskego, jak również zaopatrzenie policji w samochody, a specjalnie samochody typu przeznaczanego dla wyjazdów na miejsce popełnionych zabójstw, zaopatrzone we wszystkie środki niezbędne do działania na miejscu i zabezpieczenia śladów, które to innowacje uważam za bardzo

pożądane, — pozwolę sobie wyliczyć poniżej te eksponaty, jakie specjalnie wyróżniały się swą celowością:

1. *A n a l i t y c z n a l a m p a k w a r c o w a*, t. j. przyrząd, który zapomocą palnika kwarcowego, zastosowania specjalnego filtru świetlnego i promieni ultra fioletowych, daje możność rozróżniania przedmiotów pozornie jednakich, tak np. w tem oświetleniu banknot prawdziwy i fałszywy, będące przy świetle dziennem tego samego koloru, włożone do kamery tej lampy, wykazują zabarwienie zupełnie odmienne; to samo dotyczy przedmiotów jednakowo zabarwionych, a sporządzonych z różnych materiałów, np. wełny i bawełny; pozatem lampa ta daje możność rozróżniania śladów napozór jednakowych, a w rzeczywistości odmiennych, np. śladów spermy i środka przeciwko ciąży na tem samem płótnie, daje ona również możność dojrzenia śladów gołem okiem, a nawet przez lupę niewidocznych, np. śladów podrabiania, przerabiania i wywabiania pisma, śladów rozmaitych substancyj itp. Z przytoczonych przykładów jest zupełnie jasnem, jak wielkie usługi w dziedzinie badań kryminalnych oddać może ten przyrząd, dając w jednych wypadkach, przez ujawnienie różnicy, punkt wyjścia do dalszych dociekań, w innych zaś poprostu stwierdzając fakty niezmiernie istotne.

2. Bardzo wielką wagę dla prac śledczych należy przypisać również rozmaitym typom *m i k r o s k o p ó w*, specjalnie urządzonych i przystosowanych do tego celu; a więc przedewszystkiem mikroskop ze specjalnem urządzeniem świetlnem, dający w niektórych dziedzinach wyniki zbliżone do opisanej powyżej lampy kwarcowej, lecz w odpowiednich wyolbrzymionych rozmiarach, dalej mikroskop z przystosowanym doń aparatem fotograficznym, dający możność fotografowania obrazów mikroskopowych, i wreszcie mikroskop porównawczy z dwoma obiektywami i jednym wzornikiem, dający możność jednoczesnego oglądania dwóch powiększonych obrazów rozmaitych przedmiotów.

3. *A p a r a t d o o g l ą d a n i a w n ę t r z a l u f b r o n i p a l n e j*, który przy połączeniu go z aparatem fotograficznym daje możność uzyskania zdjęć tych wnętrz, co oczywiście ma bardzo dużą wartość dla ekspertyz broni.

4. Duże usługi oddać może również stosunkowo niewielki *a p a r a t r o e n t g e n o w s k i* do szybkiego i podręcznego prze-

światłania najrozmaitszych przedmiotów, dający odrazu widmo znajdujących się w nich ciał obcych.

5. Specjalnego podkreślenia wymaga różnorodność i zastosowanie do rozmaitych celów szeregu aparatów fotograficznych, a więc poza znanymi aparatami do Bertillonage'u, aparaty do zdjęć, które winny być robione niepostrzeżenie, jak również bardzo szybko jedno po drugim; aparaty metryczne, dające możność bez żadnych pomiarów ustalenia i wyliczania odległości i rozmiarów na zdjęciu, co umożliwia bardzo szybką pracę na miejscu przestępstwa i utrwalenie takich istotnych danych, które narazie mogły być przeoczone lub uważane za zbędne i poza tem gwarantuje matematyczną ścisłość otrzymanych cyfr; wreszcie specjalny aparat do fotograficznego i analitycznego badania dokumentów.

W związku z tem podkreślić należy uwidoczniony na wystawie olbrzymi rozwój i znaczenie fotograficznej metody prac śledczych, polegającej na stosowaniu bądź mikrofotografji, bądź też bardzo znacznie powiększonych zdjęć, przyczem zdjęcia te służą do uwidocznienia takich szczegółów w badanym przedmiocie, które nie mogą być dostrzeżone, a które wydobyte przez fotografję, zupełnie wyraźnie wskazują na pewne dokonane czynności; na wystawie jest to zilustrowane szeregiem zupełnie jaskrawych, a jednocześnie niezmiernie interesujących przykładów.

Z drugiej stony tą metodą osiągnięte być mogą uwidocznienia i zestawienia zarówno różnic, jak i analogji pomiędzy przedmiotami, które mają być porównywane; to ostatnie zastosowanie zostało w sposób bardzo ciekawy zademonstrowane na wystawie zapomocą szeregu zdjęć przy ekspertyzie broni, przy której usystematyzowane zdjęcia kapiszonów, gilz i kul wykazują niezbiecie bądź identyczność broni, z której miał paść zbrodniczy strzał, bądź też jej odmienność. Unaocznienie różnic i analogji występuje dzięki utrwaleniu znacznie powiększonego obrazu, jak również dzięki porównawczej metodzie zdjęć oddzielnych odcinków badanego przedmiotu z wielką jasnością i zyskuje częstokroć nieodpartą moc przekonującą.

Tutaj należy również wspomnieć o bardzo pożytecznem stosowaniu do zdjęć kryminologicznych, a specjalnie ciała ludzkiego, fotografji kolorowej, w której uszkodzenia, rany itp. występują w żywym i plastycznym zabarwieniu.

Nie od rzeczy będzie wrzeszcie wzmianka o zastosowaniu kinematografu do rozpowszechniania listów gończych.

Na tem wyliczeniu należałoby właściwie zakończyć niniejszy artykuł natury informacyjnej; pisząc jednak o tych rzeczach, nie mogę oprzeć się chęci zakończenia go kilkoma uwagami pro domo nostra w tej dziedzinie, które to uwagi cisną się mimowoli pod pióro, gdy porównywa się stan środków techniczno-naukowych, jakimi rozporządzają władze śledcze gdzie indziej, a jakimi nasze muszą się zadawać.

Gdy bowiem zagranicą śledztwo pracuje przy pomocy szeregu udoskonalonych środków technicznych, gdy do pomocy staje mu zorganizowana, specjalnie wyszkolona i metodycznie opracowana naukowa ekspertyza we wszelkich działach jego pracy, to u nas obywać się ono musi prawie zupełnie bez środków technicznych, a w dziedzinie ekspertyzy — prócz sądowo-lekarskiej, stojącej na wysokim poziomie — posługuje się pracą ludzi, ożywionych jak najlepszymi chęciami i posiadających dużą wiedzę, których wysiłki jednak, jako nie skoordynowane pomiędzy sobą i nie ujęte metodycznie w pewnych określonych kierunkach, nie mogą dać tych skoncentrowanych i jednolitych wyników, jakie daje praca usystematyzowana i ujednostajniona.

Jeżeli przeto powyżej przytoczyłem nowsze środki techniczne, jeżeli oczywiście uważam, że należy dać polskim instytucjom, prowadzącym walkę z przestępczością, możność posługiwania się wszelkimi pomocami technicznymi, to pocytuję za swój obowiązek podkreślić, że te niezmiernie pożyteczne i niezbędne przyrządy nie stanowią jeszcze same przez się tego, co jest treścią naukowego ujęcia t. zw. dowodów technicznych i naukowej ekspertyzy sądowej. W te martwe przedmioty tchnąć trzeba jeszcze ducha metody i systemu; trzeba rozstrzelone wysiłki nauki polskiej połączyć, usystematyzować i skoncentrować, a da ona wyniki nie gorsze, niż praca nauki zagranicznej.

Praktycy sądowi oddawna rozumieją i podkreślają konieczność stworzenia dla polskiej ekspertyzy sądowej takich warunków, w których mogłaby ona pogłębić wszystkie swe działy, połączyć je ze sobą wspólnymi metodami i świadomością wspólnego celu, i wreszcie stworzyć takie, których bądź nie posiada wcale, bądź też w stanie embrjonalnym. Ale cel ten osiągnięty być może jedynie przez stworzenie odpowiedniej instytucji specjalnej, na wzór tych,

jakie istnieją w całym szeregu miast zagranicznych, np. w Lozannie, Leodjum, Rzymie, Madrycie, Paryżu, Berlinie, Buenos Aires, Lugdunie, Dreźnie, Stuttgardzie, a nawet w Rabacie w Marokku; są to bądź laboratorja uniwersyteckie, bądź oddziały szkół policyjnych lub działów rozpoznawczych, albo wreszcie oddzielne instytuty *).

Jakkolwiek, jestem tego zdania, że warunkom naszym odpowiadałby najbardziej typ oddzielnego instytutu afiliowanego przy stołecznym uniwersytecie w połączeniu z instytutem medycyny sądowej, jako najlepiej postawionym naukowo działem ekspertyzy sądowej, a to ze względu na to, że uniwersytet z natury rzeczy dostarczy najlepszych sił naukowych, jak również dlatego, że o ile mi wiadomo, istnieje możność uzyskania tam odpowiedniego pomieszczenia, to jednak nie próbuję nawet na tem miejscu rozwiązywać tego problemu w tem przeświadczeniu, że tę kwestję, jak również kwestję organizacji, zaopatrzenia, budżetu i wreszcie sprecyzowania poszczególnych zadań i działów pracy, opracować winna powołana przez właściwe władze komisja, złożona z przedstawicieli odpowiednich działów nauki, praktyków sądowych i policyjnych, obeznanych z metodami i potrzebami ekspertyzy sądowej. Ze swej strony uważam jedynie za swój obowiązek podkreślić bezwzględną konieczność i palącą potrzebę stworzenia polskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych.**)

XXIV.

Szkoła złodziejska.

Szkoła złodziejska?! To wprost nie do uwierzenia, to coś co zakrawa na żart. Szkoła złodziejska, więc uczelnia zła, rozsądnik zgnilizny moralnej i upadku. A jednak...

W każdym większym mieście, w każdym większym środowisku istnieją gniazda złodziejskie, których zadaniem jest werbunek nowych „amatorów“ cudziej własności,“ instruowanie ich, szkolenie, słowem, całkowite wyuczenie kunsztu złodziejskiego. Kandydat

*) Locard l. c. str. 20.

**) Gazeta administracji i Policji państwowej Nr. 51/26. Lucjan Berman.

na złodzieja musi przejść różne stopnie, przebyć rozmaite etapy związane z fachem, zanim staje się „rzemieślnikiem,” „robotnikiem.” Z początku jest t. zw. w żargonie złodziejskim nowobrańcem (rekrutem, początkującym). Spełnia różne podrzędne misje, wystawiany jest przez bractwo złodziejską niekiedy na bardzo poważne i ryzykowne próby. Musi następnie wkupić się do „chewry” (szajki), stać się członkiem „ferajny” (spółki, partji), musi nieraz nawet „frycowe” zapłacić, dać się chociażby „sfrajerować” (oszukać) przez kamratów, pracować na „majstra” (hershta bandy), który go obiera z zarobku, połknąć niejedną pigułkę, — zanim stanie ostatecznie na nogi i będzie takim, co to „równo, sztywno, z bukiem w ręku,” jak to mówią w gwarze złodziejskiej o wykwalifikowanym i wyzwolonym złodzieju.

Podstawowa maksyma złodziejska głosi, że istnieć może tylko dobry złodziej; że marny, niezaradny, t. zw. drewniak, pętaś, łachudra, albo łachmedojda nie powinien istnieć i nie może należeć do partji.

— Złodziejstwa trzeba się uczyć! — mówią złodzieje. — To fach, jak każdy inny. A każdy człowiek, co fachu swego dobrze nie zna, — to jest taki, jak to powiadają, elektrokamasznik, albo niedokształcony geometra....

Wszystkiego trzeba się uczyć, na to niema rady. Odrazu nikt nie będzie „woin” („kozak-zuch”). — Tu — troszkę, tam — troszkę Raz, drugi, aż przyjdzie trzeci raz i — pac! Robota się udała. frajerowi się „sfolgowało” (okradziono go w tramwaju), mieszkanie „opylono” (okradziono). A że czasem może się nie udać — to także „trudeno”. Trzeba „makówkę” (głowę) mieć na karku. A na robotę, jak się idzie, to trza „na zycher” (na pewniaka). Na wszystko, jak to mówią złodzieje, — trzeba mieć abceng (baczność, uwaga). Kto chce „chatrać” (kraść) — musi fach swój znać. Złodziejstwa trzeba się uczyć!

* * *

W Warszawie, w dzielnicy Krochmalnej, Łuckiej, Wroniej, Smoczej, Ostrowskiej, Wołyńskiej, Brzozowej, w stronach Starego Miasta, na „Szmulkach,” na „Parysiaku,” na placu Nędzy, na Stawkach — roi się odsetek rodzin, wyrosłych i wychowanych w sferze przestępczej, z przestępstwa czerpiących środki utrzy-

mania. Znane tam również były, szczególnie w czasach przedwojennych, „szkoły złodziejskie.“ „Meliniarz“ (właściciel kryjówki złodziejskiej, będącej swego rodzaju uczelnią), był panem życia i śmierci swoich uczniów-wychowanców. Ściągał on do siebie (dzieje się tak zresztą i obecnie) młodych chłopców, bezdomnych, rekrutujących się z dzieci ulicy, sieroty, dzieci biednych rodziców, pozostawione samopas, dawał im jeść, w zamian zaś „za wikt i opierunek“ musieli wychowawcy ćwiczyć się „w rzemiośle“ pod „światłym“ kierunkiem majstrów, spełniać wszystkie rozkazy pod groźbą skatowania, oddawać cały łup złodziejski i dokonywać coraz to śmielszych i zyskowniejszych wypraw. Kiedy jednak uczniowi takiemu wydarzyło się „nieszczęście“, „zasyпка“ (złapanie na gorącym uczynku), mógł on już liczyć na pewną pomoc ze strony swego „wychowawcy.“

Uczeń złodziejski długo musi być na praktyce, zanim pozna wszystkie „chody“, „sztosy“ (sposoby) i „mety“ (podejrzane miejsca). W okresie „nowobraństwa“ wykazują się uczniowie, w jakim kierunku mają powołanie i już następnie idą po tej linii, a raz obraną specjalność uprawiają z zapałem i poświęceniem. Okazuje się wówczas, kto wyrośnie na „marwichera“ (złodzieja kieszonkowego), zwanego również „doliniarzem“, kto na „kławisznika“ (złodzieja mieszkaniowego), na „włamywacza“ zwanego w żargonie z niemieckiego „ajnbruchowiczem“, „szopenfeldziarza“ (złodzieja sklepowego), „pasówkarza“ (złodziej, okradający na t. zw. pasówkę, zapomocą dopasowanych i uprzednio przygotowanych kluczy), „kasoera“ (łamiącego kasy ogniotrwale), „szpryngowca“ (złodzieja, okradającego rzeczy z przedpokoju) itd.

Niczem w zwykłej szkole, terminator złodziejski przechodzi różne klasy: początkowo wysyłany więc jest na zwiady, nosi „graty“ (narzędzia), stoi „na kapie“ (na obserwacji), wchodzi przez lufcik, przez komin lub wycięty w drzwiach filong do upatrzonego wnętrza. Często naraża się więcej, niż wszyscy — tylko dlatego, że nie jest samodzielny, a całkowicie zależny od swego „pana.“ Taki stan wszakże trwa niedługo. „Cwany“ i „oblatany“ chłopak szybko przyswaja sobie sztukę złodziejską, wyrывa się z pod opiekuńczych skrzydeł majstra i puszcza na robotę samodzielną, dobierając sobie jednego lub więcej kompanów. Jeżeli przytem dostanie się w międzyczasie do „mamra“ (więzienia), gdzie uzupełnia dotychczasową wiedzę przez współzycie z doświadczonymi i rutynowanymi prze-

stępcami i nabiera właściwego waloru — staje się już „patentowym” złodziejem i tak zwanym fachmanem.

W ciągłej walce z przestępcami zapoznaje się policjant stale z ciekawymi zwyczajami świata złodziejskiego. Od czasu do czasu można nawet natrafić na przejawy i wydarzenia bardziej ciekawe i charakterystyczne. Jednym z takich wydarzeń, w ujawnieniu, którego brałem czynny udział, była właśnie... typowa szkoła złodziejska. A stało się to w następujących okolicznościach:

Prowadziłem patrol wywiadowczy, gdy rozległ się rozpaczliwy, głośny krzyk jakiejś wieśniaczki:

— Złodziej, złodziej! Okradł me psubrat z woreczka. Taki mały. Patrz! O! O! Leci, leci! Złodziej, złodziej!

Rzeczywiście, jakiś mały chłopiec, bosi, obdarty, zwinnie wkręcił się w tłum i już prawie znikł mi z oczu. Dostrzegło go jednak bystre oko „hinta” (wywiadowcy) Pilara, który patrolował razem ze mną. Dał tedy Pilar porządnego susa, nie spuścił już uciekającego z oka, aż wreszcie, nie mogąc go przytrzymać, bo się chłopak wykręcał na wszystkie strony — zaczął go zręcznie rączką swojej łaski za jedną z nóg. Chłopiec, chcąc nie chcąc, uległ. Woreczek znalazł się tuż na ziemi.

Chłopak był puciołowaty, oczy mu latały na wszystkie strony. Takie prawdziwe złodziejskie oczy. Przy zatrzymaniu wyrывał się, udawał, że czuje ból w ręku, płakał nawet, ale tak, że łez wcale nie można było dostrzec. Płacz bez łez i jęk bez bólu. Prawdziwie złodziejski płacz, prawdziwie złodziejski jęk. Jakiś dziwny grymas malował się na tej twarzy, już w zaraniu życia zwyrodniałej.

— Ile masz lat? — to było pierwsze pytanie, jakie zadałem chłopcu w komisariacie.

— Dziewięć, tak myślę, że dziewięć. Ja się u jednej kobiety wychowałem na Wąskim Dunaju, u kościarki — to ona wie dokładnie. Mam dziewięć lat.

Trochę mnie to zbiło z tropu, jako że w myśl miejscowych przepisów prawnych wiek taki wyklucza odpowiedzialność. Badania jednak nie przerwałem.

— Ojca i matki nie mam. Nazywam się Bolek Wiatrowski. U kościarki na Wąskim Dunaju się chowałem. Nazywałem ją babcią, sam nie wiem dlaczego. Chłopiec od stróża, ten większy, dziobaty Olek, nauczył mnie trochę czytać i pisać, no — i papierosów palić też. Kraść to się uczyć i kradnę już trzeci rok. Pracuję na

Krochmalnej, zaraz trzeci z rogu dom, taki duży. Mój majster, to się Abram „Parch“ nazywa. Tam są żydki i katoliki. Tam je cała „szkoła“. Kto nie umie — to go nauczą kraść. Tam cała „chewra“ (szajka) je. Różne chłopcy tam są i na różnych złodziei się kształcą: są tam potokarze, doliniarze, woreczkarze, różne różności. Tam uczą i pokazują, tak jak w szkole. A co tam śpi tego bractwa — to trudno przeliczyć. „Parchowa“ to wszystkim gotuje, a Abram „Parch“ ze swoimi pomocnikami i uczniami wychodzi na roboty i każda „partja“ musi dać od siebie „dołę“.

— Dlaczegoż kradzieżami się zajmujesz? — spytałem. — Przecież mógłbyś być porządnym człowiekiem, żebyś tylko chciał. Do rzemiosła byś poszedł.

— A kto mnie weźmie? — odpowiedział malec. — Żaden porządny człowiek mnie nie weźmie. Tak już wszyscy mówią, że ja się na złodzieja urodziłem i złodziejem muszę być. Nikt mnie nie uczył niczego innego, jak tylko złodziejstwa.

Wzięliśmy z sobą Bolka na obławę, aby pokazał nam dom, gdzie się „szkoła złodziejska“ mieści.

Oto jesteśmy z latarkami w rękach w jednej z suterren, gdzie istnieje „studjum“ złodziejskie. Zjawienie się policji wywołało nie-mały popłoch wśród okolicznych mieszkańców, w przeważnej większości należących do sfer przestępczych. Kiedy się uchyliły drzwi, uderzył nas jakiś specyficzny, zawrotny odór. Jakaś stęchlizna, która powoduje natychmiastowy ból głowy. Zaszumiało w całym domu, obdrapanym, poniszczonym i nędznym, tak jak jego mieszkańcy.

Ulica Krochmalna znana jest ze złodziejstwa. Ma swoją historję. Tu często odbywa się sąd złodziejski, t. zw. dyntojre (z żydowskiego żargonu złodziejskiego), który godzi poważnionych i rozstrzyga „sprawiedliwie“, jak powinien być podzielony łup i komu jaka winna przypadać część. Tu odbywał się dawnymi czasy (w ostatnich latach mniej) handel dziewczętami, które szły na sprzedaż do rąk „alfonsów“ krajowych i zagranicznych. Tu niekiedy nóż poszedł w robotę i niejeden został „zaszlachtowany“. Tu wreszcie się wychowali i „edukację“ otrzymali najwięksi złodzieje. Tu i dziś jeszcze gnieźdzą się w zakamarkach wszelkiego rodzaju męty.

Jednym z takich zakamarków była właśnie spelunka Abrama „Parcha“. Duża izba piwniczna, o małym okienku, zasłoniętym ja-

kąs brudną szmatą, nieokreślonego koloru. Po obu ścianach rozstawione łóżka, a w każdym z nich po kilku nocujących.

Abram „Parch“ wstał ze snu twardego ledwie żywy, a zobaczywszy policję, krzyknął:

— „A milejer! a milejer!“ (nieszczęście).

Jakaś starowina kręciła się po izbie. Na żądanie policji zapaliła lampkę. Zapytana, jak się nazywa, oświadczyła ku zdziwieniu wszystkich:

— Nazywam się Szachrocka. Cipa Szachrocka. Ja mam 100 lat. Mąż mój był szwecem na Czystem. Tak, niech się pan nie dziwi. Mam całą setkę. Żeby tak w majątku sto tysięcy miała, że mam 100 lat. Tutaj jestem już 40 lat, napewno 40. Nie mam żadnej rodziny. Sama jestem, jak ten kolek. Mieszkam tu z nimi. Nie śpię, bo wcale spać nie umiem. Jacy oni są — to są, ale są porządne ludzie. Mają oni czasem lepsze charaktery od niejednego porządnego.

Po tem „filozoficzno-sentymentalnem“ przemówieniu stuletniej baby, wywodzącej prawdopodobnie ród swój również z mętów — przystąpiliśmy do oględzin całego lokalu i obecnych.

Prawdziwą sensacją było znalezienie manekina z zawieszonym na niem jakimś ubraniem, który służył do ćwiczeń dla przyszłych doliniarzy. A więc to ten manekin, o którym mały Wiatrowski mówił, że się na nim uczył kraść i „żyłetką“ rozcinać kieszenie.

Przyglądaliśmy się z zaciekawieniem manekinowi. Właściciel „gospody złodziejskiej“ „Abram Parch“ tłumaczył, że manekin pochodzi z tych czasów, kiedy zajmował się krawiectwem. Z zawodu jest krawcem — jak mówił — i „chwilowo“ niema roboty. Oczywiście, że do tego tłumaczenia nie przywiązywano żadnej wagi. Manekin nie służył dla celów krawieckich, raczej do „praktycznych“ zajęć złodziejskich. Na manekinie tym, w chwilach wolnych od zajęć na ulicy, uprawiali się złodziejaszki do roboty. Odrabiali poprostu „wprawki“, jak na fortepianie.

Pozornie manekin, przykryty jakimś „łachem“, nie budził specjalnego podejrzenia. Nie był to, coprawda, ów „szkolny“ manekin, zawieszony dzwonkami różnemi i rekwizytami, tak barwnie opisany w jednej z powieści Conan Doyle'a, w której „między innymi, mowa jest o nowojorskim uniwersytecie złodziejskim, mieszczącym się w podziemiach, na peryferjach miasta, a podzielonym na różne wydziały“: 1. bandycki, 2. włamywaczy, 3. usypiaczy, 4. mieszkaniowców, 5. sklepowych, 6. bankowych. 7. szantarzy-

stów itp. Manekin ze „szkoły złodziejskiej“ na ulicy Krochmalnej nie miał żadnych specjalnych dodatków. Wisiała na nim marynarka, podbita podszewką, zapięta na guziki, z kieszeniami bocznymi, przyczem w jednej z bocznych kieszeni była t. zw. „skóra“ (portfel po złodziejsku). Pod marynarką mieściła się kamizelka z zegarkiem na dewizce (zegarek i dewizka. przedmioty, oczywiście, bezwartościowe).

Szło o to, aby praktykanci doliniarscy potrafili poderżnąć żyłką wierzch, względnie spód kieszeni, czyniąc to tak lekko, aby portfel wysunął się z łatwością. Na manekinie uczyli się złodziejaszki również sztuki odpinania guzików. Jest to specjalna umiejętność. To swojego rodzaju gimnastyka palców, które przy kradzieżach kieszonkowych odgrywają dominującą rolę. Palce muszą być gibkie i delikatne, szczególnie wskazujący i średni, któremi przeważnie operuje się przy cudzych kieszeniach. Na manekinie uczyli się również złodzieje sztuki odpinania dewizki od zegarka, gdzie chodziło o umiejętne manipulowanie ogniwkami dewizki przy uszku zegarka i zręczne użycie do tego celu t. zw. cążek (obcążki).

Po takich wstępnych niejako elementarnych pokazach następowały poważniejsze demonstracje. Polegały one (tak się stale praktykuje w „profesji“ złodziejskiej) na stałych próbach w mieszkaniu, poprzedzających występy uliczne. A więc — dwóch, trzech towarzyszków udawało, na przykład, pasażerów, jeden z nich, posiadający portfel, udawał „fajera.“ Inny znów, na którego kolej wypadła, grał rolę złodzieja. Musiał on wyczuć, który z pseudo-pasażerów jest posiadaczem portfela i portfel ten wykraść. Robiono próbę zupełnie tak, jak aktorzy na scenie.

Po odbyciu praktyki — uczeń wysyłany bywał na miasto, początkowo wszakże pod osłoną starszego, który zwracał uwagę na policję, aby w niebezpiecznym momencie dać hasło do ucieczki „Antłojf!“ (po polsku: uciekaj!), „chodu“ itp.

Nagle, w czasie dokonywania rewizji, dał się słyszeć jakiś głośny brzęk, jakby kto rzucił kluczami. Pod łóżkiem znaleziono też pęk różnorodnych kluczy, wytrychów różnego typu, „bramowców“ (duże klucze do otwierania bram), klucz t. zw. „uniwersalny“, służący do wszystkich zamków i do którego dopasowywane są w tym celu różne „baki“ (zęby), w zależności od rodzaju zamka.

Ponadto w rogu pod oknem leżały: łom, świdry, korby itp. Słowem, cały arsenał złodziejskich przyrządów, służących do „roboty.“

Przystąpiliśmy do oględzin „personalnych“ mistrzów i uczniów, wśród których byli: „potokarz“ (dobry „zawodowiec“); stara „doliniarka“ (znana w halach i na bazarach jako udająca handlarkę); złodziej — praktykant (narazie — „drewniak“); złodziej bazarowy (na praktyce, na utrzymaniu majstra); specjalista od kradzieży węgla z wozów; pomocnik włamywaczy, t. zw. „pomagier“; młody, wypraktykowany „brylanciarz,“ t. zw. „farmazon“; włamywacz (od 14-go roku życia karany); „klawisznik,“ (niedawno wyszedł z więzienia po dwu latach „odsiadki“); czeladnik u włamywaczy (3-miesięczny wyrok z zawieszeniem).

Ustalono, drogą dochodzenia i wywiadów, że w mieszkaniu Abrama „Parcha“ (Bajbluma) odbywały się konferencje złodziejskie i narady. Tu przynoszono i stąd wynoszono „statki“ — (narzędzia). Tu przyjmowano kandydatów do rzemiosła „zaborczego,“ tu ich kształcono i wypuszczano w świat. Wszyscy nieletni zgodnie oświadczyli, że uczyli się u Abrama fachu, że tu jedli i pili, że tam była — jak mówili — taka „knajpa,“ otwarta w dzień i w nocy, gdzie zawsze można było i zjeść i wypić i wypaść się.

Całe przezacne towarzystwo zabraliśmy do biura policji śledczej. Wszyscy okazali się „z przeszłością“ kryminalną. Ich teraźniejszość — to przestępczość, a przyszłość — to... kraty więzienne i ciężki mur, odgradzający od wolności, za którą zawsze tęsknią i z której dobrodziejstw nie zawsze korzystają.

Poszedł za kraty więzienne właściciel „szkoły złodziejskiej“ Abram „Parch.“ Nieletni przekazani zostali do sądu dla nieletnich, starsi jako nieposzukiwani — zwolnieni, lecz oddani pod dozór policyjny. A do oddziału karnego dla nieletnich odtransportowano małego Bolka Wiatrowskiego, pochwyczonego na gorącym uczynku kradzieży kieszonkowej.

Byłem na rozprawie sądowej i — słyszałem, jak sędzia przemawiał do tego małego przestępcy, którego wprost nie było widać, bo przesłoniła go, o głowę odeń wyższa, ława oskarżonych.

— Posłuchaj ty, mój chłopcze, dobrej rady! — brzmiały ojcowskie słowa sędziego. — Stań się uczciwym człowiekiem, pobożnym i moralnym. Módl się do Boga i słuchaj starszych. Nie idziesz do więzienia dla kary, ale dla poprawy. Chcę, abyś — wrócił

stamtąd innym, lepszym i żebyś się wyleczył z tej strasznej choroby, której na imię „kradzież“. Pamiętaj, mój chłopcze, o 7-em przykazaniu boskiem: „Nie kradnij!“

Przemówienie sędziego wywarło silne wrażenie na obecnych. Wrażenie to udzieliło się samemu sędziemu, który kilka chwil po przemówieniu patrzył na malca, potrząsał głową i — wreszcie, westchnąwszy głęboko — wyszedł z aktami.

Dwaj policjanci wprowadzili Bolka Wiatrowskiego do więzienia karnego, skąd — według intencji sędziego — winien wrócić „inny, lepszy i wyleczony“...

Czy wróci takim?!...*)

XXV.

Tajemnicze zwłoki nad rzeką Doniec.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca lśniły na rzece Doniec, czyniąc z niej wstęgę złotego jedwabiu. Rzeka toczyła swoje fale spokojnie, szemrząc ciche melodje, znane tylko zakochanym. Z wioski Łąkowo, która odbijała się w czystych nurtach rzeki wyszedł na przechadzkę Zygmunt ze swoją narzeczoną Irmą. Zygmunt wyszukiwał zawsze wąskie ścieżyny, ściśnięte z obu stron zaroślami, których koła wielkich wozów nie żłobią. Ziemia porasta tam zwykle miękkim mchem, łagodnym jak puszysty dywan. Drogą taką człowiek posuwa się w tajemniczym milczeniu. Kiedy zaś idzie dwoje kochanków, kolce zielonych ścian zmuszają dziewczynę mocniej przytulić się do piersi ukochanego. Zapuscili się zatem Zygmunt z ukochaną Irmą w jedną z tych tajemnych drózek, ciągnących się wzdłuż rzeki, gdzie pocałunki podsłuchane być mogą jedynie przez mewy, dęby, buki... Zygmunt nucił piosenki i zachwycał się poprostu jak student w chwilach wolnych od zajęć.

Ścieżyna szła coraz dalej i dalej. Splątane wysokie zarośla zamykały cały widnokrąg. Ów rodzaj więzienia i nieświadomość drogi podwajały pogodę ducha i dobry humor Zygmunta.

*) Na posterunku. Nu. 41/26. Herman Czerwiński.

Zygmunt z Irma posuwali się zwolna, ponieważ przejście stało się coraz węższe. Zarosła, splątane na niespodzianych zakrętach, czyniły drogę miłym labiryntem.

Irma dnia tego była niesłychanie powabną. Poeta porównałby ją do olbrzymiego kwiatu, obdarzonego władzą spojrzeń i uśmiechów. Istota, tak prosta zwykle w obejściu, miała teraz ruchy omdlewające, w głosie wrodzoną kobiecie zalotność, którą Zygmunt po raz pierwszy dostrzegł. Zmieszany nieco jej zalotnością spoglądał na nią z zadziwiającym wyrazem twarzy. Przemiana prostej dziewczyny w przebiegłą filutkę wywołała na obliczu Zygmunta złośliwy uśmiech, co stało się przyczyną do żywszej rozmowy na temat „kobieta a mężczyzna“. Irma na poruszony temat odpowiadała dość ciekawie, kończąc swoje wywody słowami; wszystko obłuda! Ja tam jestem przynajmniej szczerą i mówię otwarcie, że mężczyźni nie umieją nawet kochać porządnie. Zygmunt na te słowa zabrał się do kazania ciągnąc, że kobiety rodzą się lekkomyślne i zalotne tak samo jak się rodzą brunetki czy blondynki. Mężczyzna, o pospolitej urodzie, zyska zawsze ich względy. Niech będzie tylko serdeczny, uczciwy i rozumny, a niedostrzegą nawet jego istnienia. Kobieta wszystko uważa za zabawkę, zarówno jedwabne sukienki, klejnoty, jak i farbowanego, elegancko uczesanego kochanka. Na gatunek mechanizmu nie zwraca uwagi — wszystko jedno, czy jest lepszego lub gorszego gatunku. Dusza kobietę nic nie obchodzi i dlatego to kobieta zna się dobrze na czarnych włosach, namiętnych ustach, lecz nigdy na zaletach serca i szlachetności duszy. Dlatego, gdy się na takim człowieku zawiedzie, wpada w rozpacz i głosi wszem wobec, że mężczyzna nie potrafi nawet dotknąć serca kobiecego, aby je zaraz nie zranić. A czemu tak się dzieje? — bo nie zwracają się w poszukiwaniu miłości tam, gdzie ją naprawdę znaleźć mogą.

Na tem Zygmunt przerwał swoje kazanie. Irma spojrzawszy na niego posępnym wzrokiem, postanowiła dyskusję Zygmuntowi przerwać, a usiłując wywołać uśmiech — rzekła: „ach! jaki z ciebie dzieciak, chodźmy!...“

Przytuleni do siebie, szli dalej, podziwiając na niebie przepiękny zapad słońca. Nagle pod wielkim krzakiem dzikiej róży, której ramiona wyciągały się tuż nad ich głowami, ku ich wielkiemu przerażeniu zauważyli leżące zwłoki, zakryte do połowy zielonemi gałęziami krzewów.

Zwłoki przedstawiały nieznanego im mężczyznę.

Słońce, które zaczęło się chować poza szczytami gór, przebijając obłoki, uwieńczyło ostatnim blaskiem tajemnicze zwłoki.

Ckliwo się robi patrzeć na tego rodzaju wypadek — „chodźmy,” rzekła Irma. —

I znowu przytuleni do siebie, odeszli w milczeniu, udając się z powrotem do wioski. Zygmunt odchodząc, spojrzał raz jeszcze na martwe ciało nieznaney ofiary i wyszeptał słowa: „Wszystko jest nicością, wszędzie obraz nicości spotykamy, lecz go widzieć, ni dostrzec nie chcemy...”

Zanim Zygmunt z Irmą doszli do wioski, słońce swój blask skryło już całkiem za grzbiety gór, a niebo przybierając barwę ciemnego szafiru, ukazało im pierwszą gwiazdę.

Po przybyciu do wioski, dali znać o wypadku policji, poczem po złożeniu do protokołu zeznań, udali się do rodziców Irmy.

Po zasięgnięciu informacji o znalezionych zwłokach, delegowano na miejsce wypadku posterunkowego B., celem dokonania wizji lokalnej i wszczęcia dochodzeń.

Okoliczności, w jakich znaleziono zwłoki, naprowadzały na mniemanie, że denat w tem miejscu życia nie stracił i że zwłoki najprawdopodobniej wyrzucone zostały z nurtów rzeki.

Po przeprowadzeni u wizji lokalnej i oględzinach zwłok, stwierdził posterunkowy B., na prawej skroni zmarłego widoczną ranę postrzałową, która wskazywała na to, że śmierć musiała nastąpić przez użycie broni palnej.

Brak jakichkolwiek dowodów osobistych i wywrócone kieszenie ubrania denata naprowadzały na domniemanie zbrodni rabunkowej.

Śladów, prócz guzika przy ubraniu zmarłego z napisem firmowym „Molenda, Ostrów” — nie znaleziono, a sprawca z powodu braku bliższych danych zdawał się być nieuchwytnym.

Posterunkowy B. przypuszczając, że zwłoki te zostały wyrzucone przez wezbraną rzekę, począł szukać śladów wzdłuż brzegu rzeki. I oto w odległości 200 m od miejsca znalezienia zwłok, a 25 m od brzegu rzeki udało mu się odnaleźć wielką kałużę skrzepłej krwi, której widoczne ślady ciągnęły się aż do brzegu rzeki. Powyższe ślady pozwalały domyślać się, że miejsce to, musiało być miejscem śmierci nieznanego człowieka, którego dla zatarcia śladów po dokonanej zbrodni wrzucono do wody.

Przypuszczenie to, zdawało się być jeszcze bardziej prawdopodobnem po zebraniu informacji od świadków, którzy mężczyznę tego widzieli w miejscu śladów krwi, w towarzystwie nieznaney im kobiety, dnia 10. lipca 1926 r. około godziny 22-giej. Mężczyzna ów miał przy sobie rower, a w ręku trzymał skórzaną teczkę.

Posterunkowy B. w poszukiwaniu śladów, mogących naprowadzić na właściwą drogę, nie ustawał.

W ciągu dalszych dochodzeń dowiedział się od restauratora D., że dnia 10. lipca 1926 r. mężczyzna ów w towarzystwie kobiety przebywał w jego restauracji, gdzie po spożyciu kolacji, oboje oddalili się w nieznanym kierunku. Podczas płacenia rachunku, restaurator D. zauważył u niego większą ilość pieniędzy i to w różnych banknotach.

Posterunkowy B. nie ustawał w swej pracy i starał się wszelkimi sposobami o wyświeetlenie sprawy. Następnego dnia, kiedy rozmawiał z dorożką W., dowiedział się, że ten dnia 11-go lipca 1926 r. około godziny 3 rano, jadąc z Maciejowic do Kępna, napotkał na szosie nieznaną mu kobietę, prowadzącą rower męski i niosącą skórzaną tekę w ręku.

Wszelkie dalsze wywiady, celem ustalenia tożsamości kobiety, będącej w towarzystwie zamordowanego, jakież stwierdzenie tożsamości zwłok okazały się bezskuteczne.

Uzyskawszy powyższe punkty zaczepienia, posterunkowy B. skonstruował sobie następujący tok rozumowania, że do wykrycia przestępcy przyczynić się może tylko guzik z napisem firmy „Molenda, Ostrów“, znaleziony przy ubraniu zmarłego.

Na podstawie tego rozumowania, kazał zdjąć z denata ubranie i przedłożył je w Ostrowie krawcowi Molendzie, a więc tego nazwiska, jakie na guziku było wydrążone.

Molenda, jako znany w swoim zawodzie fachowiec, po okazaniu mu ubrania z denata orzekł odrazu, że ubranie to pochodzi z jego warsztatu. Po szczegółowem zbadaniu jakości sukna i pomiarów tego ubrania z notatkami księgowemi ustalił, że ubranie to robił w kwietniu 1926 r. dla mistrza bednarskiego, Nowickiego Zygmunta z Kowalewa i że do tego ubrania naszył guziki z napisem swej firmy.

Na podstawie powyższych danych, posterunkowy B. udał się natychmiast do Kowalewa i tam po odszukaniu Nowickiej i okazaniu jej ubrania, udało mu się faktycznie stwierdzić nazwisko zmar-

łego. Nowicka po okazaniu jej ubrania z całą pewnością stwierdziła, że ubranie to jest ubraniem jej męża, który ją porzucił i od dłuższego czasu zamieszkuje stale u swej kochanki, młodej dziewczyny, Heleny Niecałej, pochodzącej z okolic Ostrzeszowa. Na zapytanie, kiedy ostatni raz widziała go, odrzekła, że dnia 5. lipca 1926 r., kiedy przybył do niej, by się pozbyć swych narzędzi bednarskich, które sprzedał za cenę 3000 zł, poczem opuścił ją na zawsze. Odchodząc, zabrał z sobą skórzaną tekę i rewolwer bębnekowy. O śmierci jego nic nie wie. Fotografia męża Nowickiej okazała się identyczną z wyglądem znalezionych zwłok. Wyjaśnienia powyższe wskazywały wyraźnie, że znalezione zwłoki są zwłokami Nowickiego Zygmunta, który padł ofiarą nieludzkiej zbrodni rabunkowej.

Powyższy materiał, jak też podany przez Nowicką rysopis kochanki zmarłego, stał się wystarczającym powodem do aresztowania Niecałej. Po aresztowaniu podejrzanej o zbrodnię i przeprowadzeniu rewizji znaleziono u H. Niecałej 3000 zł, rower i teczkę. Zaskoczona niespodzianie, nie umiała wykazać, skąd uzyskała pieniądze i znalezione u niej męski rower.

Na podstawie dalszych dochodzeń i zebraniu dowodów rzeczowych ustalono, że zabójstwa na Nowickim dokonała Niecała, której mimo sprzeczności jej zeznań, udowodniono popelnienie nieludzkiej zbrodni.

Helena Niecała, wszelkie czynione jej zarzuty odpierała, lecz po przeprowadzonej konfrontacji jej ze świadkami, do czynu zbrodni przyznała się.

Na zapytanie, w jaki sposób dokonała zbrodni i jakie motywy skłoniły ją do tego haniebnego czynu, odrzekła: „Do pozbawienia życia Nowickiego użyłam rewolweru, który śpiącemu nad rzeką odebrałam, poczem ograбіłam go, a zwłoki dla zatarcia śladów wrzuciłam do rzeki. Jako motyw podaję chęć posiadania pieniędzy i chęć pozbycia się Nowickiego za narzucanie mi się swoją miłością“. Miejsce dokonania zbrodni stało się tylko przypadkowym ze względu na zaistnienie dogodnych warunków. W krótkim czasie po ukończeniu dochodzeń i wysłaniu aktów wraz z dowodami rzeczowymi do Sądu, Helena Niecała zasiadła na ławie oskarżonych i wyrokiem sądowym skazaną została na długoletnie więzienie.

Wyrok zapadł w obecności świadków, między którymi jako pierwsi świadkowie stanęli Zygmunt wraz z Irmą.

Sprawczynię wtrącono do więzienia.

Wprawdzie żelazne podwoje zamknęły się za nią na lat kilka, lecz któż zaręczy, że ta kara uczyni ją lepszą, szlachetniejszą i nauczy ją po opuszczeniu więzienia żyć społecznie?

Dzień był ponury i smutny. Na dworze przyskała drobny deszcz jesienny, było wilgotno, mokro, a niebo zmieniło się w parę, przyciskając niskie chatki siola.

W ulicy pełnej błota, rozległ się szum i łoskot. Powóz zaprzęgnięty w ręce konie wiózł do wioski Łakowo, Zygmunta i Irmę, którzy jadąc w milczeniu, zastanawiali się nad ohydą zbrodnią i losem skazanej...

Droga prowadziła ponad rzeką, która pod ciemnym niebem monotonnie i żałośnie szumiała, gubiąc się z głuchym łoskotem na zakręcie pomiędzy wysoko zwieszającymi się nad nią skałami, na których zdala widniały ponure ściany więzienia z czarnemi kratami i drzemiacami i obeliskami. Mgła jesienna otulała mury więzienne i ociekała po nich zimnemi kroplami, nadając im wyraz istoty zbolalej, płaczącej nad ludzką niedolą...

XXVI.

Zabobon a przestępstwo.

Zabobon panuje szeroko wśród ogółu ludności, a szczególnie sfer niższych. Zabobonne wierzenia tkwią głęboko w duszy ludu, a i wśród inteligencji zdarzają się poglądy i czynności zabobonne częściej, niż przypuszczamy. Znany jest powszechnie zabobon co do feralnej trzynastki, przybijania starych podków na progu „na szczęście“. Podczas wielkiej wojny niejednen z żołnierzy nosił ze sobą różne talizmany, mające go chronić przed śmiercionośnymi pociskami; lotnicy, wznosząc się w przestworza, czuli się o wiele pewniejsi, mając swe talizmany. Myśliwy nie pójdzie na polowanie, gdy mu ktoś przedtem życzy szczęścia w łowach; uczeń idąc do szkoły jest przekonany, że dostanie zły stopień, gdy mu ksiądz lub kobieta z próżnem wiadrem przejdzie drogę; kot, szczególnie czarny, jeśli komuś przebiegnie drogę, jest stanowczo zwiastunem nieszczęścia.

Jeśli zabobon trafia do wszystkich sfer ludności, panuje też szeroko w świecie przestępców. Przestępca ścigany przez prawo, w wiecznej niepewności, czy zdoła ujść karzącej ręki sprawiedliwości, trapiiony widziadłami swych ofiar — szuka pociechy i ratunku w różnych zabobonnych czynnościach, które mu poczęści zastępują religję. Wskazanem jest, by organa bezpieczeństwa zapoznały się z wpływem zabobonu na przestępców, bo znajomość jego może czasem ułatwić wyjaśnienie niewytłumaczalnych inaczej szczegółów prowadzonego śledztwa.

Idąc za *H. Grossem*, zestawimy tu krótko zasadnicze wypadki, w których zabobon wkracza w sferę kryminalistyki, ilustrując je przykładami.

Zabobon zakorzeniony wśród ludności danego rejonu służbowego może przysporzyć trudności organom, prowadzącym śledztwo, które go nie znają. Zdarza się na przykład, że kobieta wezwana do przesłuchania nie zgłosi się, a następnie sprowadzona przymusowo, będzie się tłumaczyć, że „to był piątek“, a ona w piątek nie będzie pierwszy raz zeznawać w policji czy w sądzie, bo toby jej przyniosło nieszczęście. Nie wiedząc, że taki zabobon istnieje, nie wierzylibyśmy jej tłumaczeniu i wzywalibyśmy ją lub inną kobietę znów w piątek — z tym samym skutkiem. Rozpowszechnione jest mniemanie, że sznur ze stryczka, na którym się ktoś powiesił, przynosi szczęście. Organ bezpieczeństwa, który nie pamięta o tym zabobonie i nie zabezpieczy odpowiednio takiego sznura, może być pewny, że sznur zniknie jak kamfora, a wraz z nim ważny czasem dowód przestępstwa.

W jednej z miejscowości w Małopolsce znaleziono rano w stodole wójtowskiej wiszącego wysoko na belce trupa parobka. Zwróciło ogólną uwagę, że nieboszczyk wisiał na sznurze blisko dwumetrowej długości. Przesłuchiwany wójt zeznał, że parobek bawił się w nocy w karczmie, zaś nad ranem powiesił się. Już sam sposób powieszenia wzbudzał podejrzenie upozorowanego samobójstwa, a odpowiednie przesłuchanie wójta wyjaśniło całkowicie sprawę. Otóż parobek, który spał z wójtem w jednej izbie, zmarł nagle w nocy. Wójt przypomniał sobie powszechnie znany zabobon, że sznur wisielca przynosi szczęście i uważając, że można zrobić dobry interes na rozsprzedaży takiego sznura — prędko powiesił nieboszczyka w stodole na dwumetrowym sznurze. Sekcja lekarska potwierdziła w zupełności zeznania wójta.

W pewnym wypadku (wedle Grossa) przytrzymano biedną dziewczynę, gdy sprzedawała drogi pierścień z opalem. Podejrzana o kradzież tego pierścienia dziewczyna tłumaczyła się, że pierścień ten podarowała jej na ulicy jakaś nieznana elegancka pani. Naturalnie nikt nie wierzył temu tłumaczeniu, dopiero sędzia śledczy przypomniał sobie o panującym zabobonie, że opal przynosi jego posiadaczowi nieszczęście. Zarządzono odpowiednie poszukiwania i rzeczywiście odnaleziono damę, która ten pierścień podarowała na ulicy wspomnianej dziewczynie, wierząc w to, że opal przynosi nieszczęście, a można się od niego uchronić, darowując kamień przygodnie napotkanej osobie. W danym wypadku znajomość zabobonu uratowała niewinną dziewczynę od grożącej kary.

Utrzymuje się ciągle wśród ludności wiejskiej t. zw. zamawianie śmierci czy choroby. Uskutecznia się je w ten sposób, że ten, kto chce się pozbyć wroga, zamawia u księdza mszę żałobną za duszę zmarłego X, a płaci za nią pieniędzmi, które były w rękach „zamawianego“. Ma to być doskonały środek na zgładzenie danej osoby ze świata. Jeśli takie zamawianie nie uda się parę razy, to może się zdarzyć, że zniecierpliwiony i rozgoryczony „zamawiający“ pozbawi życia „zamawianego“ jakimś bardziej realnym sposobem — wtedy ujawnienie w śledztwie szczegółów zamawiania świadczyć będzie mocno obciążająco przeciw podejrzanemu. Podobną scenę „zamawiania“ opisuje Rodziewiczówna w powieści p. t. „Klejnot“, gdzie to stary Ułas zmusił do uległości opornego chłopca, któremu dzieci po kolei „zamawiał na śmierć“.

Zdarza się, że zabobon jest bezpośrednio czy pośrednio powodem przestępstwa. Prowadząc śledztwo szukamy między innymi także motywu, jakim się powodował przestępca, a wyjaśnienie tego motywu wskazuje nam czasem, gdzie szukać sprawcy. Otóż gdy wyczerpiemy wszystkie inne motywy jako nieodpowiadające warunkom dokonania czynu przestępnego, warto pomyśleć, czy nie mógł być motywem zabobon. Czasem zresztą sam mimowolny przestępca poda swój zabobonny motyw przestępstwa — ale prowadzący śledztwo, nie znając takich zabobonów, nie chce mu poprostu wierzyć. Postaramy się pokrótce przedstawić, przy jakich to przestępstwach może zabobon odgrywać rolę motywu.

Zacznijmy od mordu i uszkodzeń cielesnych. W jednej wsi powiatu łaskiego dokonano przed 50 laty ohydneho morderstwa na osobie niejakiego P., miejscowego kowala i właściciela gospodarstwa wiejskiego. Niewykryty aż do ostatnich dni morderca

uciął swej ofierze głowę, a kadłub porzucił w rowie przy drodze. Głowy nieboszczyka mimo skrzętne poszukiwania nie odnaleziono; nie natrafiono również na ślady mordercy. Zamordowany P. odznaczał się wybitnymi zdolnościami do rzemiosł; wystarczyło, aby raz zobaczył jakiś nawet skomplikowany przedmiot, a już potrafił go zmajstrować. Według wierzeń chłopów człowiek taki musi być w spółce z djabeł i czarownicami. Głowa jego zakopana pod progiem domu zapewnia powodzenie w życiu temu, kto o północy podczas pełni księżyca zamorduje „czarownika“ jednym cięciem kosy. Gdy więc nie udało się znaleźć głowy zamordowanego, przypuszczano odrazu, iż powodem morderstwa był ów średnio-wieczny zabobon. Przypuszczenie to wkrótce potwierdziło się, albowiem morderca, zatrwożony poszukiwaniami policji, podrzucił na gościńcu głowę zamordowanego z widocznymi śladami przebywania w ziemi. Tak więc wykryto tło zbrodni, zbrodniarz jednak pozostał nieznanym.

Dopiero po upływie lat 50 dowiedziano się kto był sprawcą zbrodni. Z końcem roku 1926 zachorował śmiertelnie w tejże wsi 82-letni gospodarz W., który przed śmiercią wyznał, że dokonał tego właśnie morderstwa razem ze swą już nieżyjącą żoną. Powodem zbrodni był istotnie wspomniany zabobon. Myśl dokonania morderstwa na osobie P. poddali małżonkom W. dwaj złodzieje, w sprawie których zamordowany miał podobno złożyć policji obciążające zeznanie. Wskazując na ubóstwo młodego wówczas małżeństwa W., napomknęli ci złodzieje o tem, że małżonkowie zyskaliby wielkie powodzenie w życiu, gdyby ucieli głowę jakiemuś czarownikowi i zakopali ją pod progiem chaty. Uwaga ta wystarczyła, by się połała krew niewinnego człowieka. W. zaczął się w krzakach i kosą osadzoną na sztorc ciał z tyłu ofiarę. Cios był tak potężny, że głowa odpadła natychmiast, poczem morderca wspólnie z żoną zakopał głowę pod progiem swej chaty a trupa wrzucił do rowu.

Inny przykład. O kilkanaście kilometrów od Warszawy zdarzył się w połowie roku ubiegłego następujący wypadek. Oto żona gospodarza P. chorowała od dłuższego czasu prawdopodobnie na gruźlicę. Życzliwi sąsiedzi poradzili jej mężowi, aby zasięgnął porady miejscowego znachora. Ten długo badał chorą i rozmyślał, wreszcie orzekł, że djabeł w niej siedzi i trzeba dać chorej napić się krwi tej czarownicy, która ją oczarowała. Pod wieczór zebrano się w domu chorej dwunastu chłopów i wszyscy z mężem chorej

na czele wyruszyli do niejkiej S., którą uznali za czarownicę i jedyną sprawczynię choroby P. Za tym korowodem ciągnęła cała prawie wieś, śpiewając po drodze nabożne pieśni. Gdy przybyli do zagrody S., zastano drzwi zatarasowane. Widocznie ktoś rozumniejszy ostrzegł „czarownicę“, by nie dopuścić do średniowiecznej inkwizycji. Pod uderzeniami tłumu drzwi ustąpiły, wtargnięto do wnętrza, związane S. powrozami, poczem rozpoczęły się potworne tortury nad biedną ofiarą. Bito ją i kopano tak długo, póki krew nie chlusnęła gardłem, wtedy podstawiono garnek, a gdy się napelnił krwią, podano ją do picia chorej, poczem dopiero zaprzestano katować rzekomą „czarownicę“. Wieść o tej inkwizycji rozeszła się po wsiach, a policja, która wszczęła natychmiastowe śledztwo, napotkała na zacięty opór i solidarność chłopów tak, że zaledwie z trudem zdołano ustalić głównych sprawców zbrodni.

Ave-Lallemant podaje kilka ciekawych wypadków, gdy powodem zamordowania brzemiennej kobiety był zabobon, że zjedzone ciepłe serce jeszcze nieurodzonego dziecka daje sprawcy nadnaturalną moc, czyni go niewidzialnym itd. We Włoszech, a szczególnie na Sycylii wierzą, że nosząc przy sobie krew niewinnych dzieci, można znaleźć ukryte w ziemi skarby. W roku 1894 zamordowano na Sycylii w tym celu 44 dzieci (*Gross*). W Madrycie zamordowano niedawno chłopca, krew dziecka bowiem miała przywrócić zdrowie suchotnikowi. *Strack* podaje wypadek (cytowany również przez *Grossa*), ciekawy ze stanowiska prawniczego. Otóż w krajach bałkańskich panuje przesąd, że można człowiekowi za jego zgodą obciąć głowę, następnie przylepić ją z powrotem i wtedy człowiek tak zoperowany uzyskuje cudowną moc odnajdywania starych zakopanych skarbów. W roku 1892 zdarzyło się w Semendrji (Serbja), że jeden artylerzysta obciął drugiemu za jego zgodą głowę w tym zamiarze, by potem wspólnie wykorzystywać zdobyte w ten sposób cudowne zdolności. I za co tego żołnierza karać? Zabić nie chciał, nieostrożnym też nie był, gdyż był przekonany o nieszkodliwości swego działania — możnaby go chyba, dodaje *Gross*, karać za głupotę, a na nią jeszcze niema kary.

Zabobon jest czasem przyczyną uszkodzeń cielesnych lub ciężkich chorób, których przyczyn w inny sposób nie moglibyśmy zrozumieć. Przypominamy podany już wypadek z czarownicą pod Warszawą. „Lubczyki“ i inne miłosne trunki sporządzane są nieraz z różnych trujących i szkodliwych składników, które zażyte w zbyt wielkiej ilości mogą spowodować chorobę lub nawet śmierć.

Gdy mamy do czynienia z takim wypadkiem, a podejrzana osoba, która „zadała“ lubczyku, nie chce się przyznać — trzeba przeprowadzić wywiad między znachorami, zbieraczami ziół względnie sąsiadami czy podejrzana osoba nie dopytywała się o te napoje lub szukała w tym celu porady u znachorów. Również środki polecane przez znachorów celem odzwyczajenia się od pijaństwa zawierają często wstrętne ingredjencje, mogące zaszkodzić zdrowiu. Kobiety wiejskie, sądzą np., że dobrem antidotum przeciw nalogowemu pijaństwu jest... piana z ust zmarłego podana w wódce lub piwie; woda, w której myto nieboszczyka, ma być dobrem lekarstwem na epilepsję; w Niemczech zaś uważają za równie dobre lekarstwo na tę chorobę — żucie zbutwiałego drzewa z trumny (*Gross*). Nic dziwnego, że te środki medycyny ludowej mogą wywołać chorobę, a nawet śmierć. Dużą pomoc przy prowadzeniu śledztwa może okazać miejscowy aptekarz, znający zwykle „lekarstwa“ okolicznych znachorów.

Przestępstwa przeciw moralności mogą też mieć tło zabobonne, istnieje np. przekonanie, że choroby weneryczne można wyleczyć przez stosunek płciowy z siedmioletnią dziewczyną lub wogóle z dziewczicą (*Fossel*).

Przy popełnianiu oszustwa sprytny przestępca wykorzystuje także miejscowe zabobony. Ubiegłego roku powiesił się we Lwowie niejaki M., o czym rozeszła się natychmiast wiadomość po całej dzielnicy. Jakiś sprytny oszust zaczął zaraz sprzedawać naiwnym kawałki powroza, na którym samobójca miał się powiesić i zarobił w ten sposób około 100 złotych. Gdy się dowiedziano, że M. powiesił się nie na sznurku, a na ręczniku, oszukane kobiety dopadły oszusta i pobiły go aż do krwi.

Istnieje wierzenie, że rzecz skradziona przynosi szczęście. W pewnej wsi zamożny gospodarz ukradł belkę sąsiadowi. Sprawcy nie można było odszukać, dopiero jeden z chłopów zeznał, że to pewnie wspomniany gospodarz ukradł belkę, bo buduje sobie nową chatę, a skradziona belka wbudowana w chatę przyniesie jej napewno szczęście. Pastuchy często przepędzają bydło na obcą łąkę, bo kradziona trawa lepiej tuczy bydło.

Zawodowi przestępcy dość często umyślnie z zabobonu pozostawiają pewne przedmioty lub swe ślady na miejscu czynu. Tłumaczy się ten zwyczaj pewnego rodzaju chęcią ekspiacji, przebłagania złych potęg i duchów. Taki przestępca (zwykle niższej kategorii) sądzi, że jak długo przedmiot pozostawiony na miejscu

czynu jako dobrowolna „ofiara“ tam się znajduje — chroni sprawcę przed wykryciem i ujęciem. Wspominamy o tym zabobonie zawodowych przestępców dlatego, że przedmiot taki lub ślad, pozostawiony na miejscu czynu a nie będący w żadnym organicznym związku z odtworzonym w śledztwie obrazem kolejności wypadków na temże miejscu — sprawiałby w śledztwie wiele trudności, gdyż nie wiedzielibyśmy poco właściwie przestępca go tam zostawił.

Podamy przykłady. Kochanka znanego włamywacza porzuciła w ziemie swe 10-cio miesięczne dziecko w lesie koło miasteczka a obok postawiła trzewiki, które jej niedawno wykonał szewc z miasteczka — on też pomógł do wykrycia wyrodnej matki.

Znany morderca pozostawił kał na miejscu czynu obok zamordowanego. Sądził — jak sam potem zeznał — że kał ten ochroni go przed ujęciem; stało się jednak wprost przeciwnie. Wezwany lekarz orzekł, że kał oddał człowiek herkulesowej budowy ciała, zwrócono zatem uwagę na wszystkich wielkoludów w okolicy i w ten sposób wykryto mordercę (*Gross*).

Fakt oddawania kału na miejscu świętokradztwa jest ogólnie znany; czasem przestępca nakryje jeszcze ten kał kapeluszem... Możliwem jest, że tak często zdarzające się oddawanie kału na miejscu czynu tłumaczy się także mocnem podrażnieniem nerwów i połączonym z tem przyspieszonym ruchem wydzielczego jelita grubego. W każdym razie faktu tego nie powinien organ bezpieczeństwa lekceważyć, bowiem często już ekspertyza lekarska pozostawionego kału posłużyła do ujęcia sprawcy.

Ciekawy wypadek tego rodzaju miał miejsce w Amsterdamie. Czeladnik krawiecki, chwilowo bez posady, włamał się przez dach do sklepu z ubraniami. Odchodząc oddał kał w rynnie na dachu, a w braku papieru użył kawałka skradzionej czerwonej flaneli. W międzyczasie spadł deszcz. Na drugi dzień podczas śledztwa odkryto w rynnie na dachu pozostawiony kał, który od zmoczonej flaneli zabarwił się buraczkowo. Jeden z bystrych policjantów zauważył głośno, że sprawca musiał zapewne poprzedniego dnia jeść buraki. Uwaga ta została z aplauzem przyjęta przez gromadę gapiów stojących na ulicy. Ekspertyza wykazała w kale kartofle i cebulę, a przesłuchiwana żona krawca, gdy jej oznajmiono, że mąż jest podejrzanym o to włamanie zawołała oburzona: „To on nie mógł być, on wczoraj nie jadł buraków, tylko kartofle z cebulą“. Amator cebuli został aresztowany i przyznał się do włamania (*Heindl*).

Pewien przestępca umyślnie się kaleczył i pozostawiał na miejscu czynu ślady krwi — w przekonaniu, że jego krew, zostawiona na miejscu, będzie go chroniła przed wykryciem. Ślady te długo stanowiły zagadkę dla urzędników prowadzących śledztwo, aż sam przestępca pojmany wyjaśnił, poco je zostawiał.

W roku 1916 w mieszkaniu, do którego się włamano, pozostawili sprawcy w kilku miejscach pocięte paski czerwonego filcu — jako ochronę przed wykryciem (*Gross*).

Cyganie pozostawiają zwykle na miejscu kradzieży ziarnko bielunia podwórzowego (*datura stramonium*). Jest to roślina, dla której mają specjalny kult; zdaje się, że przywędrowała ona wraz z nimi z Indyj do Europy. Cyganie podrzucają te ziarnka zwykle w niezbyt widocznych miejscach, jako ofiarę dla złych duchów, by im nie utrudniały kradzieży. Pamiętajmy jednak, że przestępca nie-cygan, wiedząc o tym zwyczaju, może też rzucić na miejscu czynu takie ziarnko, by wprowadzić policję w błąd.

Wielu ludzi nosi na szczęście różne talizmany, przestępcy również nie są wolni od tego zabobonu. Jeśli znamy talizmany przestępców, to wykrycie takiego przedmiotu przy rewizji osoby podejrzanej lub w jej domu powie nam z kim prawdopodobnie mamy do czynienia.

Kłusownicy, szczególnie górale, noszą „na szczęście“ zaszuszone korzonki paprotników. W Bawarii (wedle *Höfera*) biorą oni roztopiony ołów, wlewają go w dzień Bożego Narodzenia w oczodoły czaszki kobiecej i dopiero potem używają go do odlewu kul. Taka kula nie chybia nigdy celu. Groch zasadzony w czaszce ludzkiej napełnionej ziemią, gdy wyrośnie i zostanie zjedzony, ma czynić kłusownika niewidzialnym dla zwierzyny.

Korzenie pewnych roślin wysuszone i rzeźbione w kształt ludzki noszą przestępcy „na szczęście“, a wtedy mają im się udawać wszystkie zamierzone przestępstwa. Należą do tych roślin m. in. psianka czerwona (*solanum delcamare*), pokrzyk wilcza — jagoda (*atropa belladonna*), przestęp rozdzielný (*bryonia diocia*) — wszystkie trujące. Najczęściej jest u nas w użyciu pokrzyk wilcza-jagoda. Ślady tego zabobonu znajdujemy już w bardzo dawnych czasach, a oto co o nim czytamy w zielniku Szymona Serenjusza, wydanym w roku 1613:

„Jest mniemanie, a głupie, między ludem, jakoby pokrzykowe korzenie miało rość na kształt człowieczy: samiec mężczyzny, a samica błąejgłowy. I są tak w tym od mataczów i szalbierzów

twierdzeni, że się od tego nie dadzą odwieść, dosyć drogo te pokrzyki na czary i gusła, które im z tymże sprzedają, płacąc. A nie chcą prawdziwie wierzyć, że to nie pokrzykowe korzenie, ale przepiękne albo mieczykowe albo wodnej trzciny albo kosaćcowe. Wyrzynają postać obojej płci człowieczej ci machlerze i oszukacze ludzi. A gdzie włosy mieć chcą, tam ziarnko prosiane albo jęczmienne wlażą i do ziemi znowu albo w piasek przez dni dwadzieścia zakopują. Potem zaś wykopawszy, obrzezują i formują postać człowieka, włosy na głowie, na brodzie i w łonie nożykiem ostrym formując. I dają to ludziom prostym, powiadając z jaką trudnością i niebezpieczeństwem te pokrzyki wykopują, na jakich miejscach i z czego rosną: t. j. pod szubienicami, gdzie z moczu tych, które wiszą, rosną. Do tego jako do psa czarnego i do kura czarnego ten korzeń przywiązawszy, sobie pierwszej uszy woskiem zatkawszy, żeby głosu tego pokrzyku nie słyszeli, wrywają. Który krzyk kiedyby słyszeli, zarazby pomarli, jakoż jednak pies i kur na on krzyk jego zdychają. Te inne baśni o tym pokrzyku tych mataczy i oszustów bywają, które są wzięte z Józefa Żydowina z ksiąg III, rozdziału 25 o zburzeniu Jerozolińskiego, od Baaras, tak rzeczonego ziela albo korzenia, do pokrzyku. Stąd te baśni szalbierze biorą i pokrzykowi przyszywają, przypisując mu dziwne skutki około płodu, o wielkiem szczęściu i fortunnem powodzeniu i wiele innych plotek i szalbierstw. Co ludzie lekkomyślnie wierząc, bardzo drogo to od nich kupują z szkodą i grzechem wielkim. Przeto zabiegając takowemu oszukaniu i szalbierstwu tych ludzi, rozumiałem przestrzec prostaki, żeby się mataczom zwodzić nie dali, koszt ważąc niepotrzebny i w grzech nie przychodzili.

Nadmieniamy, co już i wspomniany zielnik podaje, że szczególne te własności, przypisywane u nas mylnie pokrzykowi, wszędy w Europie i Azji przypisują przedewszystkiem innej roślinie, zw. *alraunie*; stąd nawet ogólnie takie korzonki przecięte kształt ludzki zwą *alraunami*. Warto poznać dzieje tej rośliny, której użył jako tła do sensacyjnej powieści Ewers. Roślinę tę znano już w Egipcie. Pliniusz zwie ją „*circium*“, a Teofrast opisuje jak się ją zdobywa (opis mniej więcej identyczny z podanym w zielniku Serenjusza). Wspomina o niej Szekspir w „*Romeo i Julii*“; w Rumunji znają ją jako „*matryguna*“; na Litwie jako „*maulda*“; w Persji jako „*mandragora*“; w Chinach jako „*dzen-szeng*“; w Mongolji zwą ją „*fatio*“. Jest to korzeń azjatycki. Wspomina o nim kilkakrotnie Ossendowski w swych opisach po-

droży. Korzeń ten, o smaku ostro pieprznym, jest starannie poszukiwany przez lekarzy szkoły tybetańskiej.

Dawniej, jak widzimy z cytowanych podań, uważano tę roślinę za talizman przynoszący sławę, potęgę i bogactwo; dziś wierzą jeszcze niektórzy złodzieje, że korzeń ten pomaga przy otwieraniu wytrychem zamków. Jeśli więc przy podejrzanym osobniku znajdziemy taki korzeń, nasunie się nam podejrzenie, że mamy do czynienia ze złodziejem wybierającym się na wyprawę.

Do uspienia mieszkańców okradanego domu mają doskonałą pomagać t. zw. świece lub palce usypiające. Z tłuszczu niewinnych dzieci zmieszanego z woskiem sporządza się świece, a ta zapalona usypia wszystkich mieszkańców domu (*Gross*); na Węgrzech mieszają do takich świec jeszcze trochę krwi położnicy, która powiła bliźniaki (*Temesvary*), to samo spotyka się i w Bośni. Lewy palec trupa, który już 9 tygodni leżał w grobie, wykopany o nowiu i zsuszony, noszony przy sobie usypia wszystkich naokoło (*Stieber*, *Schneickert*). Palec taki, a nawet cała ręka są w użyciu we Francji pod nazwą „*main de gloire*” (zdaje się w związku z „*manragora*” — *Gross*). W krajach słowiańskich używano w tymże celu ręki samobójcy, który 9 dni leżał w grobie. Ręką taką puka się 7 razy do drzwi domu, w którym złodzieje zamierzają kraść.*)

Źródła.

Gross-Höpler: Handbuch für Untersuchungsrichter.

Ave-Lallemant: Der Magnetismus i t. d.

Strack: Das Blut im Glauben und Aberglauben i t. d.

Fossel: Volksmedizin und medizinischer Aberglaube i t. d.

Heindl: Kriminaltechnik.

Temesvary: Volksbräuche und Aberglauben i t. d.

Stieber-Schneickert: Praktisches Lehrbuch der Kriminal-Polizei.

*) Gazeta Administracji i Policji Państw. nr. 3. — 927 r. K. Chod

